



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 00866-9414

MARZEC - KWIECIEŃ 2 (103) 2008

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH. WROCŁAW



P. Stachiewicz - kwiecień

Spis treści

Słowo wstępne prezesa TMLiKPW	1
Helena Wiewiórska – Kresowianie na obczyźnie	2
Tadeusz Tomkiewicz – Baza „Topór” w Łukowcu Żurowskim i Wiszniowskim	6
Maciej Dęboróg-Bylczyński – Księgarze i czytelnie lwowskie okresu autonomicznego	8
Janina Oparowska – <i>Ta moja ziemia...</i> – wiersz	9
Adam Wierciński – Za szybkie czytanie	10
Aleksander Smoliński – Bez ognia i miecza. Część 10. Jazłowiec (I)	10
Iwo Werschler – Karol Szajnocha (1818–1868) – dziejopisarz, chluba Lwowa	14
Jarosław Tadeusz Leszczyński – Gród nad Złoczówką	16
Książd infułat Stanisław Turkowski – Książd Stanisław Frankl (1903–1944)	18
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW	
100-lecie urodzin dr. hab. Krzysztofa Danigiewicza	22
Radosław Nawrocki – <i>Spacer po Lwowie</i> – wiersz	23
Karol Liwski – Oplatek w Świdnicy	24
Jan Arski – Bogaty ostatni rok kadencji	24
Józef Zając – Ułynął rok	27
Stanisław Stawowy – Elbląski oplatek pojednania	28
Grzegorz Lipowski – Tablica pamięci	30
Ryszard Wojtowicz – Z wizytą na Kresach	31
Mieczysław Kowal – W hołdzie Obrońcom Lwowa	33
Mieczysław Kowal – Polscy kapłani z Ukrainy w Rzeszowie	33
Aleksander Smoliński – Kresowe pułki kawalerii Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej oraz ich nazwy i tradycje (I)	34
Remigiusz Węgrzynowicz – Śladami pamięci... dawnych dni... dawnych lat...	39
Edward Gil – Bliżej Czarnohory	42
Stanisław Obacz – Wspomnienia kresowe (II)	46
Mieczysław Kowal – Pasja Emilii Wołoszyn	49
Adam Rząsa – Wspomnienia z minionych lat	50
List Adama Rząsy do Redakcji	51
Wincenty Zdzitowiecki – Dziecko wojny (III)	50
List Antoniego Osińskiego do Redakcji	54
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	
Śp. mgr inż. Stanisław Podusowski	55
Bożena Kończal – Ratujemy kościół w Powiewińcu	56
Regulamin prezentacji kultury Polaków z Kresów Wschodnich i Bukowiny	58
Jan Cichewicz – Apel. Troska o polskie zabytki	59
Zdzisław Kuhl – <i>Wymarsz 19. Pułku Piechoty na wojnę we wrześniu 1939 roku</i>	60
Apel. Poszukujemy dokumentów	60
Lista Ofiarodawców	61

Na I stronie okładki lwowska pocztówka z 1915 r. – zbiory A. Kaminskiego

Pismo finansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
 Redaguje Kolegium: Danuta ŚLIWIŃSKA, Jerzy PETRYŃSKI, Zbigniew UMAŃSKI.
 Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
 50-079 Wrocław, ul. Rúska 32/33, tel./fax 0-71/344-88-93; konto banko-
 we PKO-BP O/Wrocław Nr 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631
 Nowe konto:

Materiałów niezamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych. Nie płacimy honorariów autorskich.



Jedno z ostatnich zebrań Zarządu Głównego TMLiKPW w Domu Polonii w Poznaniu
 – wśród gości minister Andrzej Przewoźnik

Szanowni Państwo!

Kolejny numer „Semper Fidelis”, który Państwo otrzymacie zbiegł się z Walnym Zjazdem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Pld.-Wsch. Zjazd odbędzie się pod koniec kwietnia br. w uzdrowskiej miejscowości woj. dolnośląskiego – tj. w Szczawnie Zdroju. Miejscowość ta jest malowniczo położona w Sudetach Środkowych – w dolinie potoku Szczawnika. Klimat uzdrowskiej sprawi, że nasze obrady będą przebiegać spokojnie, we wzajemnym poszukiwaniu i wypracowywaniu wspólnych kierunków na dalsze 4 lata.

Rok 2008 jest szczególny – przypada 80. rocznica Obrony Lwowa, 20-lecie powstania Towarzystwa Miłośników Lwowa (22.09.1988 r.) i oczywiście związane z tym nasze spotkanie. Podsumowanie tych 20 lat wymagałoby wielostronicowego opracowania. Oceny dokona nasz Zjazd.

Ja mogę tylko być wdzięczny, że byłem świadkiem historycznych wydarzeń i poznałem wspólnych, przepojonych miłością do Lwowa i Kresów ludzi.

Do najważniejszych zaliczam uczestnictwo w wodowaniu statku w Danii „Orlęta Lwowskie”, odsłonięciu pomnika Orląt Lwowskich we Wrocławiu. Byłem świadkiem nadawania około 30 szkółom imienia Orląt Lwowskich (pierwsza w Wołowie k. Wrocławia).

Jednakże najważniejszym wydarzeniem było otwarcie ponowne odbudowanego Cmentarza Obrońców Lwowa (Cmentarz Orląt Lwowskich) w 2005 r. Nigdy nie przypuszczałem, że jako prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników

Lwowa i Kresów Pld.-Wsch. wygłoszę przemówienie obok Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego i sekretarza ROPWiM Andrzeja Przewoźnika.

Był to wielki dzień nie tylko dla mnie, ale myślę, że i dla setek Lwowian i Kresowian, a także dla słuchaczy radia i widzów telewizji.

Były to również lata, w których straciłem (jak i całe Towarzystwo) przyjaciół i serdecznych kolegów. Wymienię tylko kilka nazwisk: Ewa Komers, ks. Janusz Popławski, Jerzy Michotek, Adam Lewicki, Jerzy Masior, Jerzy Janicki, Witold Szolginia, Zdzisław Ojczyński, Tadeusz Radomański.

Ludzie ci odcisnęli duże piętno na mnie i mojej działalności, a Towarzystwo straciło gorących orędowników Lwowa i Kresów. Ale czas biegnie i jest pewna prawidłowość, że ludzie odchodząc „pełnią wartość na drugim brzegu”, a na ich miejsce przychodzą nowi (ale sądzę, że ich nikt nie zastąpi).

Dlatego wierzę, że Walny Zjazd Towarzystwa wyznaczy nowe kierunki naszej działalności i będzie przebiegać w miłej, serdecznej kresowej – lwowskiej atmosferze, czego sobie i Państwu życzę. A pismo nasze „Semper Fidelis” będzie nadal nam towarzyszyło i rejestrowało ważne wydarzenia.

Andrzej Kaminski

Helena Wiewiórska

Kresowianie na obczyźnie

W dniu 8 listopada 2007 r. odbyła się w Warszawie w rezydencji Belweder konferencja „Polskie Dzieci na Tułaczym Szlaku 1939–1950” zorganizowana przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego.

Po oficjalnych wystąpieniach przedstawicieli władz Rzeczypospolitej Polskiej, przedstawicieli krajów, które udzielały gościny polskim dzieciom w latach II wojny światowej i po jej zakończeniu, przedstawiciela Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, historyków IPN, najwspanialszym wystąpieniem było przemówienie o. Łucjana Królikowskiego pt. „Odyseja sierot z Tengeru”, które wywarło na zebranych ogromne wrażenie, a byli mieszkańcy polskich osiedli uchodźczych nie ukrywali łez wzruszenia.

Byłam bardzo szczęśliwa, że następnego dnia mogłam jeszcze spotkać o. Królikowskiego, słuchać historii życia – sybiraka, opiekuna tułaczycy dzieci, autora jakże interesującej książki – „Skradzione dzieciństwo”.



O. Łucjan Królikowski wśród tułaczycy dzieci. Warszawa – Belweder – 8 XI 2007 r.

O. Łucjan Królikowski był uczniem św. Maksymiliana Kolbe i mieszkał w Niepokalanowie przez 5 lat. Pod koniec nowicjatu składał śluby, po których wyjechał do Lwowa, gdzie zamierzał studiować filozofię, ale następnego dnia wybuchła II wojna światowa. Zaczęło się bombardowanie miasta, więc zakonnicy przenoszą się do folwarku franciszkańskiego w Hanaczowie, gdzie mieli dojechać profesorowie, ale do tego nie doszło – 17 września wkroczyła już Armia Czerwona. O. Łucjan, podobnie jak o. Maksymilian Kolbe, chciał się przedrzeć do Rumunii, a potem do Francji i bić się za Ojczyznę, ale Armia Czerwona wkroczyła również do Ha-

licza, więc zakonnicy przenoszą się do pobliskiego folwarku franciszkańskiego, który rabują Ukraińcy – zabierają wszystko co się dało, a więc także inwentarz żywy i narzędzia. O. Łucjan i drugi franciszkanin uciekają i przebrani za chłopów pomagają w pobliskiej wsi w pracach polowych. Gdy po jakimś czasie Niemcy przekazali Lwów Sowiecom, dostają zawiadomienie od swoich władz zakonnych, że mogą wrócić do Lwowa. O. Łucjan zaczyna studiować filozofię i po roku dostają zarządzenie od władz sowieckich przyjęcia obywatelstwa rosyjskiego, na co się nie zgadzają. NKWD przychodzi do klasztoru pod pretekstem zwiedzania, tymczasem kieruje tu psychicznie chorych z Kulparkowa. O. Łucjan kończy kurs filozofii, dostaje kilka dni urlopu, a po powrocie rozpoczyna studia teologiczne – chce zostać kapłanem. Zaraz po rozpoczęciu teologii dostaje zawiadomienie, że mają się zgłosić po dowody tożsamości. Czekają w długiej kolejce – około 150 osób. NKWD każe im wyjść na dziedziniec, zaryglowuje drzwi i cała grupa zostaje aresztowana. Wiozą ich autobusami na stację kolejową, ładują do bydłowych wagonów, a po przekroczeniu granicy polsko-rosyjskiej jadą w stronę Uralu, następnie zostają zawróceni w kierunku Moskwy, a stąd w kierunku Archangielska. Po drodze Sowietci odczepiają wagony, zostawiając grupy zesłańców na posiołkach. O. Łucjan zostaje przydzielony do pracy w lesie w brygadzie drwali. Brygadierem był Rosjanin, również zesłaniec. O. Łucjan nie przyznawał się, że jest klerykiem, pracował z księdzem. W lesie tym pracował w papciach przy silnym mrozie. Nie zalaamywał się jednak dzięki silnej wierze, którą wpoila, mu mama, a piękny las mówił, że jest Bóg. W Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy grupą ogrzewali się przy ognisku oddalił się w las i stojąc przy małej choince łączył się duchowo z rodziną, która o tej porze była zebrana w Polsce przy stole wigilijnym. Kiedy zachorował na zapalenie płuc i miał wysoką temperaturę, a nie miał leków, koledzy stawiali mu bańki z garnuszków.

W święta wielkanocne Polacy postanowili podzielić się jajkiem, które trzeba było jakoś zdobyć. Poza obozem były rodziny rosyjskie, więc poprosili starego Rosjanina o jajko, które im dał po warunkiem spędzenia z nimi świąt. Zasłonili okna kocem, a zesłaniec z województwa lwowskiego – inspektor szkolny, powiedział kazanie. Po pieśni mieli dzielić się jajkiem, ale usłyszeli tupot butów komendanta, który wtargnął i krzyknął „nie śpiewać!” Oni dalej śpiewali, więc komendant podszedł do prowodyra Wieśka Kotarskiego, postawił go z kłęczek na nogi i zabrał z sobą. Nie wiedzieli, co się z nim dzieje. Była późna noc, kiedy wrócił i powiedział, że by przy nim nie mówili na Stalina, bo on miał donosić.

Po umowie Sikorski-Majski i ogłoszeniu tzw. amnestii Rosjanin, który mieszkał poza obozem, przybiegł, aby im powiedzieć, że są wolni. Chciano ich jednak zatrzymać jako siłę roboczą do ścinania drzewa. W pięciu – trzech kleryków i dwóch policjantów – ruszają w drogę, czekają na stacji na pociąg, ale pociągi się nie zatrzymują. Kiedy dokuczał im głód, zbierali w lesie owoce. O. Łucjan zobaczył na polu kobiety zbierające ziemniaki, więc podszedł do nich – były to Ukrainki wywiezione na Syberię w czasie wielkiego głodu na Ukrainie. Kiedy o. Łucjan poprosił o ziemniaki, zapytały kim jest i dały mu parę. W końcu dostali się do

Wologdy. Dalej nie mogli jechać, gdyż Moskwa była otoczona przez wojska niemieckie. Kierują się na Swierdłowski, gdzie wysiadają i zbierają w ogrodzie już zmarznęte warzywa – zbliżała się zima. Jadą na południe, do Orenburga, gdzie nocują w parku – nie mają pieniędzy ani żywności. O. Łucjan pilnował tobołków i chociaż położył się na nich, złodziej wyciągnął mu je, kiedy zasnął. Kolega Gruza pocieszył go, że bez tobołków są zupełnie wolni i mogą nawet skakać. Czekają znowu na pociąg. Wskakują do pędzącego, jadą bez biletów, wysiadają przed stacjami, dojeżdżają wreszcie do Buzuluku, gdzie tworzyła się Armia Polska. Tu dostają po kawałku śledzia i kierują ich do wioski do pomocy w kołchozach. W grupie dziesięciu wyruszają do wioski. Zamieszkują u starej babci, która przygotowała im kąpiel, aby oczyścili się z wszy. Babcia ma jeden pokój i jedno łóżko, więc chłopcy śpią na podłodze. Zaczynają pracować w kołchozie – wyrwają brukiew i składają w dołach – miała być wywożona w wagonach, które nigdy nie przyjeżdżały. Trochę warzyw przynosili do domu babci, która też głodowała. O. Łucjan wstępuje do Szkoły Podchorążych Artylerii w Kara-Su na pograniczu Kirgistanu i Uzbekistanu niedaleko granicy chińskiej. Na obrzeżach szkoły koczowała polska ludność cywilna, która po „amnestii” szukała opieki wojska polskiego, wędrując z miejsca zyszek setki i tysiące kilometrów do Armii Polskiej. Zesłani, dziesiątkowani znowu przez głód i warunki, nie do wyobrażenia dzisiaj, w jakich wędrowali na południe, w tym masa sierot, które na nieludzkiej ziemi straciły rodziców. Żołnierze polscy, jak mogli, dzielili się swoimi racjami żywnościowymi z ludnością cywilną. Wojsko kierowano do portu Krasnowodsk nad Morzem Kaspijskim, skąd następuje ewakuacja do Persji (Iran) pod wodzą gen. W. Andersa. Wraz z żołnierzami płynie ludność cywilna – wiele sierot, o które gen. Anders kazał swoim żołnierzom dbać szczególnie. Alianci ze zdumieniem patrzyli na szkielety ludzkie przybywające do portu Pahlawi. Po odwyszawianiu i dezynfekcji wojsko polskie dostaje bieliznę i mundury. Następuje wyjazd do Iraku. O. Łucjan jest w 10. pułku artylerii ciężkiej na znanych polach koło Bagdadu. Tam połączono brygadę gen. Kopańskiego i gen. Andersa w II Korpus. O. Łucjan został przyjęty jako kapelan. Tymczasem tułaczycy dzieci postanowiono umieścić jak najdalej od działań wojennych, aby spokojnie mogli odzyskać utracone dzieciństwo. Największymi osiedlami utworzonymi dla tułaczycy dzieci były osiedla w Afryce Wschodniej – Tengeru w Tanzanii i Masindi w Ugandzie, każde liczące około 4 tysiące byłych zesłańców, z czego połowę stanowiły kobiety, a połowę dzieci i młodzież. Ojcowie, mężowie, bracia, synowie walczyli na froncie włoskim. Również po wojnie, kiedy zaczęto likwidować inne osiedla, sieroty z różnych zakładów przeniesiono do Tengeru. Przywieziono tu wiele sierot z obozu dziecięcego w Balachadi i Valivade w Indiach, z Kenii przywieziono sieroty z osiedla w Rongai. Tymczasem o. Łucjan zostaje wysłany do Bejrutu w Libanie, gdzie kończy studia teologiczne i po święceniach kapłańskich i krótkiej służbie w VIII Generalnym Szpitalu Wojennym w El Kantara w Egipcie zostaje wysłany właśnie do Tengeru do małych polskich wygnańców, którzy czuli się tutaj wolni. Dobrze zorganizowane

szkoły – gimnazja, ogólnokształcące, kupieckie, krawieckie, rolnicze, szkoła mechaniczna, liceum ogólnokształcące, stowarzyszenia kościelne i harcerstwo, które uczyło dzieci mądrej dyscypliny i wychowywało do służby Bogu i Ojczyźnie. Mądry wychowawcy zaangażowani w swoją pracę we wszystkich organizacjach tworzyli „Małą Polskę”, którą dzieci żyły i za którą tęskniły.

W sali konferencyjnej Belwederu 8 listopada ojciec Łucjan mówił „nie zapomnę śpiewu modlitwy przed rozpoczęciem nauki. Baraki szkolne kryte strzechą z liści bananowych tonęły jeszcze w porannej mgłę, gdy śpiewano pieśń znaną na nieludzkiej ziemi, która stała się niejako hymnem polskiego tułactwa, pieśnią ufnej miłości” – w tej chwili ktoś z sybiraków zaintonował pieśń, którą wszyscy spontanicznie podchwyciliśmy i ze wzruszeniem śpiewali „O Panie, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń”...

Dzieci z Tengeru modliły się o powrót do Ojczyzny. Były święcie przekonane, że żołnierz polski walczący na wszystkich frontach świata „za waszą i naszą wolność” wkroczy zwycięsko do Ojczyzny, a one wrócą do swych domów na Kresach. Nie mogły doczekać się powrotu, tymczasem spotkał je straszny zawód, gdy alianci oddali Kresy Stalinowi. Jeszcze przez trzy lata przebywali w osiedlach przynębieni zdradą aliantów. Po zakończeniu działań wojennych organizacje międzynarodowe dla uchodźców UNRRA i IRO pomagały ofiarom wojny wrócić do swojej ojczyzny, lecz obecność czerwonych agentów w IRO odstraszała od powrotu do Polski, chociaż zapewniali oni, że czekają na nich w Warszawie. Komitet Opiekuńczy w Tengeru dążył do wysłania dzieci wprost do Kanady, lecz tego nie udało się wykonać. Dzieci musiały wyjechać do Europy. 4 czerwca 1949 r. pani Eugenia Grosicka, kierowniczka sierocińca – ta sama, która gromadziła dzieci w Kara-Su, a potem w Jangi Jul i o. Łucjan Królikowski jako kapelan wraz z dziećmi w liczbie 150 opuścili Tengeru. Wyjeżdżali tuż przed wyzwoleniem Afryki spod jarzma kolonialnych państw z gorzką myślą, że oto te same państwa, które przez tyle lat eksploatowały Czarny Ląd oddały Polskę w jarzmo Moskwy. Statkiem „Gerusalemme” dopłynęli do włoskiego portu Bari, a stąd pociągiem do Salerno. Zakwaterowano ich w międzynarodowym obozie dziecięcym.

Komitet Opiekuńczy w Tengeru przekazał swą władzę nowemu Komitetowi w Rzymie przy polskiej ambasadzie Rządu Londyńskiego. Po miesięcznym pobycie w Salerno rozpętała się walka o dzieci. Rząd włoski otrzymał notę z Warszawy z żądaniem, aby zwrócić polskie dzieci znajdujące się na jego terytorium. Wkrótce przybył z Rzymu przedstawiciel Komitetu Opiekuńczego p. Hutten-Czapski z ostrzeżeniem, że natychmiast muszą opuścić Włochy, zanim rząd włoski odpowie na ultimatum reżimu warszawskiego. Kilka dni później nastąpiła ucieczka dzieci i opiekunów. W Neapolu czekał na nich specjalny pociąg, który zatrzymał się dopiero w Rzymie, aby zabrać ks. prałata Waleriana Meysztowicza – radcę Polskiej Ambasady przy Watykanie i członka Komitetu Opiekuńczego. Punktem docelowym była amerykańska strefa okupacyjna w Niemczech – w Bremie, ale ani opiekunowie, ani dzieci nie mieli wiz, więc pociąg został zatrzymany przy granicy

włosko-austriackiej. Tymczasem komunistyczny rząd w Warszawie nazwał, za pośrednictwem swego reżimowego organu „Życie Warszawy”, ucieczkę dzieci z Salerno „kidnaperstwem na skalę międzynarodową”, grożono opiekunom, a w zakładach pracy w Polsce organizowano wiece protestujące przeciwko uprowadzeniu dzieci do krajów imperialistycznych i sporządzano rezolucje za sprowadzeniem ich do Polski.

W zdobyciu wiz kanadyjskich pomógł polskim tułaczom Kościół w osobie metropolity Montrealu w Kanadzie ks. abp. Charbouneau. O ten wielki gest dla polskich sierot prosił go podsekretarz stanu za pontyfikatu papieża Piusa XII kardynał Batista Montini – późniejszy papież Paweł VI. Zachodnie rządy odmawiały przyjęcia sierot, aby nie psuć sobie dobrych wtedy stosunków ze Związkiem Sowieckim, gdyż obecność ofiar barbarzyństwa bolszewickiego w ich krajach zwróciłaby uwagę całego świata. Prezydent Roosevelt, obawiając się sprowadzić polskie dzieci do Stanów Zjednoczonych skierował je do Meksyku do obozu Santa Rosa. Abp Charbouneau, człowiek wielkiego serca zaapelował do kanadyjskich duchownych w prowincji Quebec, by otwarto polskim dzieciom pensjonaty i szkoły, a parafie zobowiązały się do opłacania wydatków związanych z utrzymaniem. Ojciec Łucjan Królikowski nie chciał zgodzić się na adopcję w rodzinach niepolskich, aby dzieci po tylu bolesnych doświadczeniach z racji swej polskości nie zatraciły swej tożsamości. Zostały rozmieszczone w gimnazjach w różnych miasteczkach prowincji Quebec, opanowały tam język francuski i przebywały w szkołach po 4–5 lat. Kilko zdobyło wyższe wykształcenie, zdobyli zawody, założyli rodziny.

Na ostatnim zjeździe „Afrykańczyków” we Wrocławiu spotkałam pana Kazimierza Majewskiego (pisałam o tym w SF nr 6/101/2007). To właśnie on przybył do Montrealu z grupą ojca Łucjana. A w Mississauga w 2005 r. spotkałam pana Stanisława Studzińskiego – jednego z bohaterów książki o Łucjanie Królikowskim „Skradzione dzieciństwo”. Mały Stasio i jego siostry bliźniaczki przebywały w osiedlu Tengeru zanim przybyły do Kanady (SF 1/90/2006).

Tułacze dzieci z Tengeru są w ciągłym kontakcie z o. Łucjanem Królikowskim. Wychowankowie utrzymują również kontakt między sobą, a z o. Łucjanem łączy je głęboka przyjaźń, co On uważa za największy swój skarb.

Ojciec Łucjan jako 88-letni kapłan nadal pracuje z ludźmi w parafiach – grupy Ojca Pio w stanie Connecticut i Massachusetts, uczy w szkole podstawowej języka angielskiego.

O. Łucjan nigdy nie miał kryzysu wiary, zawsze wierzył, że Bóg pomoże. Jajta, Poczdam, Teheran były wielkimi ciosami, bo wiadomo było, że nie wróci do Ojczyzny, że nie zobaczy rodziny. Swoją Mamę o. Łucjan widział po raz ostatni w 1938 r. Mama wiedziała, że jest kapłanem, ale nigdy nie słyszała jego kazań. Jako kapłan uczy kochać Boga i bliźniego, mówi jaki jest sens życia. Swoje przemówienie w Blwederze kończy słowami: „W głębi nieludzkiej ziemi, w Azji, w miejscowości Karkin Batasz (Dolina Śmierci) polskie sieroty, podobne do cieni, stojąc przed lepianką bez drzwi i okien śpiewały biskupowi Gawlinie: „Z naszego trudu i bólu Polska powstanie, by żyć.” Dziś moja obecność

w sercu Ojczyzny, w Warszawie, w pałacu Belweder-skim, dawniej siedzibie Naczelnika Państwa niech będzie spełnieniem tęsknot i marzeń o Ojczyźnie. Tym małym bohaterom składam dziś hold i modlę się, by ich trud i ból nie poszedł na darmo. Niech sprawi, żeby Polska była Polską.”

Tułacze dziecko – Anna Kozak – siostra o zakonnym imieniu Maria Krystyna we Wrocławskim Zgromadzeniu Sióstr Karmelitanek, została wywieziona 29 czerwca 1940 r. ze Lwowa, gdzie po wybuchu wojny mieszkały z mamą u krewnych przy ul. Sierpowej 16. 13 czerwca 1940 r. ukończyła piątą klasę dziesięciolatki przekształconej z odebranej przez władze sowieckie Siostrom de Notre Dame szkoły ogólnokształcącej. Oczekiwały z mamą na wyjazd do Generalnej Guberni, organizowany przez komisję niemiecką celem łączenia rodzin – ojciec przebywał w tym czasie w Rudniku nad Sanem u swojej rodziny. 29 czerwca o godzinie czwartej rano kilku uzbrojonych rosyjskich żołnierzy wtargnęło do domu ciotki we Lwowie mówiąc, że przenoszą ich do lepszego kraju. Dano im 15 minut na spakowanie i przewieziono na dworzec Persenkówka, a tam załadowano do wagonów towarowych. Ludzie z miasta przybywali do stojącego pociągu przynosząc bliskim przede wszystkim chleb. Do Hani z mamą dotarła służąca ciotki przynosząc chleb i ogromną baranicę, która potem bardzo się przydała na Syberii. Po dwutygodniowej podróży w zamkniętych wagonach wylądowano ich za Uralem na małym przystanku wśród tajgi – Afanasjewski Rozjazd, swierdłowska oblasť, rejon Aczyt. Stąd, przez całą noc, szli pieszo i nad ranem dotarli do „mechanicznej lesopunkt 59”. Była to niezbyt wielka przestrzeń wyrębana wśród tajgi, na której mieściły się duże baraki i kilka rosyjskich domków. Przybyło około 300 osób, z których większość została umieszczona w barakach, pozostali (m.in. Hania z mamą) zostali umieszczeni w domkach opuszczonych przez Rosjan, w których ściany i podłogi dosłownie ruszały się od karaluchów i pluskiew.

Na drugi dzień komendant NKWD rozdzielał pracę. Mamę przydzielono do tzw. bani – łaźni, do której musiała nosić wodę z przepływającej przez posesję rzeczki Czekajda. Trzynastoletnia Hania pomagała mamie nosić wodę, potem stała w kolejce po chleb, a w stołówce można było kupić kaszę, z której gotowała zupę dla mamy i dla siebie. Po jakimś czasie przeniesiono je do nowo wybudowanych baraków, a mamie przydzielono pracę w lesie. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej zarządzono dwunastogodzinny dzień pracy, zlikwidowano niedziele, a wprowadzono tzw. wychodny dzień, ale nie dla wszystkich równocześnie, aby praca trwała nieprzerwanie. W miesiącach letnich wszyscy pracowali przy spalaniu drzewa wezbraną rzeką, co było bardzo ciężkie i niebezpieczne. Ludzie zaczęli chorować, z braku witamin, na kurzą ślepotę. Hania zachorowała na tak ostrą awitaminozę, że felczerka skierowała ją do szpitala. 25 marca 1941 r. pod opieką komendanta Tarasowa, przy mrozie –30°C, jadą saniami do odległej stacji, a potem musieli jechać kilka godzin pociągiem do Krasnoufińska. Kromka chleba, którą Hania miała z sobą zamarzała.

Do szpitala Hania się jednak nie dostała i musieli wracać w tych samych warunkach. Chociaż komend-

tant był ludzki i zaopiekował się Hanią – dotarła na posesję ledwo żywa. Hania nadal choruje, ma wysoką gorączkę. Pani Janina Karłakowska dostaje paczkę z Polski i daje Hani witaminę C, choroba jednak trwa do lata. Wtedy komendant obozu zezwolił dzieciom chodzić na maliny. Chodziło się na cały dzień, do odległego o 10 km lasu. Szła grupa dzieci – Hania Kozak, Jadzia Wnęk, Ewa Unger, Irka Wołoszyńska, Jurek Korzeniewski i inni. Z rodziną Korzeniewskich, której losy opisuje Melchior Wańkowicz w książce „Dzieje rodziny Korzeniewskich” (wstrząsające), Hania z mamą jechały w tym samym wagonie, mieszkali też razem na posesi.

Po umowie Sikorski – Majski z dnia 30 VII 1941 r. wiadomość o tzw. amnestii dotarła na posesję pod koniec sierpnia. Ogłoszono, że mogą sobie wybrać miejsce pobytu, ale tylko na terenie Rosji Azjatyckiej. Grupa 60 Polaków wybrała miasto Pierwouralsk w tej samej obłasti, gdzie była fabryka zapalek i mieli nadzieję na lepszą pracę. Tu ich jednak nie przyjęto i muszę jechać na południe. NKWD doczepiło ich wagon do wielowagonowego transportu. Po przeszło dwumiesięcznej podróży w nękającym głodzie, braku wody do picia i atakujących w niezliczonej ilości wszy, nastąpiło wylądowanie nad Amu-darią w porcie rzeczonym Farab i stąd ogromną barką, znowu w strasznych warunkach, po tygodniowej podróży, w listopadzie 1941 r. zostają rozlokowani w okolicznych kolchozach. Hanię z mamą skierowano do kolchozu „Woroszyłow”, gdzie pracują przy zbiorze bawełny, a norma wynosiła aż 18 kg puszek bawełnianego na dobę – Hania z mamą pracując cały dzień mogły zbierać 16 kg, czyli nie wyrabiały normy. Po trzech tygodniach wszystkich Polaków z tamtego rejonu zabrano – w nocy kazano im się szybko spakować i maszerować do portu rzeczowego Turku nad Amu-darią. Tu znowu załadowano ich na barki i w niewyobrażalnych dla nas warunkach płyną do portu Farab, gdzie koczują wśród nadbrzeżnych ogromnych kamieni, a następnie zostają przewiezieni wagonami towarowymi do bucharskiej obłasti. W mieście Kagan rozdzielono ich po kolchozach. Hania z mamą trafiają do kolchozu „Komunizm”, gdzie zamieszkały w lepiance wraz z dwiema polskimi rodzinami. Pracują przy zbieraniu z pola łodyg bawełny i układaniu w wiązki, co służyło za opał, gdyż drzew tam prawie nie ma, a następnie przy kopaniu ziemi i przenoszeniu jej, na tzw. „nosilkach”, z jednego krańca pola na drugi. Zapłata za pracę wynosiła 300 g ziarna prosa zanieczyszczonego tak, że po zmieleniu były 2 łyżki maki na zrobienie zupy. Potem zabrakło i tego ziarna. Na dowody osobiste z odciskiem palca wydane im po „amnestii” można było dostać w odległym magazynie, stojąc w kolejce, 300 g chleba. Tu spotykali się Polacy z okolicznych kolchozów i przekazywali wieści o wzrastającym głodzie, śmierci głodowej, zachorowaniach na tyfus. Jedzą liście lucerny z pola i kradziony makuch – paszę dla bydła, robioną z wytłocznym nasion bawełny. Po dwóch miesiącach Hania z mamą wybrały się do odległego o 30 km miasta, odszukały polską delegaturę, gdzie delegat dał im kilka rubli i obiecał możliwość wyjazdu do Buchary, gdzie mama, jako nauczycielka z zawodu, miała zorganizować ochronę dla dzieci. 1 IV 1942 r. opuściły kolchoz, dotarły do Buchary po dwóch dniach marszu i po nocy spędzonej na skwerze przy dworcu,

dotarły wreszcie do miejsca przeznaczonego na ochronkę – 6 km od Buchary. Kiedy zrobiło się cieplej narastała niestety zaraza tyfusu i czerwoni – codziennie umierało kilkoro dzieci. Mama Hani zachorowała na tyfus i zmarła w szpitalu w nocy z 15/16 czerwca, o czym Hania dowiedziała się po przybyciu do szpitala, by odwiedzić mamę, sama bardzo słaba po przebytej ostrej bieguncie.

Do sierpnia Hania przebywa w bucharskim sierocińcu, z którym wyjeżdża do Krasnowodska, a stąd do Persji (Iran) z wojskiem gen. Andersa. 9 VIII 1942 r. opuściła nieludzką ziemię. Z Pahlevi przez Teheran, Aheraz, a następnie okrętem przez Zatokę Perską przybywają do Karaczi w Indiach, gdzie chora Hania przebywa w szpitalu przez 6 tygodni. Pod koniec listopada wraca do polskiego obozu i włączona do transportu nr 18 z sierocińcem odpływa do Bombaju, z początkiem grudnia 1942 r. a potem przez Ocean Indyjski do Afryki.

19 XII 1942 r. dobijają do portu Tanga w Tanganice (Tanzania) i pociągami do małej stacyjki Tengeru, skąd ciężarówkami do powstającego wśród wyrębanej dżungli Polskiego Osiedla Tengeru położonego u stóp wygasłego wulkanu Meru k. Kilimandżaro. Tutaj przy wspaniałej pracy organizacyjnej polskich nauczycieli była polska szkoła, sodalicja mariańska, harcerstwo, kościół, w którego budowie uczestniczyło całe osiedle. Był to kawałek Polski, za którą wszyscy tak bardzo tęsknili. Wychowawcy i nauczyciele z ogromnym poświęceniem robili wszystko, aby dzieci mogły nadrobić zaległości w edukacji. Hania zaczyna naukę w drugiej klasie gimnazjalnej. Wspomnienia z Tengeru należą do najpiękniejszych w jej życiu, przyćmione jednak bólem sieroctwa. W 1946 r. zdaje maturę i uczęszcza do szkoły muzycznej w Nairobi, pracując równocześnie w biurze Duszpasterstwa Polskiego.

Już w 1943 r. ojciec odnalazł Hanię przez Czerwony Krzyż w Genewie. Hania nawiązała również kontakt z rodziną mamy i zgłasza się na drugi transport do Polski, który wyruszył 14 czerwca 1947 r. z Tengeru do Mombasy. Po dwudniowym oczekiwaniu na okręt wypływają przez Ocean Indyjski, Morze Czerwone, Kanał Sueski, Morze Śródziemne do Genui we Włoszech. Tu przyjeżdżają po nich wagony towarowe z Polski, które po tygodniowej podróży przez Alpy, Austrię, Czechosłowację przyjeżdżają 19 VIII 1947 r. do polskiej stacji Zebrzydowice, a dopiero następnego dnia, na stacji Dziedzice nastąpiło rozładowanie transportu. Nie dające się wyrazić słowami spotkanie z ojcem i rodziną mamy miało miejsce w Wielowsi koło Gliwic, gdzie wtedy przebywał ojciec. Anna podejmuje we Wrocławiu studia na wydziale humanistycznym z zakresu historii, pracuje w Bibliotece Ossolineum w zmniejszonym wymiarze godzin jako stypendystka.

W odpowiedzi na łaskę powołania zakonnego i wezwanie do Bożej służby, 16 grudnia 1951 r. wstępuje do Wrocławskiego Karmelu. 28 września 1952 r. otrzymuje święty habit i nowe imię. Maria Chrystyna (spolszczone – Krystyna) od św. Józefa 29 września 1953 r. złożyła śluby czasowe na trzy lata, a w 1956 r. śluby wieczyste. 27 września 2003 r. obchodziła uroczyste 50-lecie ślubów zakonnych.

Czuję się wyróżniona, że mogłam słuchać historii życia naszej wrocławskiej „Afrykanki” z Tengeru.

Serdecznie dziękuję i pozostaję wdzięczna. □

W 65. rocznicę rozpoczęcia masowej eksterminacji ludności polskiej na Kresach przez nacjonalistów ukraińskich

Tadeusz Tomkiewicz

Baza „Topór” w Łukowcu Żurowskim i Wiszniowskim

W 6/101 numerze *Semper Fidelis* moją szczególną uwagę zwrócił artykuł p. Krzysztofa Szczura pt. „Wicyń – największy bastion samoobrony na Kresach Południowo-Wschodnich”. Wspomniany autor opracował obszerną monografię liczącą 700 lat wsi Wicyń w pow. złoczowskim, o dużych zasługach jej mieszkańców w krzewieniu kultury i historii polskiej na obszarze byłej Galicji Wschodniej, a w dniach ostatniej wojny o bohaterskiej obronie przed napadami banderowców, ocalając około 5000 ludności polskiej Wicynia i mających tu schronienie uciekinierów ze wsi okolicznych. Oby więcej takich opracowań, gdyż wiedza w społeczeństwie, zwłaszcza wśród młodzieży, o Kresach i Polakach kresowych jest znikoma.

W czasie realizacji Prowidu OUN-UPA o unicestwieniu ludności polskiej na Kresach na rzekomo „etnicznych ziemiach ukraińskich”, działało wiele ośrodków samoobrony w oparciu o struktury Armii Krajowej, ocalając niejednokrotnie więcej niż wspomnianych 5000 istnień ludzkich. Jednym z takich większych ośrodków samoobrony była wieś w powiecie rohatyńskim (Stanisławowskie) Łukowiec Żurowski i Wiszniowski, którego samoobrona uratowała około 10 tys. Polaków (i wielu Żydów), w tym parę tysięcy mieszkańców Rohatyna. Mieszkaliśmy w pobliskich Bukaczowcach do czasu, gdy wraz z rodzią ostrzeżony przez życzliwych sąsiadów Ukraińców, zmuszeni byliśmy opuścić dom rodzinny. Znałem wielu obrońców, znałem osobiście dowódcę samoobrony, zmarłego kilka lat temu ppłk. Edwarda Polaka.

Łukowiec to duża wieś leżąca na styku byłych województw stanisławowskiego, lwowskiego i tarnopolskiego. Wieś powstała pod koniec XIX wieku, rekrutująca się z mieszkańców przeludnionej zachodniej Rzeszowszczyzny, dzięki korzystnym warunkom parcelacji majątku ks. Czartoryskich. A więc była to wieś całkowicie polska, dobrze zorganizowana, patriotyczna, licząca (obie części – Żurowski i Wiszniowski) około 3 tys. mieszkańców. Trudno sobie wyobrazić, jakiego było trzeba wysiłku, w warunkach rabunkowej gospodarki okupanta jednego i drugiego, wyżywić trzykrotnie więcej ludności. Próby udawania się do opuszczonych swych domostw z okolicznych wsi po żywność nierzadko kończyły się tragicznie. W okrutny sposób zamordowani zostali przez banderowców czterej moi koledzy (z jednym uczęszczałem do jednej klasy w szkole w Bukaczowcach), udający się do swojej wsi Karolówki po żywność.

Dowódcą samoobrony był porucznik rezerwy Edward Polak. Mieszkał w Łukowcu z matką (ojciec zmarł w Stanach, dokąd pojechał „za chlebem”). Po uzyskaniu matury we Lwowie skończył podchorążówkę w Rawie Ruskiej, a po praktyce w 51 pp. w Brzeżanach rozpoczął pracę w UPT w Rozdole, gdzie ożenił się. Jako ppor. rezerwy zostaje w 1939 roku zmobilizo-



Piotr Król, Zdzisław Pacak-Kuźmirski i Edward Polak

wany i w ramach 48 pp w Stanisławowie walczy w okolicach Bochni a w trakcie cofania się frontu kilkakrotnie ranny dostaje się do szpitala w Zamościu. Po podleczeniu przekrada się przez ustanowioną granicę między Sowietami i Niemcami i po perypetiach dostaje się do Łukowca. W czasie okupacji sowieckiej ukrywa się. Po wkroczeniu Niemców w 1941 roku Edward Polak jest świadkiem narastania wrogości wielu Ukraińców do Polaków, w pobliskim Chodorowie Niemcy tworzą milicję ukraińską, którzy śpiewając „...śmierć, Lachom śmierć...” nie kryją swych zamiarów wobec Polaków. Z czasem nawiązuje kontakt z kolegami ze Lwowa i zostaje wciągnięty w szeregi ZWZ-AK. W sytuacji narastającego niebezpieczeństwa ze strony nacjonalistów ukraińskich, za zgodą Komendy Okręgu organizuje samoobronę w Łukowcu. Rozpalona przez Bulbę-Borowca pożoga na pograniczu Polesia i Wołynia przewala się ku południowi. Płoną polskie wsie, giną tysiące Polaków. Z czasem krwawą pożogę przejmują banderowcy spod znaku OUN-UPA pod dowództwem Romana Szuchewycza „Czupryni”, znanego zabójcy przed wojną kuratora oświaty we Lwowie Sobańskiego. „Czuprynka” po wkroczeniu Niemców do Lwowa w 1941 r. jako kapitan Abwehry wraz z batalionem „Nachtigall” „wślawił się” zabójstwem profesorów uczelni lwowskich.

Przybywający do Łukowca uciekinierzy opowiadają o okrucieństwach mrozących krew w żyłach, dokonywanych przez banderowców, od których nawet wnet odciął się wspomniany Bulba.

Porucznik Polak ps. „August” organizuje oddziały samoobrony, ćwiczy w posługiwaniu się bronią, której niestety jest niewiele. Nawiązuje kontakt z komendantem Inspektoratu Stryj kapitanem „Andrzejem” Zdzisławem Pacak-Kuźmirskim, podporządkowując swe oddziały Inspektoratowi. W czasie odnawiania przedwojennych struktur wojskowych, już jako Baza „Topór” w Łukowcu, jako że leżąca w woj. stanisławowskim, staje się załącznikiem 48 pp. 11 Dywizji Podkarpackiej. Dobrze zorganizowany i silny Inspektorat Stryj na

swym zrzutowisku w Korczunku Daszawskim przyjmuje kilkakrotnie zrzucone przez samoloty alianckie, dzieląc się bronią z Bazą „Topór”. W tym czasie do Bazy przybywa przysłany przez „Andrzeja” uciekinier z Wehrmachtem „Piorun”. Piotr Król, mieszkaniec Lublińca na Śląsku, wcielony przymusem do Wehrmachtu, walczył na różnych europejskich frontach, stara się o dostanie na front wschodni, co umożliwiłoby mu ucieczkę. Będąc w Stanisławowie szuka kontaktów z podziemiem. Dogaduje się z pewnym kolejarzem, który ułatwia mu kontakt z „Andrzejem” i wnet ucieka z wojska z bronią i w mundurze. Sprawdzony przez dowódcę, już jako zaufanego przekazuje do Bazy w Łukowcu, gdzie zostaje zastępcą komendanta Bazy. Znający doskonale język niemiecki jeździł z woźnicą furmanką przez most na Dniestrze w Żurawnie po broń do Korczunka, oczywiście w mundurze i z bronią. Pilnujący mostu policjanci ukraińscy z szacunkiem salutowali mu, w kontakcie z niemieckimi strażnikami potrafił się wyłgać do czasu, gdy kiedyś zbyt dociekliwy żołnierz powziął podejrzenie, przygotowany na to furman na dany znak ciął konia batem i ostrzeliwując się zdołał uciec. Później kilkakrotnie dziewczęta przebrane, jakoby jechały, ale już promem na drugą stronę Dniestru do prac polowych, nie raz z nawozem przewoziły broń do Łukowca.



Zamordowani na Wandolinie k. Czerniowa: Stanisław i Andrzej Bednarze, Jan Groszek i Kazimierz Burdzy

Ale fala pożogi dotarła już do województw południowo-wschodnich. Noce rozświetlają luty płonących polskich wsi i domostw polskich we wsiach ukraińskich, leżących na uboczu. Do Łukowca napływa fala uciekinierów z okolicznych wsi tak polskich jak i ukraińskich. Nawet miasto powiatowe Rohatyn nie było w stanie obronić się, jego mieszkańcy szukali ratunku we Lwowie, Stanisławowie, wielu właśnie na Łukowcu. Dowódca samoobrony sformował wiele oddziałów, każdemu przeznaczył odpowiednie zadanie. Zorganizowano prowizoryczny szpital, kobiecą służbę sanitarną, pobudowano schrony na wypadek konieczności wycofania się w razie napadu dużych sił banderowców. Gęsto rozstawione stráže przy pomocy gongów ostrzegały o nadejściu wroga. Kilkakrotne próby zaatakowania Łukowca spotkały się ze zdecydowaną odprawą. Banderowcy poskarżyli się w Ostkomendaturze w Chodorowie, że

Polacy w Łukowcu posiadają broń. Przyjechał oddział żandarmów, ale dobrze schowanej broni nie znaleźli (może i nie chcieli). Ale z kolei każda próba oddalenia się poza stráže obrońców kończyła się tragicznie. Tak zginęła moja ciocia, która uciekając z trojgiem dzieci z ukraińskiej wsi Kozara do Łukowca zabrała krowę, i chcąc ją popaść na łące pod niedalekim laskiem, została zamordowana. Podobnie zginęli moi koledzy z Karolówki, o czym wspominałem na wstępie.

Ochrona ludności nie ograniczała się do biernej obrony – uzbrojone patrole penetrowały okolice i w wypadku otrzymania meldunku przez dobrze przygotowanych wywiadowców lub uciekinierów z zaatakowanych domostw polskich, patrol niespodziewanie uderzał, likwidując pomniejsze bandy – nigdy nie mordowano kobiet i dzieci. Zdarzały się bowiem przypadki, że banderowcy wymordowali rodzinę ukraińską za rzekome lub i faktyczne ostrzeganie Polaków przed napadem, a potem rozgłaszali, że czynią to Polacy z Łukowca.

Obrona Łukowca oczywiście pochłonęła też wiele istnień, czy to w czasie napadów, czy też w czasie akcji odwetowych, lub też okolicznościach wyżej opisanych, ale uratowanie około 10 tysięcy Polaków i kilku rodzin żydowskich (później przechowywujący otrzymali medale *Yad Vashem*), była wielkim sukcesem tak obrońców jak i dowódcy. Dowódca „August” i jego zastępca „Piorun” zostali odznaczni krzyżami *Virtuti Militari*, wielu obrońców w tym i kobiety dostało wysokie odznaczenia bojowe.

Niestety, mieszkańcy Łukowca jak i ocaleni Polacy z okolicy zostali przez Sowietów zmuszeni do opuszczenia swych stron rodzinnych, a dowódca w „nagrodę” dostał 10 lat „bezpłatnych wczasów” na Syberii, a za dobre zachowanie dołożono mu jeszcze jeden rok łagrów. Do rodziny powrócił do Świdnicy, uczestnicząc aktywnie w życiu społecznym i niepodległościowym do ostatnich chwil życia.

Jeszcze garść refleksji. Przed paroma laty niepożyczalny Żydo-Polak ze Stanów, chcąc zrobić dobry interes napisał książkę pt. „Sąsiedzi”, a ostatnio drugą – „Strach”. Odpowiednie kręgi w świecie, i o zgrozo! w Polsce, łamały sobie ręce z rozpaczą nad bestialstwem Polaków w czasie wojny i po, mordujących Żydów w Jedwabnem, Kielcach i Rzeszowie. I chociaż historycy ustalili, że spalenia w Jedwabnem kilkudziesięciu Żydów dokonali Niemcy przy pomocy kilku gnębionych przez nich w czasie okupacji sowieckiej Polaków, zaś tzw. pogrom kielecki to dzieło ówczesnych władz komunistycznych, a w „pogromie” rzeszowskim zginął raptem jeden Żyd – nasze media przez kilka tygodni trąbiły bezustannie o tym wydarzeniu. Do czego to już doprowadziła tzw. poprawność polityczna – o prawie pół miliona wymordowanych przez nacjonalistów ukraińskich Polaków na Wołyniu i Kresach Południowo-Wschodnich ani słowa. Kompletna cisza! Wartość krwi jednego Żyda jest warta dziesiątkom tysięcy Polaków. Ponadto w popłochu uciekło stamtąd ponad milion osób, ratując życie. Nie wszystkim było dane w ramach tzw. obłudnie „repatriacji” zabrać niewiele swego mienia. I znów media opanowała histeria wypędzeń – wypędzeni byli Żydzi, wypędzeni Niemcy, wypędzeni Ukraińcy, tylko Polacy w luksusowych warunkach wyjechali dobrowolnie z Kresów bądź to za Sowietów

na Sybir, bądź po wojnie do nowej Polski. A więc jak przepraszałyśmy (oczywiście w naszym imieniu czyniły to władze) za morderstwa, teraz za wygnanie, co roz-
zuchwała przepraszanych i w ramach zadośćuczynie-
nia domagają się odszkodowania, a w dalszej perspek-
tywie zwrotu „zabranych” ziem. Prywiślański Kraj Rosji,
południowy wschód (tzw. Zekerzonie) Ukraincom, Po-
morze, Wielkopolska i Śląsk Niemcom. Dobrze chociaż
że Austria nie ma z nami granicy, to może ostatecznie się
Brzesko, Kłaj, a nawet Kraków.

Podobno powstał komitet obchodów przypadającej
w tym roku 65. rocznicy rozpoczęcia na masową skalę
eksterminacji ludności polskiej przez banderowców na
Kresach. 11 lipca 1943 roku (w święto greckokatolickie
Piotra i Pawła) w niedzielę, równocześnie w 167 pol-
skich wsiach na Wołyniu rozpoczęła się potworna rzeź,
dla łatwiejszego i masowego skutku w kościołach pod-
czas mszy świętej, niejednokrotnie w czasie Pierwszej
Komunii św. dzieci. Zginęło tysiące Polaków w potwor-
ny sposób, setki księży u stóp ołtarzy. I jak dotąd cicho.

Przewodniczącym komitetu jest wicemarszałek Sej-
mu Kalinowski. Gdzie jego odezwy, apele, orędzia

ngłaśniane przez media, gdzie starania władz kościel-
nych o beatyfikacje setki męczenników księży zamor-
dowanych w czasie posługi kapłańskiej, beatyfikacje
zaręczonych siekierą lub żywcem spalonych niewiniątek
przyjmujących po raz pierwszy Sakrament św.? Ale to
temat niepopularny. Nasze władze zdaje się są bar-
dziej skłonne uznać za kombatantów byłych rizinów
spod znaku OUN-UPA niż oficjalnie potępić ludobój-
stwo popełnione przez nich, o co starają się Ukraińcy i
polscy ukrainofile. Dla zachowania dobrosąsiedzkich
stosunków... Na jak długo...?

*Wiele informacji o Bazie „Topór” zaczerpnąłem na
podstawie książki „Los Polaka”, którą otrzymałem
z dedykacją od jej autora, b. dowódcy Bazy Edwarda
Polaka, podobną książkę z dedykacją dla Pana Prese-
sa Zarządu Głównego TMLiKPW Andrzeja Kaminskie-
go, przekazałem na prośbę córki Pułkownika po Jego
śmierci do Redakcji SF.*

*Dużo też na temat Bazy pisze w Zeszytach Łuko-
wieckich pan Franciszek Burdzy z Lubinia. □*

Maciej Dęboróg-Bylczyński

Księgarze i czytelnie lwowskie okresu autonomicznego

Historyczny obszar Ziemi Halickiej budzi od lat zro-
zumiałe zainteresowanie badaczy wielu dyscyplin na-
ukowych. I tak: historycy poddają analizie choćby funk-
cjonowanie (zrazu austriackich, później zdominowa-
nych przez Polaków) instytucji państwowych c. k. mo-
narchii w prowincji galicyjskiej – urzędu Namiestnictwa
czy Sejmu Krajowego; inni badacze poświęcają wiele
uwagi niepodważalnemu wkładowi polskich instytucji
naukowych w kształtowanie się i rozwój II Rzeczpospo-
litej. Niepoślednie miejsce w owej kulturalno-oświato-
wej i naukowej przestrzeni tej największej prowincji
wielonarodowego państwa Habsburgów pełniły instytu-
cje związane z książką. To dzięki niezwykle rozwinię-
temu rynkowi wydawniczemu posiadamy dziś trwałe ma-
teriał badawczy tego niepodważalnego, ponadczaso-
wego dziedzictwa.

Nadanie autonomii Galicji, wraz z innymi krajami
monarchii niemal natychmiast spowodowało rozkwit
tendencji do tworzenia instytucji życia naukowego i
oświatowego, a wraz z nimi – bibliotek i czytelni. Okres
przedautonomiczny wszak celował w hamowanie dzia-
łalności stowarzyszeń i instytucji, łącznie z dwoma ga-
licyjskimi uniwersytetami. Autonomii galicyjskiej po-
święca się tyle miejsca w pracach badawczych, gdyż
nadanie jej wywołało niesłychaną energię społeczną i
stworzyło szerokie możliwości działania dla polskich
środków naukowych i artystycznych. Swobody poli-
tyczne przesądzały również o nieskrępowanej dzia-
łalności towarzystw i galicyjskich wypożyczalni i czytelni.
A przecież wraz z nominacją Kazimierza hr. Badeniego
na austriackiego prezydenta ministrów (premiera) z po-
czątkiem października 1895 roku rozpoczął się szczyt
wpływu Polaków w Austrii, okres tzw. „rządów pol-

skich”. Badeni wszak, poza prezydenturą gabinetu,
otrzymał tekę ministra spraw wewnętrznych, Biliński
obejmował ważny resort skarbu, Gołuchowski tekę mi-
nistra spraw zagranicznych, zaś Edward Rittner (prof.
Uniwersytetu Lwowskiego) został mianowany mini-
strem do spraw Galicji. Najważniejsze teki ministerialne
(cztery resorty) znalazły się więc na kilka lat w rękach
Polaków. Austriacka wiara w Badeniego była swego ro-
dzaju dogmatem. Porównywano go do króla Jana III
Sobieskiego i nazywano zbawcą Austrii...

Lwów należał do miast o największym środowisku
księgarskim w Galicji i na ziemiach polskich. Pierwszą
wypożyczalnię książek otworzył w mieście niejaki Karol
Wild (1764–1834) już na początku XIX wieku. W latach
autonomii galicyjskiej prowadził tę wypożyczalnię syn
Wilda – również Karol. W 1861 roku wydał drukiem Ka-
talog książek do wypożyczania liczący sobie 258 stron!
1870 rok przyniósł kolejne wydanie wspomnianego ka-
talogu (trzecie) o objętości 310 stron. Około 1853 roku
zorganizował też Wild (jako pierwszą w Galicji) – wypo-
życzalnię nut. Jeszcze przed rokiem 1861 wydał kata-
log nut na fortepian, który obejmował 11000 utworów.
Osobne katalogi nut przeznaczonych na inne instru-
menty przygotował już po 1861 roku. Świetnie zorgani-
zowana wypożyczalnia książek i czasopism liczyła so-
bie ponad 20 tys. dzieł (w 30 tys. tomów w 1879 roku),
a w wypożyczalni nut ponad 30 tys. utworów muzycz-
nych. Pieczę nad zbiorami pełnili bibliotekarze. Księgo-
zbiór był oprawiony, pozycje o małej liczbie stron
współoprawiano w „klocki” introligatorskie. Wszystkie
zbiory nutowe posiadały specjalne okładki i tekturowe
teczki. Zasługi Wildera na polu udostępniania książek i
nut były nieocenione. Wychował też całą plejadę księ-

garzy i wydawców, których nazwiska zapisały się w hi-
storii książki polskiej. W 1881 roku wypożyczalnia Wil-
da upadła nie wytrzymując nasilającej się od połowy lat
60- tych konkurencji w branży biblioteczej.

Doskonale utrzymane wypożyczalnię przejęła firma
Gubrynowicza, która zawiadywała nimi do 1914 roku,
aby następnie odsprzedać je Stanisławowi hr. Badenie-
mu. Ten znany działacz społeczno-polityczny uczynił
z tych i innych zbiorów druków zwartych, nut i czaso-
pism dar fundacyjny dla Biblioteki Ossolińskich.

Inną znaną rodziną o tradycjach księgarskich i bibliofil-
skich byli antykwariusze Iglowie. Senior rodu – Berl Igiel
otrzymał zezwolenie na prowadzenie wypożyczalni już
w 1849 roku. Od 1863 r. prowadził natomiast lwowską
wypożyczalnię i czytelną książek Igiel junior – Zelman.

Jednak jednym z najbardziej znanych składów nut
była wypożyczalnia Henryka Kallenbacha (założona
w 1846 roku), który do niespodziewanego bankructwa
(w roku 1858) zdążył wydać trzy szczegółowe katalogi
(książek polskich, francuskich i niemieckich).

Prawdziwie rodowe tradycje księgarskie, wydawni-
cze i edytorskie zapoczątkował niejaki Herman Alten-
berg. Jego firma odegrała niezwykle istotną rolę w upo-
wszechnianiu cennej i pięknie wydanej książki polskiej.

Nowością w owych czasach było stosowanie kolpor-
tażu wydawnictwa przy pomocy wędrujących po kraju
kolporterów. Miarą powodzenia wypożyczalni abona-
mentowych w drugiej połowie XIX wieku mogą być
dzieje innej wielkiej wypożyczalni lwowskiej – Adama
Bartoszewicza. W ciągu pięciu lat działalności wypoży-
czalni (1872–1877) liczba udostępnianych woluminów
osiągnęła 10000 egz. Po śmierci męża księgarnię i wy-
pożyczalnię kierowała wdowa po Bartoszewiczu, by
w 1889 r. odsprzedać firmę Bernardowi Połonieckiemu,
który prowadził ją z powodzeniem do 1939 r. Wypoży-
czalnia zmieniła nazwę na: „Czytelnia Naukowa
we Lwowie” i ulokowana została przy ulicy Tańskiej 1.
Czytelnicy mieli do dyspozycji świetnie, tematycznie
ułożone dysponendy wypożyczalni, i aż trzy różne for-
my abonamentu: beletrystyczny, naukowy i mieszany.
Szczególną dbałość wykazywał Połoniecki przy organi-
zowaniu czytelni muzycznej. Prócz licznych i cennych
zbiorów nutowych, prasy literacko-artystycznej, dyspo-

nowała ona znacznym, podzielonym na działy zbiorem
książek. Obejmował on: historię muzyki, dydaktykę muzy-
ki, harmonię i kompozycję. Jeszcze przed 1910 rokiem
wydał kompletny katalog wypożyczalni nutowej. Obejmo-
wał on utwory na fortepian, skrzypce i utwory wokalne.

Wśród innych właścicieli wypożyczalni wymienić
warto ponadto: Stanisława Köhlera, Alojzego Królikow-
skiego, Klarę Hescheles, Klemensa Łukaszewicza, czy
Władysława Belzę.

Osobną kwestią wartą poruszenia jest praca spo-
łeczna (w tym prowadzenie czytelni i wypożyczalni)
przez galicyjskie nauczycielki.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych
XIX wieku, kiedy to kobiety miały ograniczone możliwo-
ści kształcenia się oraz utrudniony dostęp zarówno do
bibliotek naukowych, jak i innych, musiały tworzyć wła-
sne księgozbiory. Z inicjatywy jednej z najwybitniej-
szych działaczek ruchu ludowego – Marii Wysloucho-
wej – powstała w 1885 roku we Lwowie Czytelnia Na-
ukowa Kobiet. Przewodniczącą tegoż przedsięwzięcia
została nauczycielka c. k. Seminarium Żeńskiego –
S. Wechslerowa. Czytelnia ta stała się nie tylko ośrod-
kiem samokształcenia kobiet, ale również wychowania
społecznego, artystycznego i patriotycznego.

Podobne stowarzyszenie: „Czytelnia dla kobiet
im. J. Słowackiego” założyła w Krakowie w 1889 roku
Maria Siedlecka. Kobiety zrzeszone w czytelniach or-
ganizowały odczyty, pogadanki, spotkania artystyczne.
Pełniły rolę integracyjną dla nauczycielek. Były swoisty-
mi ośrodkami kulturalno-oświatowymi. stawały się też
forum dyskusyjnym dla członkiń coraz liczniejszych sto-
warzyszeń kobiecych w Galicji (np. stowarzyszeń za-
wodowych nauczycielek). Kiedy w 1868 roku powstało
Towarzystwo Pedagogiczne – do jego prac włączyły się
żywo nauczycielki. Do najaktywniejszych należały:
F. Boberka, właścicielka pensji żeńskiej we Lwowie, se-
kretarka czytelni oddziału lwowskiego, oraz nauczyciel-
ki i dyrektorki szkół wydziałowych żeńskich we Lwowie:
A. Machczyńska, J. Kulińska, M. Bielska, W. Long-
champs, W. Niedziałkowska. Podobne zaangażowanie
kobiet nauczycielek odnotowano w pracach Towarzy-
stwa Nauczycieli Szkół Wyższych we Lwowie. □

Janina Oparowska

Ta moja ziemia...

*Przychodzą chwile u schyłku dnia
gdy słońce ogarnia tęsknota –
gdy budzi się we wspomnieniach świat
za którym zamknęły się już minionego czasu wrota.*

*Ten świat – to obraz jak z bajki nakreślony
gdzie były lasy, łąki i rozległe pola
trawistymi miedzami poprzecinane
gdzie rosły wierzby rosochate i topole.*

*To tam była moja ziemia
beztroski świat dziecięcych i młodzieńczych lat –
nawet zawirowania dziejów tego nie zmieniają
nawet nie zatrzą tej prawdy przemijania czas.*

*Jakże często w moich wspomnieniach
jawi się dom rodzinny w otoczeniu starych drzew –
które osłaniały go swoją gęstwiną
jak straż przed czyhającym jakimś złem.*

*Wtedy słyszę poszum ciężkich od owoców gałęzi
widzę rosę na trawie pod drzewami –
czuję zapach owoców unoszący się w sadzie
zbieram je i upajam się tymi marzeniami.*

*Wiem – że tam jest moja ziemia
choć czasem i przestrzenią oddalona –
moja – chociaż mnie tam nie ma
ale na zawsze w sercu i pamięci zachowam. q*

Za szybkie czytanie (fragment)

(Przedruk z Indeksu nr 9–10 (83–84))

W jubileuszowym, setnym numerze pisma „Semper Fidelis”, pisma tak dobrze zasłużonego dla lwowskiej pamięci, został przedrukowany z *Palestry* (2006, nr 9–10) ciekawy i dobrze napisany szkic Kazimierza Karolczaka; autor spokojnie, bez emocji, rozprawia o stosunku współczesnych Ukraińców i Polaków do wspólnego dziedzictwa, o pamięci i prawie do współdziedziczenia.

I kilka zdań o tym, jak to po wojnie w Polsce, po przesunięciu granic: *Lwów stał się owocem zakazanym w badaniach historycznych, a problematyka lwowska nie była obecna we współczesnym piśmiennictwie polskim do tego stopnia, że cenzura ingerowała nawet w kolejne wydania literatury pięknej, poprawiając uznanych klasyków. Tym sposobem np. pan Dulski zmuszony był zamienić swój spacer (po pokoju!) z „Wysokiego Zamku” na „Kopiec Kościuszki”, co okazało się zabiegiem na tyle skutecznym, że w powszechnym osądzie „dulszczyznę”, ów wzorzec mieszczańskiej hipokryzji i obłudy, łączy się obecnie nie tyle ze Lwowem, co z Krakowem (K. Karolczak, *Polska pamięć o Lwowie...*, „Semper Fidelis” 2007, nr 5, s. 14).*

To nie powojenna cenzura spowodowała, że pan Felicjan zamiast chodzić na Wysoki Zamek, bywał (nie wychodząc z kamienicy) na kopcu Kościuszki; to nie wszechmogący powojenni cenzorzy zmienili jeszcze Brzuchowice i Zamarstynów na Dębni i Krowodrzę. To wszystko wymyślił reżyser teatralny, który w 1906 r. (premiera!) wystawił w Krakowie sztukę z realiami krakowskimi. A drukiem ukazała się *Moralność pani Dul-*

skiej po raz pierwszy w Warszawie, w 1907 roku. Po pierwszej wojnie światowej, raz tylko w dwudziestolecie, w 1923 roku, w 22 tomie wydania zbiorowego dzieł Gabrieli Zapolskiej, we Lwowie, ogłoszono *Moralność...* według egzemplarza teatralnego z realiami krakowskimi.

Po II wojnie wznawiano *Moralność...* według tego wydania, bez ingerencji cenzury. Zbigniew Raszewski w 1952 roku pisał, że nie zachował się autograf *Moralności...*: *Wolno przypuszczać, że przepadł on u Orgelbranda, który drukował jako pierwszy tekst w Warszawie w roku 1907, musi z braku autografu być traktowany jako jedyny autentyczny (Z. Raszewski, *Gabrieli Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej”*, „Pamiętnik Teatralny” 1952, z. 2/3, s. 199).*

Od 1958 roku wydaje się *Moralność...* zgodnie z pierwodrukiem, z lwowskimi realiami (w serii Biblioteki Narodowej też: 1966, 1972).

Po co mnożyć mity? Nawet w poważnym piśmie dla książkolubów („Notes Wydawniczy” 2007, nr 6/7, s. 31) można znaleźć zmyślenia o realiach w sztuce Zapolskiej: *To późniejsze względy cenzuralne każyły Lwów zamienić na Kraków, a panu Felicjanowi chodzić na kopiec Kościuszki zamiast na kopiec Unii Lubelskiej (lub na Wysoki Zamek).*

To nie srogi i wszechmogący cenzor powojenny zmienił realia w sztuce, zmienił je – ze względu na swoich widzów – reżyser krakowski przed I wojną światową, a uwiecznił w druku niedbały wydawca lwowski (!) w 1923 roku. □

Aleksander Smoliński

Bez „ognia i miecza”.

Migawki z sentymentalnych podróży po niepodległej Ukrainie w poszukiwaniu śladów byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów

Część 10. Jazłowiec (I)

I. Dzieje miasta i klasztoru Zgromadzeniu Sióstr Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny

Kolejnym leżącym na Podolu niezwykłym i jednocześnie pięknym miejscem, którego bogata i skomplikowana historia w sposób nierozdzielny związana była z dziejami dawnej wielonarodowej, wielokulturowej i tolerancyjnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz późniejszej, Odrodzonej po 123 latach niewoli Rzeczypospolitej Polskiej, jest Jazłowiec¹⁾. Oprócz tego był to także ważny i istotny ośrodek życia religijnego i duchowego narodu polskiego. Miejscowość ta położona jest na lewym, stromym brzegu niewielkiej rzeki Olchowiec, u stóp wzgórza znajdującego się w miejscu, gdzie wpada do niej jeden z jej dopływów, a mianowicie Ja-

złowczyk. Ponadto pierwsza z wymienionych tutaj rzek wyżłobiła w tym miejscu, w Wyżynie Podolskiej, wąski i głęboki oraz bardzo malowniczy jar. Jednocześnie, jak to napisano w jednym z dawnych przewodników, „śliczny” jest też jar Jazłowczyka. Poza tym ponad miastem dominują łagodne i porośnięte bujną roślinnością wzgórza.

W chwili odzyskiwania niepodległości przez Polskę, a mianowicie około 1919 r., ta wówczas już tylko „nędzna miejscina” liczyła zaledwie 3350 mieszkańców, z czego 1250 Polaków, 600 „Rusinów”, czyli Ukraińców oraz 1500 Żydów. Do końca lat trzydziestych XX w. liczba zamieszkującej ją ludności spadła do niespełna 3000 osób.

Pierwsze wzmianki o tym miejscu pochodzą już z XIV w.²⁾ Za panowania króla Kazimierza Wielkiego

było ono bowiem własnością rodu Buczackich herbu Abdank³⁾, której tutejsza gałąź przyjęła następnie nazwisko Jazłowieckich. Za jej protoplastę powszechnie uważa się natomiast Teodoryka Buczackiego, który w 1436 r. uposażył tamtejszy kościół. Ponadto już w jego czasach istniał tam zamek. W II połowie XV w. Jazłowiec należał do ówczesnego starosty czerwono-grodzkiego Michała Jazłowieckiego. Było to już wtenczas ruchliwe, handlowe miasteczko, które dzięki korzystnemu położeniu przy szlaku kupieckim wiodącym do Moldawii szybko się bogaciło i nawet próbowało skutecznie konkurować ze Lwowem. Stąd też, aby uchronić handlowe interesy tego ostatniego król Kazimierz Jagiellończyk w 1461 r. zabronił odbywania w Jazłowcu, oraz jednocześnie również w kilku innych miastach leżących na Podolu, jarmarków. Ponadto w 1469 r. jeden z królewskich urzędników oskarżył Michała Jazłowieckiego o bezprawne pobieranie myta.

Na początku XVI w. wdowa po Teodoryku Buczackim, a mianowicie niemłoda już wówczas Elżbieta Kolanka z Dalejowa⁴⁾, poślubiła Mikołaja Sieniawskiego, późniejszego wojewodę bełskiego i ruskiego oraz, co najważniejsze, od 1561 r.⁵⁾ hetmana wielkiego koronnego⁶⁾. W ten sposób Mikołaj Sieniawski skolidził się z bogatą, kresową rodziną senatorską, posiadającą spore dobra i znaczne wpływy na Rusi⁷⁾. Stąd też jego staraniem w 1519 r. Jazłowiec odzyskał prawo do organizowania jarmarków, a w dwa lata później przywilej na pobieranie myta od przejeżdżających tamtędy kupców. Ponadto, mniej więcej w tym samym czasie⁸⁾, miasto uzyskało także magdeburskie prawo miejskie.

Jednak już w 1544 r. ówczesny kasztelan kamieniecki Mikołaj Jazłowiecki odkupił od Sieniawskiego swe dobra rodowe⁹⁾, które odziedziczył po nim jego syn, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli rodu, wojewoda podolski i ruski oraz hetman „wielki” koronny, a mianowicie Jerzy Jazłowiecki¹⁰⁾. Obok innych przedsięwzięć rozbudował i umocnił on także zamek w Jazłowcu, przekształcając go w jedną z najpotężniejszych twierdz Rzeczypospolitej leżących na Podolu. Ponadto murem obronnym otoczył również miasto.

Był jednak protestantem, co spowodowało, iż jako kalwin w 1549 r. przekazał tamtejszy kościół swym współwyznawcom¹¹⁾. Katolikom świątynię tę przywrócił dopiero w 1578 r. jego syn, starosta śniatyński i kasztelan kamieniecki Mikołaj Jazłowiecki, który administrował tymi dobrami po śmierci ojca. Przed 1590 r. ufundował on nowy kościół, a tuż przed swoją śmiercią, która nastąpiła w 1595 r. dominikański klasztor. Jednak zakonnicy osiedli w nim na stałe dopiero w 1639 r.

Po nim Jazłowiec przejął jego młodszy brat, a mianowicie wojewoda podolski Hieronim Jazłowiecki, który choć dożył do 1607 r., to był jednak ostatnim męskim przedstawicielem rodu Jazłowieckich. Stąd też wdowa po nim Eleonora z Ostrogskich wyszła powtórnie za mąż za ówczesnego kasztelana trockiego Jana Jerzego Radziwiłła, wnosząc tym samym rodowy majątek w dom Radziwiłłów. W taki sposób wygasła przeszło 200-letnia historia tego zasłużonego dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów i jej Kresów Południowo-Wschodnich senatorskiego rodu.

W omawianym tutaj okresie Jazłowiec był już, w co aż trudno uwierzyć patrząc na dzisiejszą mizerną tego

miejsca¹²⁾, jednym z bogatszych i znaczniejszych miast ówczesnego Podola. Znakomicie rozwijało się w nim bowiem rzemiosło oraz kwitł handel ze Wschodem, w dużej mierze dzięki Ormianom, którzy zaczęli się tam osiedlać już w XVI w.¹³⁾, przybывая do Rzeczypospolitej z niedalekiej, bo leżącej po drugiej stronie Dniestru, Moldawii. W nowej ojczyźnie znajdowali spokój i tolerancyjny stosunek do swojej religii oraz odmiennych obyczajów, które podlegały licznym ograniczeniom i prześladowaniom w poprzednim miejscu. Stąd też z czasem, obok Kamieńca i Brzeżan, Jazłowiec stał się jednym z głównych ośrodków osadnictwa ormiańskiego na terenie Korony, a w centrum miasta powstała obszerna dzielnica ormiańska zabudowana murowanymi kamienicami zdobionymi w podobny sposób, jak to czynili wtedy kamieniarze lwowscy. Obok handlu różnymi towarami pochodzenia wschodniego, takimi jak tkaniny, przyprawy i wina, Ormianie polscy zajmowali się też rzemiosłem, jak choćby garbarstwem oraz handlem końmi. Słynęli również z wytwarzania pięknych i powszechnie cenionych kobierców oraz makat, wspaniałych wyrobów jubilerskich, a także z produkcji doskonałej jakości broni typu wschodniego. Dzięki ich kontaktom do Jazłowca przybywali kupcy z wielu krajów, jak



Południowo-zachodnia, renesansowa wieża jazłowieckiego zamku

choćby z Grecji, Armenii, Turcji oraz z krajów arabskich. O sile ekonomicznej miejscowej gminy ormiańskiej może świadczyć także to, iż posiadała ona swój własny magistrat.

W 1615 r. wspomniany powyżej Jan Jerzy Radziwiłł potwierdził i rozszerzył prawa miejscowych Ormian. Wkrótce też w Jazłowcu, w miejsce pierwotnej świątyni drewnianej, zbudowano murowany kościół ormiański. W 1643 r. osiadł w nim wygnany wtenczas z Moldawii arcybiskup ormiański, a następnie przybywali również inni biskupi tego obrządku, znajdując tam schronienie przed prześladowaniami. W związku z tym kościół ten, nieformalnie, zaczęto nazywać nawet katedrą ormiańską, choć prawnie ośrodkiem diecezji ormiańskiej pozostawał Lwów. Ponadto w Jazłowcu powstał też ormiański klasztor męski.

W 1643 r. kolejnym właścicielem Jazłowca stał się następny „wojenny pan”, a mianowicie doskonały i nie-

zwykle zasłużony wódz hetman wielki koronny i kasztelan krakowski Stanisław Koniecpolski¹⁴⁾. Po rychłej śmierci hetmana, ponoć „od zbyt młodej żony”, dobra te przejął jego syn wojewoda sandomierski Aleksander Koniecpolski, który administrował nimi do 1659 r.¹⁵⁾ Przebudował on i znacznie unowocześnił zamek oraz umocnił fortyfikacje miejskie, co spowodowało, iż miasto to było jednym z nielicznych, których w 1648 r. nie udało się zdobyć Kozakom Chmielnickiego. Wtenczas też jeden z przełożonych miejscowej gminy ormiańskiej, a mianowicie Bogdan Seferowicz, za swą postawę podczas tego oblężenia uzyskał nobilitację zatwierdzoną następnie przez sejm Rzeczypospolitej.

Kres pomyślnemu rozwojowi Jazłowca przyniosły dopiero wojny z Turcją. W 1672 r. zajęła go bowiem potężna armia sułtana Mehmeta IV, przy czym na mocy postanowień haniebnego dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów traktatu zawartego w Buczaczu miasto to znalazło się w granicach Turcji. Późną jesienią 1673 r. na krótko oswobodziły go idące wtenczas pod Chocim wojska koronne. Już jednak w 1676 r. na powrót znalazł się tam turecki garnizon wydzielony z armii dowodzonej przez Ibrahima Szejtana. Tym razem okupacja trwała aż osiem lat i przyniosła miastu ogromne zniszczenia¹⁶⁾. Ponadto, podobnie jak to miało miejsce w przypadku Kamieńca, Jazłowiec opuściła większość stanowiących o jego silnej pozycji ekonomicznej Ormian. Część z nich zdołała się ukryć w okolicznych lasach i zabrać ze sobą słynący cudami obraz Matki Boskiej. W 1684 r. miasto wyzwoliły wojska koronne dowodzone przez świeżo mianowanego hetmana polnego koronnego Andrzeja Potockiego¹⁷⁾, które zmusiły turecką załogę do kapitulacji¹⁸⁾. W rękach polskich Jazłowiec pozostał aż do podpisania w 1699 r. traktatu karłowickiego, na mocy którego Podole wróciło w granice Rzeczypospolitej.

Po wojnach tureckich miasto nie powróciło już do dawnej świetności, stając się niewielkim, prowincjonalnym ośrodkiem rzemieślniczym i handlowym. Nie powrócili już bowiem Ormianie, którzy wcześniej uciekli przed Turkami. Tylko nieliczni z nich po 1700 r. na powrót osiedlili się w Jazłowcu, przy czym z czasem również i oni przenieśli się do korzystniej położonego i uważanego za bezpieczniejszy królewskiego Kamieńca, a także do Brodów i Lwowa. W wyniku tych migracji w drugiej połowie XVIII w. ormiańska społeczność w Jazłowcu praktycznie przestała istnieć, a ormiański kościół i klasztor stały puste. Ich miejsce, tak samo jak w przypadku Kamieńca, jeszcze za panowania tureckiego poczęli zajmować Żydzi¹⁹⁾, którzy jednak nie byli w stanie zapewnić miastu takiej pozycji ekonomicznej, jak Ormianie.

Działo się tak, mimo, iż na początku XVIII w. kolejny właściciel dóbr jazłowieckich i jednocześnie ostatni z rodu Koniecpolskich, a mianowicie wojewoda bractawski i sieradzki Jan Koniecpolski podejmował próby ożywienia życia w mieście. Dlatego też w 1712 r. odnowił prawa miejskie, a w 1718 r. sprowadził paulinów, początkowo osadzając ich na zamku, którego znaczenie militarne z powodu rozwoju artylerii i braku przedsięwzięć modernizacyjnych spadło w tym czasie praktycznie do zera.

Po jego bezpotomnej śmierci w 1719 r. dobra te na krótko znalazły się w rękach Walewskich, a następnie

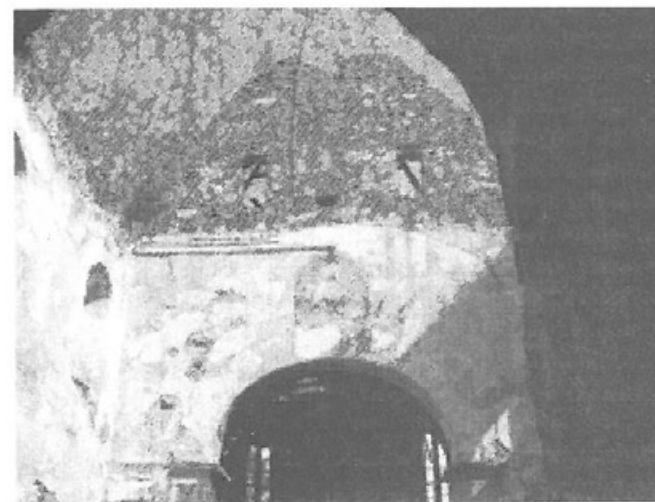
Lubomirskich. W 1746 r. kupił je kasztelan krakowski i wojewoda mazowiecki oraz regimentarz koronny Stanisław Poniatowski, ojciec przyszłego i jednocześnie ostatniego króla Polski. Zaprzagnął on urządzić tam jedną ze swych głównych rezydencji, a ponieważ zamek leżał wówczas w ruinie rozkazał wzniesić na przedzamczu pałac, który szczęśliwie dotrwał do naszych czasów. Po kasztelanie krakowskim Jazłowiec odziedziczył jego syn, a mianowicie podkomorzy koronny Kazimierz Poniatowski, który w 1777 r. majątek ten sprzedał królemu koronnemu Józefowi Potockiemu. Stało się tak w wskutek tego, iż w 1772 r., w wyniku I rozbioru Polski, obszar ten znalazł się pod zaborem austriackim. Za czasów tego ostatniego odbywały się tam spotkania i narady targowiczian oraz masońskie obrzędy.

Okres rozbiorów i towarzyszące mu zmiany ekonomiczne i społeczne doprowadziły do dalszej degradacji znaczenia tego ważnego niegdyś ośrodka miejskiego. W 1798 r. Jazłowiec stracił prawa miejskie, a w 1782 władze zaborcze zlikwidowały pauliński klasztor. W sześć lat potem likwidacji uległ także klasztor dominikański, a opuszczony kościół ormiański w 1809 r. przekazano grekokatolikom.

Na początku XIX w. kolejnym właścicielem dóbr jazłowieckich stał się Krzysztof Grudnicki, dawny plenipotent Potockich, który w 1811 r. przekazał je testamentem swemu kilkuletniemu wówczas wnukowi²⁰⁾, a mianowicie Krzysztofowi Błażowskiemu. Majątek ten objął on jednak dopiero około 1841 r., po śmierci swego ojca Wiktora. Chętniej mieszkał jednakże z swej znacznie skromniejszej rezydencji znajdującej się w sąsiedniej Nowosiółce Jazłowieckiej.

We wrześniu 1862 r. do Jazłowca przyjechała późniejsza matka Marcelina Weryho-Darowska, szukając odpowiedniego locum dla klasztoru i zakładu wychowawczego dla dziewcząt, który zamierzały prowadzić siostry niepokalanki. Zaniedbany pałac leżący w pobliżu zamkowych ruin bardzo się jej spodobał, czemu dała wyraz pisząc: „Pałac ma śliczną, ogromną salę na kaplicę i stary, wielki ogród. Położony jest za miasteczkiem, które tylko z daleka widać, na górze oblanej rzeczką – i samą naturą, jakby oddzielone od reszty świata [...]”²¹⁾. Dlatego też 16 kwietnia 1863 r. pobożny Krzysztof baron Błażowski, w imieniu swoim i swoich następców, przekazał pałac w Jazłowcu, wraz z dziedzińcem oraz przylegającymi do niego ogrodami, „spacerowymi” i „uboczami”, Zgromadzeniu Sióstr Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, które zaledwie kilka lat wcześniej zostało założone w Rzymie²²⁾. Uczynił zaś tak na bezpośrednią prośbę jego współzałożycielki i wieloletniej przełożonej, a mianowicie wspomnianej już wcześniej obecnej błogosławionej Marceliny Darowskiej²³⁾. Od tego momentu Jazłowiec stał się główną siedzibą niepokalanek, które prowadziły tam nowicjat oraz słynną w całej Polsce szkołę dla dziewcząt. Jednym z celów wychowawczych, jaki stawiały sobie zakonnice było ich wychowanie w duchu patriotycznym. Absolwentkami tej szkoły było wiele znanych następnie oraz zasłużonych dla polskiej kultury kobiet, by wspomnieć tutaj choćby o pisarce Marii Rodziewiczównie. Stan taki trwał do 1945 r.

Jednym z najważniejszych wydarzeń w życiu tego klasztoru było umieszczenie w 1883 r. w kaplicy klasz-



Ruiny dawnego, najpierw dominikańskiego, a później parafialnego kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny

tornej wykonanej w Rzymie przez artystę rzeźbiarza Tomasza Oskara Sosnowskiego z białego marmuru kararyjskiego pięknej figury Matki Boskiej Niepokalanej Poczęcia. Jej poświęcenie miało miejsce 10 sierpnia tego roku. Wkrótce też stała się ona obiektem powszechnego kultu, jako słynący cudami wizerunek Najświętszej Pani. W efekcie tego 2 lipca 1930 r. dekretem arcybiskupa lwowskiego Bolesława Twardowskiego zatwierdzono jej oficjalny tytuł brzmiący: Najświętsza Maryja Panna Jazłowiecka. Ponadto 8 grudnia 1938 r. z udziałem sióstr niepokalanek, władz duchownych i świeckich oraz wojska odbyło się pierwsze posiedzenie powstałego wtenczas Komitetu do Spraw Koronacji Najświętszej Marii Panny Jazłowieckiej. Wskutek tych starań już 25 maja 1939 r. ówczesny papież Pius XII podpisał odpowiednie breve zezwalające na koronację. Trzydniowe oraz niezwykle uroczyste i podniosłe uroczystości koronacyjne odbyły się od 7 do 9 lipca 1939 r. Natomiast samego aktu koronacji figury 9 lipca, w imieniu Piusa XII i w otoczeniu licznych biskupów, dokonał prymas Polski ksiądz kardynał August Hlond, któremu asystował ksiądz arcybiskup Twardowski. Ich przebieg, oprócz przedstawicieli duchowieństwa oraz władz państwowych i samorządowych, a także licznych rzesz pielgrzymów przybyłych do Jazłowca niemal z całego Podola²⁴⁾ uświetniła również obecność wojska, głównie zaś 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, którego barwy w postaci umieszczonych na lancach proporczyków pułkowych²⁵⁾, obok maryjnych, ozdabiały koronacyjny ołtarz.

Po raz pierwszy ustabilizowane życie klasztornej społeczności zostało zaburzone podczas I wojny światowej. Jazłowiec znalazł się bowiem w pobliżu linii frontu walczących z sobą wojsk austro-węgierskich i rosyjskich, co spowodowało, że zarówno miasto jak i klasztor kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk. W efekcie tego doszło do licznych i znacznych zniszczeń, a siostrom kilkakrotnie grożono aresztem i uwięzieniem oraz wywiezieniem w głąb Rosji. Ponadto miały także miejsce próby wtargnięcia żołnierzy rosyjskich do klasztoru.

W 1919 r. spokój na tych terenach zmyły wydarzenia związane z trwającą wówczas wojną polsko-ukra-

ińską, w efekcie których miasto to na trwałe zapisało się w polskiej historii, stając się jednocześnie kolejnym miejscem bojowej chwały polskiej kawalerii. W końcowej fazie tego konfliktu, a mianowicie w dniach od 11 do 13 lipca 1919 r., podczas polskiej ofensywy w Galicji Wschodniej pod Jazłowcem oraz w jego okolicach doszło bowiem do intensywnych walk ze znajdującymi się w odwrocie oddziałami Ukraińskiej Armii Halickiej. Pierwszego dnia tych walk piechota polska po sforowaniu Strypy zajęła Jazłowiec, a dowodzony wtenczas przez majora Konstantego Plisowskiego Pułk Ułanów 1 Dywizji Jazdy w szyku konnym zaatakował wycofujących się na wschód Ukraińców, odcinając im drogę odwrotu i rozbijając licznymi szarżami główne ich siły, biorąc przy tym licznych jeńców oraz inną zdobycz wojenną. Ponadto jeden z plutonów pułku majora Plisowskiego wkroczył do Jazłowca uwalniając zarówno miasto jak i klasztor od plądrujących je ukraińskich żołnierzy.

Drugiego dnia wzmocnione nowymi siłami oddziały ukraińskie podjęły kontratak z pozycji leżących na wschód od Jazłowca, który jednak załamał się wskutek działań w szyku pieszym i kolejnych brawurowych szarż ułanów majora Plisowskiego. Niepowodzenia te oraz ogólnie zła sytuacja wojsk ukraińskich spowodowały, że nazajutrz kawalerzyści odnieśli kolejne sukcesy zmuszając Ukraińców do ostatecznego odwrotu²⁶⁾. Podkreślić też należy, iż w walkach tych brał również udział dowodzony przez majora Włodzimierza Kownackiego 6 Pułk Ułanów, który podporządkowano wówczas majorowi Plisowskiemu. Zmęczona i znacznie wykrwawiona polska kawaleria w pościg za oddziałami ukraińskimi ruszyła dopiero 15 lipca osiągając wkrótce linię Zbrucza, co zakończyło wojnę polsko-ukraińską²⁷⁾.

Te oraz inne zwycięskie walki w obronie Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej stały się następnie ważnym elementem tradycji oddziałowej pułku majora Plisowskiego, który 5 sierpnia 1919 r. przyjął nazwę 14 Pułku Ułanów Kresowych. Jednak już w styczniu roku następnego zamieniono ją na „Jazłowieckich” i odtąd aż do końca swego istnienia był to 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich, a jego świętym pułkowe, od 1925 r. na pamiątkę boju pod Jazłowcem, przypadało 11 lipca²⁸⁾. Poza zmianą nazwy w pułku począł się też rozwijać swoisty kult Najświętszej Marii Panny Jazłowieckiej, która jako jego patronka i opiekunka obecna była na sztandarze oraz w obyczajowości oddziałowej, jak choćby w specjalnie ułożonej pułkowej modlitwie. Ponadto ten stacjonujący we Lwowie od jesieni 1921 r. pułk utrzymywał też ścisły i serdeczny związek z siostrami z jazłowieckiego klasztoru²⁹⁾.

Dodać tutaj też można, iż na krótko przed mobilizacją, a mianowicie 7 sierpnia 1939 r. Najświętszą Marię Pannę Jazłowiecką odwiedził też 9 Pułk Ułanów Małopolskich, którego dowódca pułkownik Klemens Rudnicki wraz z delegacją pułku i w obecności całego jego składu osobowego złożył u stóp cudownej figury pułkowe *votum*³⁰⁾. Zbliżał się już jednak ostateczny koniec obecności Rzeczypospolitej na jej dawnych Kresach Wschodnich oraz jednocześnie nieubłagany koniec rycerskich tradycji klasycznej polskiej jazdy.

Zastój ekonomiczny epoki zaborów oraz zniszczenia wojenne z lat 1914–1920 spowodowały, że w okre-

sie II Rzeczypospolitej Jazłowiec był już tylko zwykłą wsią o statusie miejscowości letniskowej. Lata II wojny światowej przyniosły zarówno zakonnikom jak i mieszkańcom Jazłowca oraz okolic nowe, nieznane dotychczas cierpienia i bolesne doświadczenia. Przede wszystkim doszło do zagłady miejscowych Żydów, wywiezionych najpierw do getta w Buczaczu, a następnie zamordowanych. Ponadto w 1943 r. nacjonaści ukraińscy zamordowali proboszcza tamtejszej parafii, a mianowicie księdza Andrzeja Kraśnickiego. Z rąk banderowców zginęło też wtenczas kilka sióstr.

Miary nieszczęść dopełniła jednak zmiana przebiegu wschodniej granicy Polski, do jakiej doszło po umowach zawartych przez aliantów w Jakcie i Poczdamie. W ich wyniku bowiem w 1946 r. cała ludność polska, stanowiąca wtenczas połowę mieszkańców Jazłowca została wysiedlona i wywieziona na tak zwane „ziemie odzyskane”. Ponadto władze sowieckie zamknęły miejscowy kościół parafialny.

Ostatnia msza w klasztornej kaplicy została odprawiona 7 maja 1946 r. przez przybyłego z Czortkowa dominikanina ojca Urbana. W trzy dni później nastąpił wyjazd sióstr niepokalanek z Jazłowca do Czortkowa, gdzie miały oczekiwać na dalszy transport. W klasztorze pozostała jednak figura Matki Boskiej Jazłowieckiej, która dopiero 7 czerwca, przy pomocy saperów Armii Czerwonej, została wymontowana z niszy, w której dotychczas się znajdowała i wywieziona przez siostrę Mariannę na konnym wozie w wymoszczonej plewami skrzyni do Czortkowa³¹⁾.

Odjazd transportu wysiedleńców nastąpił dnia 9 czerwca 1946 r. W ostatnim wagonie, zapakowana w specjalnie przygotowaną do tego przez czortkowskich dominikanów pakę, jechała figura Najświętszej Marii Panny Jazłowieckiej, która 24 czerwca tego roku, po dwóch przesiadkach, przybyła do swej nowej siedziby, czyli do Szymanowa pod Warszawą, gdzie pozostała do dnia dzisiejszego.

Po wyjeździe zakonnic zniszczeniu uległo całe pozostałe klasztorne wyposażenie, porozbijano i połamano krzyże oraz figury świętych. Spalono też pozostawione przez mniszki książki z bogatej niegdyś biblioteki³²⁾. Natomiast w zamkniętym i opuszczonym oraz zdewastowanym w ten sposób klasztorze władze sowieckie urządziły sanatorium przeciwgruźlicze, a w dotychczasowej kaplicy umieszczono świetlicę. Ponadto w 1947 r. dotychczasową nazwę miejscowości Jazłowiec zmieniono na Jabłuniwkę. Sytuacja taka trwała aż do końca istnienia Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich.

Po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości przywrócono starą nazwę miejscowości. Ponadto w końcu lat 90-tych XX w. władze ukraińskie zezwoliły na powrót niepokalanek do ich dawnego klasztoru, zwracając im jednocześnie znaczną część posiadanych dawniej przez to zgromadzenie budynków oraz innych nieruchomości³³⁾. Pierwsze siostry przybyły z Polski. Szybko też otworzono nowicjat, a w 2002 r. w klasztornej kaplicy pojawiła się kopia cudownej figury Najświętszej Marii Panny Jazłowieckiej. Działa tam również ośrodek rekolekcyjny.

Obecnie miejsce to jest ostoją porządku i kultury oraz swoistego, niemal niebiańskiego spokoju. Gdyby nie dominująca wśród młodych sióstr oraz nowicjuszek mowa ukraińska, a także gdyby nie świadomość bolesnych i złożonych dziejów tego niezwykłego miejsca w przeciągu ostatnich 60 lat, można by odnieść mylne wrażenie, że od czasów błogosławionej matki Marceliny Darowskiej niewiele się zmieniło. Życie toczy się jednak swoim torem. Należy mieć jednakże nadzieję, iż dla potencjalnego wędrowca lub pielgrzyma przybywającego obecnie z dalekiej Polski klasztor ten nadal pozostanie gościnnym i przyjaznym miejscem oraz, że długo jeszcze zachowa się towarzysząca mu atmosfera niezwykłości, podobnie jak też specyficzne piękno otaczającego go krajobrazu. (c.d.n.)

Iwo Werschler

Karol Szajnocha (1818–1868) – dziejopisarz, chluba Lwowa

Odwołując się do Lwowa każdy Polak wstąpi niewątpliwie na cmentarz Łyczakowski, jedną z najwspanialszych nekropolii europejskich, a zarazem wielką skarbnicę naszych dziejów. Pod licznymi pomnikami nagrobnymi dłuta cenionych rzeźbiarzy spoczywają prochy wybitnych i zasłużonych dla Polski ludzi.

Jeśli wejdziemy na cmentarz przez neogotycką bramę i znajdziemy się na pierwszym rondzie, skierujemy się prawą aleją główną w stronę cmentarza Obrońców Lwowa. Już wkrótce, po prawej stronie, zauważymy okazały grobowiec w kształcie piramidy z wielkim orłem na szczycie. Jest to miejsce spoczynku zapomnianego dzisiaj, a głośniego przed laty historyka i literata Karola Szajnochy. Jego popiersie znajduje się w niszy pomnika, po bokach którego umieszczono dwie postaci ko-

biece. Są to figury muz – Klio i Melpomeny, opiekunek historii i tragedii, dziedzin, którymi parzył się Szajnocha. W tym roku przypadają dwie okrągłe rocznice: 190 – urodzin i 140 – śmierci pisarza. Warto zatem przypomnieć jego sylwetkę i dorobek naukowy.

Karol Szajnocha urodził się 20 listopada 1818 r. w Komarnie koło Sambora. Ojciec, Wacław Scheinocha–Wtelensky, był Czechem, z zawodu chirurgiem wojskowym, pracującym pod koniec życia jako tzw. mandatariusz, czyli urzędnik sprawujący czynności administracyjne i policyjne na terenie dominium, najniższej jednostki administracyjnej w ówczesnej Galicji; matka, Maria z Łozińskich, była Polką. Podobnie jak wielu innych młodych ludzi z takich mieszanych małżeństw Karol stał się gorącym patriotą polskim. Będąc

studentem Uniwersytetu Lwowskiego Szajnocha, bo tak się już podpisywał, został aresztowany pod zarzutem „zaburzania spokoju wewnętrznego”. Poszło o znalezione u niego utwory pisane z okazji jednej z rocznic powstania listopadowego. Uznany za „osobnika szczególnie niebezpiecznego” i wroga „wszelkiego rządu monarchicznego”, skazany został na ciężkie więzienie. Półtora roku przebywał w nieludzkich, odrażających warunkach. Pobyt w austriackich kazamatach zniósł dzielnie, ale wyszedł z nich z zarodkiem choroby, która przyprawiła go w przyszłości o utratę wzroku i przedwczesny zgon.

Po wyjściu z więzienia Szajnocha znalazł się w trudnej sytuacji materialnej. Ojciec, pozbawiony posady, a następnie uwięziony za „winy” syna, zmarł w więzieniu. Karolowi zaś wzbroniono „przystępu do wszystkich zakładów naukowych państwa austriackiego, nie wyłączając Lwowa, z którego miał uchodzić bez zwłoki”. Pragnąc uczyć się dalej rozpoczął studia na własną rękę. Musiał jednak dodatkowo zarabiać na utrzymanie matki i trojga młodszego rodzeństwa. Udzielał więc korepetycji oraz tłumaczył różne teksty na potrzeby miejscowych księgarzy. Wolny czas poświęcał na lekturę prac historycznych. Już w więzieniu uczył się samodzielnie języków angielskiego i francuskiego, opanował też niemiecki i łacinę.

Swą działalność literacką Karol Szajnocha rozpoczął pisząc sztukę sceniczną „Stasio”, która jednak wykazała, że jej autor nie posiada większego talentu do dramaturgii. Uzyskawszy po pewnym czasie pozwolenie na powrót do Lwowa podjął współpracę z redakcją „Gazety Lwowskiej”; współredagował tygodniowy dodatek – „Rozmaitości”. Nadal też próbował swych sił na polu literackim, czego plonem są dramaty „Panicz i dziewczyna” oraz „Jerzy Lubomirski”. W roku 1847 został współpracownikiem „Czasopisma Zakładu Narodowego im. Ossolińskich”, w którym zamieszczał swoje pierwsze prace historyczne.

Tymczasem w Galicji miały miejsce ważne i tragiczne wydarzenia lat 1846–1848 – „rzeź galicyjska” i „Wiosna Ludów”. Wobec tych wydarzeń Szajnocha nie pozostał obojętny zajmując postawę demokratyczną i współdziałając w rozwoju ruchu wolnościowego. Po stłumieniu przez Austriaków polskich dążeń narodowych i „zbombardowaniu” Lwowa ogniem artylerii, postanowił pokrzepić serca rodaków przypominając trudne lecz zakończone szczęśliwie zdarzenia z przeszłości. Wtedy to napisał swoje pierwsze większe prace historyczne: „Bolesław Chrobry” i „Pierwsze odrodzenie się Polski 1279–1333”. Dzieła te spotkały się z zainteresowaniem czytelników i uzyskały pochlebne recenzje krytyków. Redagując po pewnym czasie „Dziennik Literacki” głosił Szajnocha hasło odejścia od rewolucyjnych metod działania i opowiadał się za pracą na rzecz postępu gospodarczego, podnoszenia oświaty i rozwoju życia umysłowego. Propagował tym samym program pozytywistyczny.

W 1853 r. Szajnocha otrzymał posadę zastępcy kustosza w Ossolineum. Pracując na tym stanowisku położył wielkie zasługi przy porządkowaniu i katalogowaniu księgozbioru oraz przy korekcie nowego wydania „Słownika języka polskiego” S. B. Lindego. Niestety, pogarszający się już od 1849 r. stan jego oczu nie po-

zwolił na dalsze zajmowanie się tą pracą. W 1855 r. zmarła mu matka. Zachowały się listy pisane przez Karola do niej, które są tak piękne i pełne tkliwego uczucia, że mogą iść w porównanie z listami Juliusza Słowackiego do matki. W tym samym roku Szajnocha wydał dzieło swego życia, nad którym pracował od sześciu lat – „Jadwigę i Jagiełłę”.

Dzieło to, obejmujące lata 1374–1413, powstało po wieloletnich studiach, wielonocnym ślęczeniu nad rękopisami i starodrukami. Współcześni ocenili je jako piękniejszy owoc jaki narodził się z geniuszu Szajnochy i przyjęli entuzjastycznie. Krytycy zwracali uwagę na drobiazgową charakterystykę epoki, podkreślali gruntowną wartość naukową, a „świat czytelniczy” zachwycił się malowniczością opowieści odsłaniającej nieznane dotąd widoki. Warto przypomnieć, że Henryk Sienkiewicz urzeczony urokiem tej książki napisał swą powieść „Krzyżacy”, choć w opinii znawców nie dorównał w niej mistrzostwu Szajnochy. Jan Matejko natomiast, zainspirowany jego dziełem, namalował „Bitwę pod Grunwaldem”. Na pracach Szajnochy kształtował swą wiedzę o przeszłości Polski także Stanisław Wyspiański.

Pisząc „Jadwigę i Jagiełłę” Karol Szajnocha pracował jeszcze w redakcji lwowskich „Rozmaitości”, gdzie miał okazję poznać bliżej pisarzy Walerego Łozińskiego i Józefa Korzeniowskiego. Jednak postępująca choroba oczu powodowała stopniowo utratę wzroku. Nie pomogli nawet najlepsi okuliści zebrani na kongresie w Brukseli, u których Szajnocha szukał ratunku. Wkrótce ociemniał całkowicie. Zmusiło go to do posługiwania się przy pisaniu obcą ręką. Wielką pomoc okazywała mu wtenczas jego żona Joanna z Bilińskich.

Będąc w Brukseli Karol Szajnocha poznał przebywającego na emigracji Joachima Lelewela, którego nazywał swoim mistrzem i nauczycielem. Po powrocie do Lwowa wydał w roku 1858 kolejną książkę „Lechicki początek Polski”, w której lansował pogląd o powstaniu państwa polskiego w wyniku najazdu skandynawskich Normanów zwanych Lachami. Pogląd ten był wynikiem przyjęcia tzw. teorii najazdu mającej swe źródło w niedocenianiu państwowotwórczych zdolności Słowian. Korzystając, ze względu na postępującą ślepotę, z pomocy lektorów Szajnocha napisał i opublikował w 1860 r. pracę „Mściciel”, której bohaterem był Jan III Sobieski; miała to być pierwsza część cyklu opowiadań o zwycięzcy spod Wiednia. Ze względu na chorobę, cyklu tego Szajnocha nie zdołał kontynuować.

Ostatnim dziełem wielkiego historyka były „Dwa lata dziejów naszych”. Ociemniały autor pisał je posługując się specjalnie sporządzoną tabliczką z wysuwanymi linijkami, ale jedynie doskonała pamięć, w której zgromadził ogromny zapas wiedzy, niestrudzona żona oraz lektorzy, z których pomocy nie zawsze jednak był w pełni zadowolony, pozwoliły mu na wykonanie postawionego sobie zadania. Praca składa się z dwóch tomów. W pierwszym, traktującym o wydarzeniach roku 1646, Szajnocha analizuje przyczyny wybuchu powstania Chmielnickiego, w drugim zaś opisuje jego początek. Surowo ocenia rolę magnaterii i szlachty, widząc w przywódcy Kozaków „narzędzie pokarania narodu polskiego” za krzywdy wyrządzone ludowi.

Poza wymienionymi dziełami wydał Karol Szajnocha cztery tomy szkiców historycznych uznanych przez

badaczy jego twórczości za prawdziwe „klejnociki łączące lekkość formy, wdzięk i artystyczne przedstawienie z trafnością charakterystyki, polotem i przenikliwością historycznego spojrzenia oraz barwnością obrazu dziejowego”. Mistrzem naszego dziejopisarza w tym zakresie był historyk angielski T. B. Macaulay. Jednym z ważnych odkryć, którego Szajnocha dokonał, było wykazanie, iż autorem siedemnastowiecznego poematu „Wojna chocimska” jest poeta epoki baroku Wacław Potocki, a nie Andrzej Lipski, jak dotąd sądzono.

Mimo że w miarę upływu czasu rosła sława pisarza i uznanie dla jego twórczości, nadal musiał borykać się z wieloma trudnościami. Liczne przeszkody stwarzała mu austriacka cenzura. Po upadku powstania styczniowego, dla którego Szajnocha nie krył swego poparcia, utracił posadę kustosa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, otrzymując tylko połowę poborów służby czynnej (kwartalnie 91 reńskich i 86 krajcarów, co nie wystarczało na utrzymanie niewidomego pisarza i jego rodziny). Całe życie zresztą towarzyszyły mu kłopoty materialne. Szukając z nich wyjścia usiłował ratować się pożyczkami krótkoterminowymi, które musiał zaciągać u Żydów. Dwadzieścia lat ciągnęła się sprawa o spłatę zaciągniętego w 1847 roku kredytu wekslowego w wysokości 250 reńskich. Do 1850 r. Szajnocha zwrócił Abrahamowi Polturakowi 175 reńskich. O niezapłaconą resztę właścicielka weksla, Blume Polturak, wytoczyła w 1866 roku ociemniałemu historykowi proces, który dopiero po jego śmierci zakończył się ugodą.

Niektórzy uważali Szajnochę za mizantropa. W rzeczywistości jednak dziejopisarz nie stronił od ludzi. Opiekował się także młodzieżą, w której widział „przyszłą dźwignię i podporę ojczyzny”. Wyrazem uznania

dla jego pracy było zaproszenie go w 1862 roku na katedrę dziejów ojczystych odradzającego się Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zaproszenia tego, wystosowanego przez studentów krakowskiej uczelni, ze względu na utratę wzroku nie mógł przyjąć. Innym wyrazem uznania dla twórczości Szajnochy było sporządzenie na jego rzecz w 1865 roku zapisu przez bogatego przemysłowca z Odessy, Michała Konarskiego. Była to pierwsza nagroda, jaką kiedykolwiek otrzymał w Polsce historyk! Z uznaniem o pracach Szajnochy wypowiadali się m.in. J. Lelewel, J. I. Kraszewski i Julian Bartoszewicz, ceniony historyk warszawski. Władysław Łoziński napisał, że Szajnocha „był w poezji historykiem, a w historii – poetą”.

Dzisiaj, zapewne w pewnym stopniu wskutek archaizmu dziewiętnastowiecznego języka, dzieła Karola Szajnochy czytane są już chyba tylko przez specjalistów zajmujących się zawodowo historią. Ostatnie bowiem wydanie „Jadwigi i Jagiełły” ukazało się w 1974 roku. Myślę, że miłośnicy naszej przeszłości znajdą w tym dziele wiele nieznanych, a bardzo interesujących wiadomości. Wspomniane zaś na wstępie okrągłe rocznice urodzenia i zgonu, głośnego niegdyś i cenionego pisarza historycznego, skłonić powinny głębiej interesujących się przeszłością do sięgnięcia po jego dzieła.

Literatura:

Wiktor Hahn, Karol Szajnocha jako autor dramatyczny, Wrocław 1948;
Korespondencja Karola Szajnochy, Wrocław 1959;
Słownik historyków polskich, Warszawa 1994;
Iwo Werscher, Twórczość naukowa Karola Szajnochy, praca magisterska, 1955. □

Jarosław Tadeusz Leszczyński Gród nad Złoczówką

Przy drodze ze Lwowa do Tarnopola, w pobliżu wzgórz wyżynnego pasma Woronia i Gologór, wchodzących w skład Wyżyny Podolskiej, nad rzeczką Złoczówką, będącą dopływem małego, bo dopiero w tych okolicach wypływającego Bugu, leży powiatowe miasto Złoczów, liczące obecnie 24000 mieszkańców. W okresie II Rzeczypospolitej leżało w województwie tarnopolskim, obecnie zaś wchodzi w skład oblasti lwowskiej.

Pierwsza historyczna wzmianka o Złoczowie pochodzi z 1427 r. Położenie miejscowości przy uczęszczanym szlaku handlowym było dla niej silnym czynnikiem miastotwórczym. Prawa miejskie magdeburskie Złoczów otrzymał w 1523 r. z rąk króla Zygmunta I Starego wraz z przywilejami na cotygodniowe targi w soboty oraz jarmarki na Zielone Świątki i 11000 Panien.

Miasto było kolejno własnością znakomitych rodów: Sienieńskich, Górków, Daniłowiczów, Sobieskich i wreszcie Radziwiłłów. W 1553 r. Stanisław Sienieński sprzedał Złoczów rodzinie Górków. W okresie ich władania tym kresowym miastem, otrzymało ono przywilej na kolejny jarmark w święto Trzech Króli. W końcu XVI stulecia miasto przeszło na własność Daniłowiczów,

a około 1630 r. drogą koligacji nabył je Jakub Sobieski, ojciec Jana, wpięty hetmana wielkiego koronnego, a następnie króla Polski. W mieście powstała kolonia kupców i rzemieślników ormiańskich, którzy tu posiadali swój kościół.

Jan III Sobieski idąc na wyprawę przeciw Turkom, zatrzymał się tu w końcu października 1674 r. czekając na posiłki elektora brandenburskiego w liczbie 1200 żołnierzy. Na odprawionej tu radzie wojennej, widząc że Ojczyzna w potrzebie, król odrzucił uroczystość koronacyjną i pozostawił w Złoczowie żonę Marysienkę, a następnie wyruszył na Podole. Ówczesny Złoczów był dobrze obwarowanym miastem (warownie liczyły 4 baszty) i dlatego więziono w nim jeńców tatarskich i tureckich. Złoczów był jednym z bardziej ulubionych miejsc króla-zwycięzcy. Po jego śmierci tutejsze dobra przeszły na własność jego syna Jakuba – niedosłego króla, w rękach którego pozostawały aż do zgonu królewicza w 1740 r., po czym drogą koligacji weszły w posiadanie Radziwiłłów. W XIX stuleciu kolejnymi posiadaczami Złoczowa byli Komarnicy.

W XVIII w. Złoczów stał się ważnym ośrodkiem żydowskiego ruchu chasydzkiego. Działał tu cadyk Jehiel Michael w latach 1770–1786.

Po I rozbiorze Polski (1772 r.) miasto znalazło się w zaborze austriackim. Cesarz Józef II dokonał kasaty istniejących tu dwóch klasztorów katolickich – reformatorów i pijarów.

W 1914 r. Złoczów liczył 13000 mieszkańców i posiadał Hotel Grosskopa.

W przededniu wybuchu II wojny światowej w Złoczowie mieszkało około 6000 Żydów, co stanowiło 50% mieszkańców miasta. Po najeździe hitlerowskich Niemiec (22 VI 1941 r.) na ZSRR Sowieci uchodząc ze Złoczowa wymordowali przetrzymywanych w więzieniu na miejscowym zamku więźniów narodowości polskiej i ukraińskiej.

Nowa okupacja hitlerowska dokonała zagłady Żydów złoczowskich 4 lipca 1941 r. Pogromu tutejszych starozakonnych dokonali nacjonaści ukraińscy podjudzani przez hitlerowców. Tych, którzy ocaleli w liczbie 5000 osób zamknięto w utworzonym getcie. Większość z nich została wywieziona do obozu zagłady w Bełżcu, gdzie zostali zamordowani.

Po II wojnie światowej Złoczów przeszedł z województwa tarnopolskiego do lwowskiego.

W Złoczowie zachowało się kilka zabytków sztuki.

Zacznijmy od kościoła rzymskokatolickiego pw. Wniebowzięcia NMP. Wzniesiony został w latach 1731–1763 z fundacji królewicza Jakuba Sobieskiego jako klasztorna świątynia zakonu pijarów, którzy tu posiadali swoje kolegium. Klasztor został zlikwidowany



Kościół rzymskokatolicki w Złoczowie
pw. Wniebowzięcia NMP

w 1788 r. podczas kasaty józefińskiej dokonanej przez Austriaków. Kościół został zamieniony na magazyn. Do kultu przywrócono go w 1838 r. i od tego czasu był nieprzerwanie czynny aż do chwili obecnej. W trudnych czasach niewoli sowieckiej kościół złoczowski był jedną z 13 funkcjonujących świątyń rzymskokatolickich na całej zachodniej Ukrainie. Przez kilkadziesiąt lat proboszczem był tu ks. Jan Cieński wywodzący się z arystokratycznego, hrabiowskiego rodu. Posługę duszpa-



Wnętrze kościoła rzymskokatolickiego w Złoczowie
pw. Wniebowzięcia NMP

sterską w złoczowskiej parafii rozpoczął jeszcze podczas okupacji hitlerowskiej i pełnił ją aż do śmierci w latach 90. XX wieku (zmarł mając 103 lata). Był jedynym kapłanem spośród duchownych rzymskokatolickich pozostałych na Zachodniej Ukrainie po zakończeniu II wojny światowej i tzw. „repatriacji”, który przez cały czas pozostawał na wolności i nigdy nie został aresztowany. Stało się to zapewne z tego powodu, że w 1944 r. udzielił schronienia na plebanii rannemu oficerowi NKWD, którego pielęgnował przez kilka tygodni. To zapewne wdzięczność podopiecznego i jego protekcja sprawiły, że zarówno duszpasterza, jak i świątyni nigdy nie ruszono. W ostatnich latach życia ks. Jan Cieński został wyświęcony potajemnie na biskupa. Fakt ten ujawniono dopiero po jego śmierci.

Kościół jest świątynią trójnawową. Fasadę jego przebudowano w 1878 r. nawiązując do architektury późnego baroku. Od frontu dostawiono wieżę dzwonową, lecz nie nad głównym wejściem, ale z lewej strony fasady czyniąc w ten sposób asymetryczną jej kompozycję. Nabożeństwa w kościele odbywają się wyłącznie po polsku.

W centrum Złoczowa, w niewielkiej odległości od wyżej opisywanego kościoła rzymskokatolickiego wznosi się cerkiew greckokatolicka pw. Zmartwychwstania Pańskiego. Świątynia zbudowana została w latach 1624–1626 z fundacji Jakuba Sobieskiego (ojca króla) jako rzymskokatolicki kościół parafialny, którym był do 1838 r. Wtedy to w wyniku porozumienia obu obrządków został przekazany grekokatolikom. Po „Synodzie Lwowskim” zwołanym w marcu 1946 r. z inspiracji Stalina służył prawosławnym i dopiero w niepodległej Ukrainie stał się na powrót kościołem greckokatolicką. Cerkiew jest świątynią jednonawową o dwuspadowym dachu. Z kalenicy dachu wystaje kopuła, wewnątrz której zachowane są wykona-

ne w stiuku monumentalne płaskorzeźby przedstawiające świętych.

Najciekawszym zabytkiem miasta, który odwiedzają wszystkie wycieczki doń zaglądające, jest zamek położony na płaskowyżu, w południowo-wschodnim krańcu miasta.

Już w końcu XVI w. istniała tu drewniano-ziemna fortalicja. W latach 1634–1636 w jej miejscu Jakub Sobieski, wojewoda ruski i ojciec króla, zbudował obecny zamek na planie zbliżonym do kwadratu. Zamek został w 1672 r. zdobyty i zrujnowany przez wojska tureckie. Odbudowany oparł się w 1675 r. hordom tatarskim Hadzi-Gireja. Jan III Sobieski rozbudował go w 1686 r. i od tego czasu stał się on jedną z najbardziej ulubionych jego siedzib.

W okresie zaborów władze austriackie przeznaczyły zamek złoczowski na koszary wojskowe (1834 r.), a następnie na więzienie (1873 r.). Więzienie to najgorszą sławą zapisało się w okresie II wojny światowej, gdy było katownią najpierw NKWD, a następnie gestapo. Po 22 czerwca 1941 r. w obliczu najazdu Niemiec na ZSRR NKWD wymordowało wszystkich przebywających tu więźniów. W 1986 r. zamek przeszedł na własność Lwowskiej Galerii Obrazów, która przeznaczyła go na cele muzealne.

Twierdza zbudowana jest na planie kwadratu i na narożach posiada bastiony. Nasypy ziemne swoją wy-



Pawilon Chiński w zespole zamku w Złoczowie

sokością przekraczają mury kamienne z wieżyczkami strażniczymi. Na dziedzińcu zamku (z fontanną pośrodku) wchodzi się przez budynek bramny. Perspektywę dziedzińca zamyka Pawilon Chiński pochodzący z XVIII w. W zachodniej części dziedzińca stoi późnorenansowy, skromnie zdobiony pałac, który obecnie mieści sale wystawowe. □

ks. inf. Stanisław Turkowski

Ksiądz Stanisław Frankl (1903–1944)

Człowiek żywej wiary, nauki i kultury, rektor Seminarium Duchownego we Lwowie w okresie drugiej wojny światowej



Ks. Stanisław Frankl w 1929 r.

jąwszy stanowisko rektora lwowskiego seminarium duchownego po księdzu biskupie Eugeniuszu Baziaku tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, swoją nieugiętą postawą i determinacją zdołał wśród wielu trudności uchronić tę najważniejszą dla Kościoła instytucję podczas okupacji sowieckiej i niemieckiej. To właśnie dzięki niemu kilka roczników alumnów lwowskiego seminarium, wśród których byłem również i ja, mogło

Jest wiele powodów przybliżenia postaci niezwykłego kapłana Polaka, który swoje życie, prace naukową, wychowawczą i cierpienie poświęcił Kościołowi i Ojczyźnie w dramatycznych warunkach drugiej wojny światowej głównie na terenie miasta „zawsze wiernego”.

Dwa motywy stały się dla mnie zachętą napisania w dużym skrócie niniejszych wspomnień po upływie wielu lat. Pierwszy podyktowany został względami osobistymi, bo to właśnie ks. prof. dr hab. Stanisław Frankl ob-

ukończyć rozpoczęte wcześniej studia i dojść do celu swoich zamierzeń i powołania do służby kapłańskiej.

Mam ogromny szacunek i trwałą wdzięczność dla wszystkich profesorów Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, którzy imponowali nam klerykom erudycją i doświadczeniem dydaktycznym. Żywię cześć dla wychowawców i moderatorów naszego seminarium, którzy okazali klerykom wiele serca, taktu pedagogicznego oraz osobistej przyjaźni w chwilach przełomowych, ale podziw szczególnie oraz wdzięczność serca zachowałem dla tego, który w chwilach bolesnych napięć i prób potrafił dać nam to, co najważniejsze: postawę głębokiej żywej wiary, umiłowanie Kościoła i Polski.

Drugi powód moich refleksji, to fakt, że w osobie i działalności księdza Frankla, w jego niezwyklej biografii odzwierciedla się dramat bolesnych dziejów Lwowa, Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej, a zwłaszcza tragiczne losy lwowskiej archidiecezji obrządku łacińskiego „krzyżem znaczonej” podczas wydarzeń drugiej wojny światowej. Wystarczy bowiem przytoczyć tylko ogólne znane i szeroko opisywane bolesne przeżycia Polaków pod okupacjami sowiecką i niemiecką, a zwłaszcza dokonane w tym okresie na polskiej ludności ludobójstwo i czystkę etniczną przy aktywnym udziale ukraińskich nacjonalistów. Wśród duchownych jacy ponieśli wówczas męczeńską śmierć za wiarę i Ojczyznę było dwóch moich kolegów kursowych: Józef Janas zamordowany jako kleryk trzeciego roku naszego seminarium

pod Brzeżanami we wrześniu 1939 roku oraz ksiądz Jan Kuszyński, który zginął pod ciosami banderowców 14 lutego 1944 r. w Toporowie, parafia Radziechów, dekanat Busk. Praca dydaktyczno-wychowawcza naszych profesorów, a zwłaszcza postawa naszego rektora w tym czasie, przygotowały nas na wszelkie możliwości bolesnych doznań, jakie możemy napotkać na drogach życia poświęconego Bogu i Kościołowi.

Stanisław Frankl urodził się 15 stycznia 1903 r. w miasteczku Tłuste na Podolu w województwie tarnopolskim. Jego rodzicami byli Adolf i Zefiryna z domu Venzel. Przodkowie tej rodziny wywodzili się z Górnej Austrii, przybyli na teren Galicji podczas zaboru. Państwo Adolf i Zefiryna Franklowie byli rodziną wielodzietną, w której na świat przyszło dziesięcioro dzieci, z których ośmioro doszło do wieku dojrzałego. Rodzina ta już w drugim pokoleniu po przybyciu na teren wschodniej Galicji, podobnie jak wiele innych, dzięki panującej tam atmosferze kulturowej i narodowej uległa spolonizowaniu do tego stopnia, że polskość stała się wyłączną domeną wychowania dzieci.

Podobnie jak i jego rodzeństwo Stanisław wzrastał w klimacie żywej wiary religijnej i polskości znaczonej obyczajem i tradycją lokalną. To bowiem było znamieną cechą naszych Kresów Wschodnich od wielu pokoleń.

Bardzo skromne warunki materialne oraz surowe wymogi wychowawcze przygotowały Stanisława do systematycznej pracy, poczucia odpowiedzialności, organizacji czasu nad formacją charakteru i dojrzałej osobowości.

Nie ulega wątpliwości, że podstawy całej działalności późniejszego kapłana, naukowca i wychowawcy kleryków należy poszukiwać właśnie u źródeł rodzinnych. W jego bowiem osobie można odnaleźć w całej pełni potwierdzenie znanych słów kanadyjskiego uczonego Adlera, który napisał, że „żadne szkoły, uniwersytety i dyplomy nie dają człowiekowi tych wartości jakie wynosi z domu rodzicielskiego”.

O tym jakie warunki i atmosfera panowały w rodzinnym domu księdza Rektora Frankla, mogłem się bliżej dowiedzieć, gdy po wojnie w roku 1946 znalazłem się w Oleśnicy Śląskiej jako wikary i katecheta Liceum Ogólnokształcącego, do którego uczęszczało dwoje dzieci brata księdza rektora Tadeusza, urzędnika pocztowego w Oleśnicy. Uczyłem jego syna Jerzego oraz córkę Lidę. Państwo Franklowie mieszkali tuż obok kościoła w sąsiedztwie plebani tak, że mogliśmy się spotykać często. Z prowadzonych wtedy rozmów mogłem stwierdzić, że zarówno bratanek, jak i bratanica zachowali żywą pamięć o nieżyjącym stryju księdzu Stanisławie i wyrażali się o nim z najwyższym szacunkiem i dumą. Obydwoje należeli do najlepszych uczniów oleśnickiego liceum. Byli świadkami tego, że w ich rodzinie panowała atmosfera tradycyjnie religijna, polska, duch autentycznego patriotyzmu świadomie przekazywanego pokoleniom. Można więc mieć głębokie przekonanie, że nastawienie do spraw wiary, Kościoła oraz życia społecznego jakie reprezentował ksiądz rektor Stanisław Frankl wyniósł ze swej rodzinnej dobrze zorganizowanej i odpowiedzialnie działającej rodziny, z domu rodzinnego.

Po ukończeniu szkoły powszechnej w Tłustem Stanisław Frankl udał się do Czortkowa, gdzie w roku 1924 zdał z odznaczeniem egzamin dojrzałości w Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego, po czym wstąpił do Metropolitalnego Seminarium Duchownego obrządku

łacińskiego we Lwowie, rozpoczynając równocześnie studia filozoficzno-teologiczne na Wydziale Teologii Uniwersytetu Jana Kazimierza. Wybitne uzdolnienia oraz ogromna pracowitość jakie cechowały alumna Frankla, zwróciły uwagę przełożonych seminaryjnych i profesorów uniwersyteckich, dając władzy archidiecezjalnej podstawy decyzji, by już po dwóch latach skierować go na specjalistyczne studia teologiczne do Innsbrucka w Austrii. Po ich ukończeniu w lipcu 1929 r. przyjmuje święcenia kapłańskie w archikatedrze lwowskiej. Jako młody kapłan powraca do Innsbrucka, by kontynuować studia uwieńczone w roku 1931 doktoratem na podstawie pracy „Ukamenowanie Świętego Szczepana”, napisanej w języku łacińskim. Tym językiem posługiwał się później na wykładach z dogmatyki dla alumnów lwowskiego seminarium. Powraca do archidiecezji i zostaje skierowany na wikariat do Radziechowa w województwie tarnopolskim, a po roku gorliwej posługi dusz-pasterskiej wysoko ocenianej przez przełożonych, zostaje mianowany wikariuszem katedry i katechetą Żeńskiego Gimnazjum im. Królowej Jadwigi we Lwowie.

Arcybiskup Bolesław Twardowski obserwując całokształt działalności pastoralnej i naukowej oraz sumienność podejmowanych przez młodego kapłana inicjatyw, kieruje go w roku 1932 na dalsze studia do Rzymu, gdzie po dwóch latach, tj. w 1934 roku na Uniwersytecie Gregoriańskim uzyskuje habilitację w zakresie teologii dogmatycznej na podstawie rozprawy pt. „Doktryna Hozjusza o znamionach Kościoła” wydanej drukiem we Lwowie w roku 1935.

Będąc już wykładowcą na Wydziale Teologicznym UJK jako docent, w grudniu 1938 roku otrzymał nominację na profesora nadzwyczajnego, co łączyło się z bogatym dorobkiem naukowym dokumentowanym wieloma publikacjami jakich wymaga procedura profesorska na wyższych uczelniach. W rok później został rektorem Metropolitalnego Seminarium Duchownego obrządku łacińskiego we Lwowie.

Wybuch drugiej wojny zastał księdza Frankla na tym odpowiedzialnym i trudnym stanowisku, wśród wielu napięć i niebezpieczeństw jakie trzeba było ustawnie przezwyciężać.

Letnie wakacje w 1939 roku spędzałem jak zwykle w rodzinnym Sanoku i w Rymanowie Zdroju. Tam zaczęły dochodzić wieści o zbliżającej się zawierusze wojennej. Pamiętam występy lwowskiego chóru akademickiego w pięknej sali Domu Zdrojowego oraz patriotyczne utwory wtedy wykonywane przy wielkim aplauzie publiczności. Pieśni wówczas śpiewane budziły ducha w narodzie i wytwarzały atmosferę, że „jesteśmy niezwyciężeni”. Mało kto dopuszczał możliwość klęski. W takim też przekonaniu utwierdzały mnie spotkania z kolegami mojego gimnazjum, którzy zmobilizowani udawali się na front walki. Dzień 1 września był dla mnie wielkim zaskoczeniem pomimo wszystko.

Pod wpływem rozsiewanych pogłosek o możliwości poboru młodych Polaków do wojska niemieckiego, w ósmym dniu wojny zdecydowałem się wraz z moim bratem Tadeuszem uczniem 7 klasy gimnazjalnej wyjechać do Lwowa. Po wielu przygotowaniach wśród nalotów i bombardowań udało się nam przybyć nocą 12 września do Lwowa. Była godzina 23. Było widać liczne pożary i palący się dach na kościele jezuitów. Miasto w ciemnościach przeżywało już oblężenie armii hitlerowskiej. Słychać było strzały armatnie. Zabudowania

seminaryjne pogrążone były w mroku. Do budynku wpuścił nas pan Franciszek, portier, dawny kamerdyner Arcybiskupa Bilczewskiego. On zaprowadził nas do pokoju księdza rektora, którym od kilku tygodni był ksiądz profesor Frankl. Pracował właśnie w swoim pokoju na I piętrze, podczas gdy prawie wszyscy mieszkańcy domu przebywali już w schronach mieszczących się w obszernych poklasztornych piwnicach. Ksiądz rektor przyjął nas, tj. mnie, mego kolegę Tadeusza Wojciechowskiego oraz mego brata Tadeusza bardzo serdecznie, uprzedziwszy o wyjątkowych warunkach wynikających ze stanu wojennego. Na moją prośbę pozwolił też pozostać memu bratu, do czasu możliwości połączenia się z rodziną mieszkającą stale we Lwowie. Poleciał dać nam jakiś posiłek, poczym wskazał sam dwa wolne pokoje, choć jak mówił – należy ściśle przestrzegać poleceń przełożonych, zwłaszcza obowiązek przebywania w schronach piwnicznych, zgodnie z zaleceniami. Sam jednak nigdy do schronów nie schodził poza krótkimi wizytami celem sprawdzenia obecności oraz słów podnoszących nas na duchu. Artyleryjska kanonada nie ustawała ani na chwilę. Takie to było moje pierwsze spotkanie z księdzemrektorem Franklem w tych nietypowych okolicznościach.

W seminarium kierowanym przez księdza rektora Frankla przeżyłem pełne napięcie i tragizm dni oblężenia Lwowa, naloty i bombardowanie miasta przez lotnictwo niemieckie, ataki artyleryjskie, wreszcie bolesną kapitulację w pamiętnym dniu 22 września i wkroczenie wojsk sowieckich. Były to dni pełne dramatycznego napięcia, niepewności jutra i obaw o najbliższą przyszłość. Do dziś przypomina mi się fragment wiersza jaki wtedy powstał spod pióra Władysława Broniewskiego „Byłby nowy Grunwald i nowe Płowce, gdyby nie te bombowce i nie te czołgi z nad Wołgi...”. Ksiądz rektor zatroskany o każdy szczegół życia kleryków codziennie się z nami spotykał, udzielał bieżących informacji, pocieszał, podnosił na duchu, budził konieczny wtedy optymizm i nadzieję. Działal tak, jak gdyby istniały zwyczajne warunki życia seminaryjnego. Myślał o każdym szczególe, wiedział o każdym z nas wszystko, był zatroskany o nasze potrzeby osobiste, zabiegał na wszelkie sposoby, by zapewnić możliwie normalny tryb życia i funkcjonowania instytucji jako miejsca duchowej formacji i uczelni teologicznej. Można powiedzieć, że przejął na siebie niemal wszystkie funkcje wychowawcze. Korzystał z każdej okazji, by się spotkać z alumnami, wygłaszał konferencje ascetyczne, nawiązywał osobiste bezpośrednie kontakty z każdym z nas i z całą wspólnotą tych kleryków, którym udało się mimo wielu przeszkód przybyć do Lwowa, by kontynuować studia. Po miesiącu wykładów na Uniwersytecie Jana Kazimierza, w październiku 1939 r. przemianowanym na Uniwersytet Iwana Franki, Wydział Teologiczny został zarządzeniem władz sowieckich zlikwidowany, studia odbywały się w murach seminaryjnych, ale tylko do połowy grudnia, kiedy to wszystkie zabudowania seminaryjne wraz z całym urządzeniem i wyposażeniem zostały zajęte i przeznaczone na filię Domu Medyków, w którym zamieszkał studenci Ukraińcy i Żydzi. Ksiądz rektor z odwagą nieustraszoną walczył o każdy pokój i każdą część budynku, jednak bezskutecznie. Musieliśmy przejść do „podziemia” i rozproszeni po kilku klasztorach, plebaniach oraz domach prywatnych wśród niepewności i różnego rodzaju napięć kontynu-

ować nasze przygotowanie do kapłaństwa. Ksiądz rektor ani na chwilę nie dopuszczał myśli, by mogło być inaczej. Organizował wykłady, egzaminy w wyznaczonych terminach, pilnował naszego uczestnictwa we wspólnych praktykach religijnych, stwarzał ku temu odpowiednie warunki. Podziwialiśmy wszyscy tę jego nieugiętą determinację, odwagę i siły jakie całkowicie poświęcał nadrzędnemu celowi jakim było ocalenie, ochrona i utrzymanie seminarium.

Treść narodowa przewijała się w jego wystąpieniach publicznych nie tylko wobec kleryków, ale w licznych wykładach, konferencjach apologetycznych i kazaniach jakie wygłaszał w kościołach Lwowa głównie dla inteligencji, podczas ciemnych dni okupacyjnych. Wątek patriotyczny i narodowy występował też zawsze w okolicznościowych przemówieniach z okazji Świąt Bożego Narodzenia lub Wielkanocy, gdy odpowiadał na składane mu życzenia.

Jeśli chodzi o kształtowanie kleryków w duchu patriotyzmu był jednak realistą i przestrzegał przed jakimkolwiek angażowaniem się w działalność konspiracyjną. „Zostawcie to mnie – mawiał – ja sobie dam radę, a wy macie się przygotować do kapłaństwa, gdyż Kościół i Polska was potrzebuje”. Domyślaliśmy się, że sam uczestniczy w ruchu oporu, choć tego wobec nas nie okazywał.

Skoro zimą 1939 roku zostało ogłoszone głosowanie za przyłączeniem tzw. Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi do Związku Radzieckiego, ksiądz rektor powiedział nam klerykom: „Jesteście dorośli i wiecie co macie robić. Ja nie pójdę głosować, ale ci spośród was, którzy są w wieku poborowym i mogą zostać powołani do służby wojskowej, powinni pójść, by mieć odpowiednie alibi, gdy zajdzie potrzeba”. Rzeczywiście kilku z nas, między innymi i ja, zostaliśmy wezwani do poboru Armii Czerwonej. Dzięki przychylności niektórych lekarzy oraz zabiegom osobistym księdza rektora można było uzyskać odroczenie jak to było ze mną lub całkowite zwolnienie. Wielką przysługę wyświadczyli tutaj lwowscy lekarze oraz personel medyczny.

Ksiądz rektor przyjął do seminarium kilku kleryków wbrew zakazowi władz hitlerowskich, które zezwalały jedynie na kończenie studiów tym alumnom, którzy wstąpili przed 1 września 1939 r. Gestapo o tym wiedziało, podobnie jak też znało treść niektórych wystąpień księdza rektora do kleryków, m.in. z okazji Świąt Bożego Narodzenia 1941 roku. To było głównym powodem jego aresztowania w dniu 27 stycznia 1942 r. Ksiądz rektor był przetrzymywany w więzieniu zwanym „Brygidki” przy ul. Kazimierzowskiej we Lwowie. Tam zapadł na tyfus plamisty, jak twierdzą niektórzy świadkowie była to choroba pozorowana, by mógł dostać się do więziennego szpitala. Tam mógł mieć ograniczony, ale stały kontakt z przełożonymi seminarium, którzy zadbali o jego stan wedle ograniczonych możliwości ówczesnych.

15 kwietnia 1943 r. podczas uwolnienia przez bojówkę podziemia przebywającego w tym szpitalu oficera Armii Krajowej pseudonim „Siewierz” został uwolniony też ksiądz Frankl. Pod zmienionym wyglądem twarzy i pod zmienionym nazwiskiem Jan Gliniecki ukrywał się w klasztorze Ojców Reformatów do 26 czerwca 1944 r., kiedy to wyczerpany więzieniem i chorobą płuc zmarł. Odmawiał intensywnego leczenia i odżywiania, gdyż mawiał: „Chcę cierpieć i umrzeć za Polskę i Ko-

ściół, bo taki złożyłem ślub”. Został pochowany pod nazwiskiem Gliniecki na cmentarzu Janowskim w pobliżu grobowca dziś już Świętego Arcybiskupa Józefa Bilczewskiego. Po wycofaniu się wojsk hitlerowskich ze Lwowa zmieniono napis na jego grobie na tekst we właściwym brzmieniu: Śp. Ks. Frankl Stanisław – Doktor Św. Teologii, profesor UJK, Rektor Seminarium kleryków rz. kat. ur. 15.I.1903. zm. 26.VI.1944 r.



Tablica pamiątkowa księdza rektora Stanisława Frankla z kaplicy narodowego sanktuarium w Kałkowie Godowie

Jest prawdą, że Bóg, który swoje plany odwieczne realizuje przez ludzi, co określano ongiś: „Gesta Dei per homines”, daje na określone czasy i warunki swemu Kościołowi, a więc także i naszej Ojczyźnie, z którym jest ona mocno powiązana, odpowiednich ludzi, osoby, które pełniąc w sposób heroiczny własne powołanie życiowe, realizują w ten sposób najwyższe plany i zamiary Ojca Niebieskiego. Nazywamy takich ludzi opatrzniościami. Chociaż określenie to może być niekiedy banalne, to w stosunku do księdza rektora Frankla wydaje się całkiem uzasadnione, gdyż swoją osobowością, doskonałością, cechami charakteru, ofiarną pracą dla dobra Kościoła i Polski, w tak krótkim czasie potrafił to udowodnić.

Jest w Starym Testamencie tekst natchniony, zawarty w Księdze Mądrości, który mówi: „Stawszy się przez krótki czas doskonałym, przeżył czasu wiele.” (Mądr. 4,13). Słowa te liturgia Kościoła odnosi zwykle do św. Stanisława Kostki, młodzieńca, który stał się świętym w krótkim czasie, przeżywszy lat 18. Patronem nadanym na chrzcie przez rodziców synowi był św. Stanisław Biskup i Męczennik, który poniósł śmierć w obronie prawdy i sprawiedliwości społecznej. O tym Świętym napisano: „Vivit victor sub gladio”. „Żyje jako zwycięzca pod mieczem.” Sądzę, że bez przesady można oba te teksty odnieść do osoby księdza rektora Frankla, który życie własne zdecydowanie pojmował jako wyłączną, całkowitą służbę Kościołowi, społeczeństwu i Polsce. Swoje uzdolnienia, wykształcenie oraz systematyczną pracę naukową oddał bez zastrzeżeń archidiecezji lwowskiej.

Staraniem księdza Arcybiskupa Ignacego Tokarczuka Metropolity Przemyskiego, jednego z najwybitniejszych wychowanków księdza rektora Frankla, w jednej z kaplic narodowego sanktuarium w Kałkowie Godowie została 5 listopada 2000 r. umieszczona i poświęcona tablica upamiętniająca bohaterską postać tego wspaniałego i świątobliwego kapłana. Ksiądz Arcybiskup powiedział wtedy m.in.: „Jego wielkość polega na prawdziwym heroizmie przejawiającym się w całej życiowej postawie”.

Ksiądz prof. dr hab. Stanisław Frankl zapisał piękne karty dziejów lwowskiej metropolii łacińskiej w latach najtrudniejszych dla Kościoła i Polski. Pozostawił wspaniały wzór pełnego człowieczeństwa, prawdziwego patriotyzmu i ofiarnego kapłaństwa.

Na podstawie:

Stanisław Bizuń: Historia krzyżem znaczone – Lublin 1994

Ks. Wacław Szeleński: Zapomniany lwowski bohater Ks. Stanisław Frankl (1903–1944) – Roma 1983

Ks. Stanisław Turkowski: Ks. Rektor Stanisław Frankl, szkic wspomnieniowy z okresu II wojny światowej, Lublin 2005

Ks. Jan Zimny: Lwowski bohater Ks. Stanisław Frankl (1903–1944), Sandomierz 2000 □

W ostatnim numerze „Semper Fidelis” (nr 1/2008) w artykule ks. inf. Stanisława Turkowskiego o księdzu Stefanie Helowiczu ze względów technicznych nie zamieszczono zdjęć księdza Stefana Helowicza. Obecnie czynimy to:



Ksiądz kanonik gremialny Stefan Helowicz



Od lewej: ks. kanonik Franciszek Rozwód, ks. kanonik Stefan Helowicz, ks. prałat dr Józef Mróz

UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLIKPW

100-lecie urodzin dr. hab. Krzysztofa Donigiewicza



Krzysztof Donigiewicz, syn Michała pracownika Polskich Kolei Państwowych i Anny Janowicz, urodzony 12 marca 1908 r. w Zaleszczykach – woj. Tarnopol. Matura w Kaluszu – woj. Stanisławów, po czym ukończył Akademię Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie w roku 1934.

Pracę rozpoczął w Janowie koło Lwowa na stanowisku Miejskiego Lekarza Weterynarii. Następnie w 1938 roku podejmuje pracę w Dolinie – woj. Stanisławów. Tu udziela się społecznie w Stowarzyszeniu Samopomocy Gospodarczej.

Uzyskuje tytuł doktora nauk weterynaryjnych. Tytuł rozprawy doktorskiej „Blokowanie odruchów u bydła ubijanego rytualnie przez rzeźników” – nowatorska praca wysoko oceniona za uwzględnienie aspektów humanitarnych przez profesorów Klisiewskiego, Szczudłowskiego.

W 1939 r. – praktykant na Lekarza Powiatowego w Stanisławowskim Urzędzie Wojewódzkim. Odbiera trzymiesięczny obowiązkowy staż w laboratoriach Instytutu Weterynarii w Puławach. Od 15.10.1939 r. o 21.08.1941 r. Rejonowy Lekarz Weterynarii w Bolechowie – woj. Stanisławów – podzacz okupacji sowieckiej.

Od lipca 1941 r. do lipca 1944 r. pracuje na stanowisku Powiatowego Lekarza Weterynarii w Dolinie pod okupacją hitlerowską. Bierze udział w ruchu oporu ratując konie i bydło miejscowej ludności przed zarekwirowaniem przez wojsko sowieckie – fałszując dokumenty, zmieniając płeć – i tak ogier stawał się ciężarną klaczą, innym razem wymyślał choroby zakaźne, tak wówczas powszechne jak „jaszczur” czy „czesotka”. Wykonywał tę „nikczemną” pracę do czasu spotkania z enkawudzystą, który niewątpliwie stwierdził „Wy wracz płacho robotajecie, u nas niet chesotki”, a dla jasności stwierdzenia na stoliku położył swój nagan.

Dnia 4.06.1944 roku w Dolinie zawiera związek małżeński z panną Stemler Heleną Stanisławą (siostra Józefa sądanego w Moskwie w procesie „szesnastu” z L. Okulickim ps. „Niedźwiadek”).

W okresie 08.1944 r. – 08.1945 r. znowu pod okupacją sowiecką pełni funkcję Rejonowego Lekarza Weterynarii w Dolinie – woj. Stanisławów. Wbrew własnej woli dnia 13.08.1945 r. ekspatriował z terenów zajętych przez okupanta sowieckiego do Opoli.

26.08.1945 r. rozpoczyna pracę na stanowisku Ziemskiego Lekarza Weterynarii w Opolu. Po roku zostaje kierownikiem Państwowego Zakładu Leczniczego dla Zwierząt w Opolu. Jest to praca od podstaw, brakowało wszystkiego. Dodatkowym zagrożeniem były

uzbrojone bandy grasującego Werhwofu, jak i rodzimych aparatczyków NKWD i UB. Na Opolszczyźnie jako pierwszy lekarz weterynarii organizuje i zajmuje się hodowlą wielkostadną. W tym czasie wydaje drukiem swoją pierwszą pracę razem z Zakładem Higieny Weterynaryjnej pt. „Badanie woreczka żółciowego gęsi na nosicielstwo pałeczek salmonelli”. Staje się członkiem i aktywnie działa w Polskim Towarzystwie Nauk Weterynaryjnych w sekcji fizjologii i patologii rozrodu oraz sztucznego unosienniania. Pracę w Opolu kończy w 1951 roku.

W tym okresie przychodzi na świat córka Anna, syn Antoni i Grzegorz.

W maju 1951 r. zostaje przeniesiony do Bojanowa, pow. Rawicz – woj. Poznań. Zostaje kierownikiem PZLZ i pracuje tu do 1960 r. W Bojanowie jednocześnie wykonuje zawód nauczyciela w Technikum Hodowlanym. Prowadzi wysoko oceniane kursy dla lekarzy weterynarii z poznańskiego i zielonogórskiego w ramach PTNW.

W roku 1960 przeprowadza się do Nowego Sącza i obejmuje stanowisko Powiatowego Lekarza Weterynarii pracując do emerytury tj. do 1973 r. Mimo wieku emerytalnego nadal pracuje w Lecznicy dla Zwierząt w Nowym Sączu. W 1979 r. mając 71 lat uzyskuje stopień naukowy doktora habilitowanego. Tytuł pracy: „Problemy niepłodności u bydła w regionie nowosądeckim”. Angażuje się w prace naukowe w ramach „eksperymentu sądeckiego”, zwalcza gruźlicę, propaguje poprawę warunków zoohigienicznych na wsi. Wciąga do współpracy profesorów Bielańskiego, Rzymkowskiego, Cene – wspólnie opracowują status gospodarstwa turystycznego oraz wsi turystycznej. Prof. Rzymkowski – opracowuje projekt technologiczny budownictwa wiejskiego wspólnie z pracownikami naukowymi z Politechniki Krakowskiej. Te poczynania odbijają się impulsem rozwoju regionu nowosądeckiego. Krzysztof Donigiewicz jest prekursorem agroturystyki, a zważywszy, że było to 50 lat temu. W swoich publikacjach zwraca szczególną uwagę na temat ochrony środowiska, estetyki i ożywienie ruchu turystycznego.

W roku 1962 z Jego inicjatywy powstaje w Nowym Sączu Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, które działa do dzisiaj.

Opublikował 18 prac badawczych, 13 doniesień kazuistycznych, 5 artykułów popularno-naukowych, wygłosił 112 pogadanek. Wykupił 10 000 sztuk tbc, za jego działalności powstały 4 przychodnie. Nowatorskie prace jak na tamte czasy – praca naukowa „O pokątnym uboju”, artykuł „Rzadki przypadek pęknięcia prawej komory u psa”, „Przypadek nowotworu prawego jądra u psa”, „Krwotoczność pęcherza moczowego”.

Na Kresach i na sądecku zbadał i ustalił przyczyny (inventaryzacja w terenie) oraz określił rozmiar strat powodowanych przez: paproć – orlicę pospolitą,

szelęznik, świetlik, gnidosz, wilczomlec, rdest. Wspólnie z Kostuchem przeprowadził przegląd trujących roślin łąkowych regionu Podkarpacia.

W czasach powstawania „Solidarności” na zebraniach zagrzewał nas cytując z pamięci wiersze Norwida. Wiele anegdot z czasów minionych, które opowiadał nam w lecznicy w Nowym Sączu, pozostaje w naszej pamięci.

Od 1992 roku członek honorowy Małopolskiej Izby z Nr 0001. Kawaler Medalu Honorowego Bene de Veterinaria Meritus z dnia 10.10.1998 r. W ostatnich latach interesuje się biologią molekularną. Na spotkaniu lekarzy weterynaryjnych w Krośnie organizowanym przez dr. A. Konieczkowskiego nawiązał kontakt z dyrektorem Instytutu Biologii Molekularnej im. Jacquesa Monda w Paryżu prof. Francois Chapeville, co zaowocowało w 1994 r. zaproszeniem i wizytą w Instytucie.

Korespondował z śp. prof. dr. hab. Edmundem K. Prostem redaktorem Medycyny Weterynaryjnej i prezesem PTNW, który objął uroczystość patronatem honorowym, jednak Jego nagła śmierć 20.01.2008 r. uniemożliwiła przyjazd do Nowego Sącza.

Zawsze żywotny, pełen energii, czynny intelektualnie. Jest szczęśliwym mężem, dziadkiem i pradiadkiem.

Radostaw Nawrocki

Spacer po Lwowie

*Czy widzisz swe miasto spowite w krąg snami,
przybrane w kwieciste bzy,
co wciąż majestatem uroku cię mami,
ociera pamięci łzy?*

*Park Stryjski, już festyn rozpoczął się w dali,
muzyka popłynie zmierzchem,
wirując skrzydlatą fantazją swej fali,
na oklep jedzie dziś wierzchem.*

*Ten jeździec szalony nad miastem cwałuje
podmuchem poezji je czesząc,
przechodniów wstrzymuje lub śmiech wywołuje
dziecięce oblicza ciesząc.*

*Pójdziemy Piekarską, z melodią jej dziarską
na wschód wzdłuż rzędu pałaców,
z zaklętą wśród gmachów piosenką batiarską,
płynącą wskroś ulic i placów.*

*Wtem bramy wieczności, Łyczaków tu gości
cnych ludzi i orląt cienie,
wiedzionych uporem postarńców wolności,
dumnej młodości cierpienie.*

*Na Placu Mariackim zgiełk życia codzienny
wylewa się z ulic wokół,
dorożek i pieszych korowod niezmienny
ogarnia pomnika cokol.*

*Popatrz na wieszcz! Muza mu lirę poda.
Na szczycie kolumny płonie,
natchnienia poety antyczna nagroda,
ogień, jak splecione dłonie.*

*Do gmachu opery majową aleją!
Król przed nią konno jedzie
na kwiatów kobiercu, co w słońcu jaśnieją,
z wzniesioną buławą w przedzie.*

*Przed ratusz, na rynek, gdzie śmieją się lwy
i wieża katedry zagląda!
W oddechu kamienic przyskają złe sny
na bruku, jak garby wielbłąda.*

*Na Zamek Wysoki zaklętym powozem
z westchnieniem starą szkapiną,
ulicą, jak wspomnień zamglonych wąwozem
splecionych marzeń wikliną.*

*Stąd widzisz swe miasto milczące w zadumie
uśpione dłońmi aniołów,
tu zaraz strudzone twe serce zrozumie
tęsknoty ciężący olów.*

*Niech rzewnej melodia wnet pieśni popłynie
w obrazach myśli i słów,
mozaice mgły wspomnień w tej smutnej godzinie,
przekroczy nicości rów.*

*W otchłani umysłu uparcie się miota,
odchodzi i powraca znów
stwierdzenie to szczere, jak dziecka prostota,
że kiedyś odnajdziesz swój Lwów.*



Dla duszy – ulubiona muzyka: Fryderyk Chopin, ulubiony autor: Cyprian Kamil Norwid.

Dla ciała – ruch, rower, kuchnia wegetariańska, lampka czerwonego wina półwytrawnego do obiadu. Znajomość języków: greka, łacina, niemiecki, ukraiński i ostatnio francuski.

Stosunek do służby wojskowej – podporucznik rezerwy – nadal zdolny do służby liniowej.

Zarząd Główny Towarzystwa życzy dużo zdrowia i 200 lat! □

Karol Liwirski

Oplatek w Świdnicy

W dniu 26 stycznia br. członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Świdnicy mieli zaszczyt gości na swoim spotkaniu



opłatkowym: JE ks. biskupa Ignacego Deca (ordynariusza diecezji świdnickiej), ks. infułata K. Jandziszaka i ks. sekretarza dr. W. Baczyńskiego. W spotkaniu brali



udział zaproszeni goście Zarządu Głównego – wiceprezes Danuta Śliwińska i Jerzy Czyżycki, prezesi oddziałów wrocławskiego i wałbrzyskiego Towarzystwa oraz prezes Spółdzielni Mieszkaniowej A. Markiewicz. Po przywitaniu zaproszonych gości uczciliśmy minutą ciszy pamięć lotników, którzy zginęli w katastrofie pod Mirosławcem. Członkowie naszego Towarzystwa długo będą wspominać ciepłe i niezwykle serdeczne wspólne kolędowanie. Dziękujemy miłym gościom za uczestnictwo.

Jan Arski

Bogaty ostatni rok kadencji

W piłskim Oddziale TMLiKPW

Ostatni rok kadencji władz Oddziału TMLiKPW w Pile rozpoczął się w lutym ubiegłego roku uroczystym spotkaniem członków Towarzystwa, połączonym z promocją książki „Dziennik wierszy” Ryszarda Kilara – złotowskiego poety rodem z Kamionki Strumiłowej koło Lwowa, przewodniczącego Sądu Koleżeńskiego Oddziału. Do najważniejszych wydarzeń tego okresu zaliczyć trzeba sierpniową wycieczkę grupy członków do Lwowa i na Podole, spotkanie Zarządu Oddziału z okazji listopadowego Święta Niepodległości z młodzieżą piłskich szkół ponadgimnazjalnych, połączone z otwarciem wystawy „Naszą ojczyzną są także Kresy” oraz Noworoczne Spotkanie Oplatek Członków Oddziału w styczniu bieżącego roku.

Wiersze o Lwowie i nie tylko

Informacja o promocji książki poetyckiej Ryszarda Kilara oraz kilka wierszy o Lwowie i Kresach z tego tomu ukazała się na łamach „Semper Fidelis” w numerze 3/2007. Wydała ją, dzięki staraniom Zarządu naszego Oddziału i skromnemu dofinansowaniu kosztów jej druku, piłska oficyna wydawnicza Media Zet, mająca już w swoim dorobku wiele książek literackich.

Autor „Dziennika wierszy” został wreszcie doceniony w swoim środowisku. Zorganizowano mu nie tylko



Ryszard Kilar podpisuje swoją książkę na spotkaniu promocyjnym. Pierwsza z prawej – Helena Hankowska, laureatka I nagrody w konkursie na wspomnienia kresowian „Tak daleko, tak blisko”.

spotkania autorskie w Złotowie. Został po raz pierwszy zaproszony do udziału w odbywających się od wielu lat Nadnoteckich Dniach Literatury, organizowanych przez Powiatową i Miejską Bibliotekę Publiczną w Pile. Miał



Pamiątkowe zdjęcie z wernisażu wystawy pt. „Naszą ojczyzną są także Kresy” – w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2 im. Komisji Edukacji Narodowej w Pile



Spotkanie oplatekowe 2008 w gronie piłskich kresowian. Przemawia starosta piłski Tomasz Bugajski, z prawej – wiceprezydent Piły Jerzy Wołoszyński

też wieczór autorski w Salonie Literackim w Piłskim Domu Kultury. Te spotkania były nie tylko okazją do prezentowania wierszy o tematyce kresowej, ale i do dyskusji o wspaniałym dorobku kulturowym Kresów Południowo-Wschodnich.

Do Lwowa i na Podole

Po trzyletniej przerwie członkowie piłskiego Oddziału TMLiKPW znów udali się z wycieczką na Kresy. Tym razem w niewielkim, sześciuosobowym gronie. Szlak podróży wiódł do Lwowa, Tarnopola, Kamieńca Podolskiego, Czerniowiec, Stanisławowa i z powrotem do Lwowa.



Prezes Oddziału TMLiKPW w Pile Jan Arski prezentuje zdjęcia z wycieczki piłskich kresowian szlakiem Lwów – Podole w 2007 roku

Dla Andrzeja Bednarskiego ze Złotowa, który do Towarzystwa zapisał się dopiero przed dwoma laty, ta wycieczka była wielkim przeżyciem. Ale największe wrażenia pozostawił na nim pobyt na Cmentarzu Łyczakowskim i Cmentarzu Orłąt.

– Lwów – zwierzał się – to nasze miasto rodowe. Choć urodziłem się tuż po wojnie koło Łańcuta, to na Łyczakowie spoczywają przodkowie mojej rodziny.

Utrwaliłem ich groby na zdjęciach. Zwiedzałem Kresy po raz pierwszy, ale, jeżeli zdrowie pozwoli, na pewno nie ostatni. Połknąłem bakcyla!

To był pierwszy kontakt ze Lwowem i Podolem także dla Alfreda Jeleńkowskiego z Piły, urodzonego w Hucisku k. Stanisławowa, i dla małżeństwa Andrzeja i Aleksandry Łaskiewiczów z Trzcianki, mających swoje korzenie rodowe na Kresach Północnych.

Dla mnie wycieczka była okazją do pierwszych, chociaż bardzo krótkich, odwiedzin wsi, w której się



Odnowiony kościół katolicki św. Jana Chrzciciela w Haluszczyńcach koło Skalatu

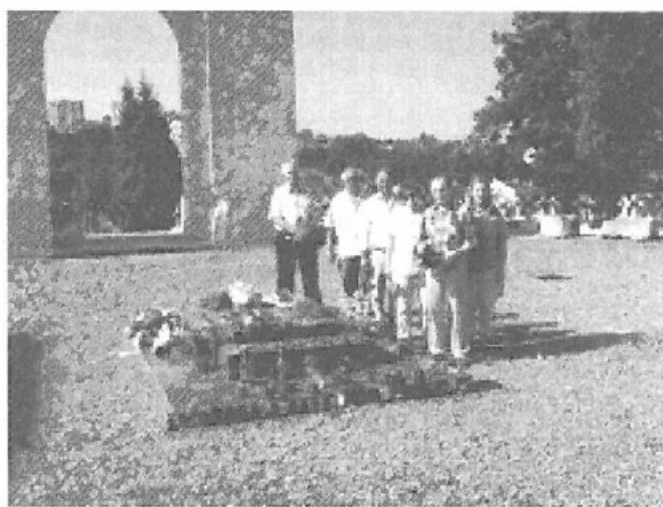
urodziłem – Haluszczyńiec koło Skalatu. Dla Zuzanny Przeworskiej zaś, urodzonej w Okonku k. Piły – do ujrzenia z bliska Nowosiółki Skalańskiej, skąd pochodził jej zmarły niedawno ojciec; tymi odwiedzinami zrealizowała niespełnione marzenie ojca. Pojechaliśmy do naszych rodzinnych miejscowości wczesnym rankiem z Tarnopola taksówką. Wróciliśmy po kilku godzinach, bo czekał na nas autokar wyjeżdżający z Tarnopola w stronę Kamieńca Podolskiego.

Z wiedzą o Kresach do młodzieży

W obecnej kadencji władz naszego Oddziału TMLiKPW jednym z najważniejszych zadań było zainteresowanie młodzieży szkolnej w regionie nadnotecznym problematyką polskich Kresów Południowo-Wschodnich.

Udało się to po raz pierwszy wiosną 2006 roku we wsi Kleszczyna koło Złotowa. Uczniowie tamtejszej Szkoły Podstawowej noszącej imię lwowianki Marii Kilar – nauczycielki zasłużonej dla oświaty zarówno na Kresach Wschodnich, jak i po wojnie na Ziemi Złotowskiej, zaprezentowali członkom naszego Oddziału montaż słowno – muzyczny o swojej patronce, a my opowiadaliśmy im o urodzie Kresów, zaś syn Marii Kilar – Ryszard recytował swoje lwowskie wiersze.

Pierwsze próby nawiązania kontaktów z organizacjami młodzieżowymi i dyrekcjami szkół w 80-tysięcznej Pile, podjęte w 2006 roku, były zniechęcające. Ani hufiec ZHP, ani dyrekcja jednej z piłskich szkół licealnych nie skorzystały ze złożonej im przez Zarząd Oddziału oferty zorganizowania imprezy popularyzującej tematykę kresową. W 2007 roku spróbaliśmy jesz-



Kresowiaczy z regionu piłskiego na Cmentarzu Orłat Lwowski złożyli kwiaty i zapalili znicze.

cze raz, adresując naszą inicjatywę do Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 2 im. Komisji Edukacji Narodowej. Z okazji szkolnych obchodów listopadowego Święta Niepodległości gościło tam troje członków Zarządu Oddziału TMLiKPW: prezes Jan Arski, sekretarz Romuald Staniszewski i Janina Staniszevska oraz Ryszard Kilar – autor „Dziennika wierszy”. W auli szkolnej dokonaliśmy otwarcia przygotowanej przez nas wystawy „Naszą ojczyzną są także Kresy”. Złożyły się na nią fotografie Cmentarza Orłat Lwowski, wykonane w czasie naszej ostatniej wycieczki, książki i publikacje prasowe o Kresach. Tłem ekspozycji był umieszczony na scenie symboliczny grób bohaterów zbrojnych walk o niepodległość Polski poczynając od powstania listopadowego.

W ciągu kilku godzin wystawę obejrzało w 10 grupach około 600 uczniów gimnazjum, technikum i liceum! Każda z grup wysłuchała w skupieniu prelekcji o Kresach i recytacji wierszy kresowych. Katarzyna Wawrzyniak, uczennica klasy III technikum, tak opisała w kronice wystawy swoje wrażenia: „Przeszłość to jest to, co powinno wiecznie w nas żyć. Uświadomiliśmy sobie, jak ważne są wspomnienia i pamięć o rodakach z Kresów”. A dyrektor Zespołu Szkół pani Maria Kubica podziękowała w tejże kronice za to, że impreza „była dla młodzieży żywą lekcją historii, która pozwoliła jej zrozumieć, że ojczyzną Polaków są także Kresy”.

Ta ostatnia impreza uzmysłowiła nam, że w kolejnej kadencji Zarządu Oddziału można liczyć także i na sukcesy w kontaktach kresowiaków ze starszą młodzieżą. □

Józef Zajac Upłynął rok

W styczniu 2007 r. został reaktywowany Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Bolesławcu. Zaczynaliśmy z 32 członkami, spośród których wybrano statutowe władze Oddziału. W ciągu roku ilość członków wzrosła do 80. Uzyskaaliśmy wspólnie z innymi organizacjami lokal, który doposażyliśmy dzięki sponsorom w telewizor wysokiej klasy, odtwarzacz DVD, magnetowid i komputer z drukarką. W czasie minionego roku odbyły się uroczystości związane ze święconym i opłatkiem. Ponadto zorganizowano ośmiodniową wycieczkę na Kresy, w której uczestniczyło 50 osób oraz wyjazd do Muzeum Kresowego w Węglińcu i do Zagrodna, gdzie odbyło się pieczenie ziemniaków. W ratuszu bolesławieckim zorganizowano wystawę związaną z mordami UPA na Wołyniu, która cieszyła się dużym powodzeniem. Druga wystawa w tym samym miejscu była poświęcona obronie Lwowa. Aktualnie w Muzeum Ceramiki w Bolesławcu jest eksponowana wystawa pt. „Secesja Lwowa”. Obecnie przygotowujemy wystawę własną pt. „Cmentarz Orłat Lwowski”, którą będziemy wypożyczać za interesowanym organizacjom. Wystawa będzie obejmowała 80 zdjęć.



Święcone – kwiecień 2007 r.

Planujemy kolejną wycieczkę na Kresy od 12 do 19 lipca br. trasą: od granicy przez Kowel do Łucka, Krzemieńca, Począjowa, Zbaraża, Tarnopola, Kamieńca Podolskiego, Chocimia, Okopów Trójcy Świętej, Buczacza z noclegami i wyżywieniem w Chelmie, Krzemieńcu, Jazłowie i Lwowie. Zapewniamy ubezpieczenie, przewodników w Krzemieńcu, Kamieńcu, Buczaczu i Lwowie oraz przejazd. Całkowity koszt wycieczki 370 zł i 100 euro. Zgłoszenia są przyjmowane i informacje udzielane telefonicznie 0757323425 i 0756442310. Termin zgłoszeń i wpłat ziółkowych upływa z dniem 15.06.2008 r.



BOLESŁAW
ORŁATEK P.P.W. 1/1.1997

Stanisław Stawowy

Elbląski Oplatek Pojednania

Są tacy, co to się rodzą z duszą społecznika, którzy z ogromnym zaangażowaniem, w sposób bezinteresowny pełni są wszelakich inicjatyw na rzecz określonego środowiska, swojego miasta czy regionu. Dla nich nie ma rzeczy niemożliwych, są tylko łatwiejsze lub trudniejsze do załatwienia.

Jednym z nich jest niewątpliwie elblązanin, mgr Jerzy Szewczyński, kresowiak z urodzenia, uczestnik walk na niemal wszystkich frontach II Wojny Światowej, wieloletni prezes elbląskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wilna, Grodna i Ziemi Wołyńskiej. On jest organizatorem lub współorganizatorem uroczystości państwowych i rocznicowych.

Z jego inicjatywy i osobistego zaangażowania organizowane są m.in. u progu nowego roku integracyjne spotkania środowiska kresowiaków, sybiraków, żołnierzy AK i kombatanatów, pod symboliczną nazwą „Oplatek Pojednania”.

Właśnie już po raz szesnasty spotkanie takie zainicjował i zorganizował w dniu 20 stycznia 2008 r.

Spotkanie poprzedziła uroczysta Msza św. w elbląskiej katedrze św. Mikołaja w intencji Ojczyzny i za dusze poległych w walkach o niepodległość. W mszy koncelebrowanej, której przewodniczył ks. bp senior dr Andrzej Śliwiński, liczny udział wzięli kresowiaczy, sybiry, żołnierze AK i kombatanoci z pocztami sztandarowymi, a także zaproszeni goście – wojewoda warmińsko-mazurski, władze miasta, posłowie z okręgu elbląskiego, dowódca 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej, duchowieństwo różnych wyznań oraz sponsorzy pamiątkowej tablicy: prezes – dyrektor generalny koncernu naftowego „Lotos” SA w Gdańsku, prezes spółki „Elzamech” w Elblągu w wielu innych.

W wygłoszonej homilii ks. bp Andrzej Śliwiński nawiązywał do głębokiego patriotyzmu wielu pokoleń Polaków, składających swe życie na ołtarzu Ojczyzny, a także wielkiej martyrologii kresowiaków, którzy to w okresie II Wojny Światowej i nie tylko byli pozbawieni swojego dobytku i w sposób nieludzki byli więzieni i mordowani w stalinowskich łagrach i hitlerowskich obozach, wywożeni na dalekie rubieże Syberii i Kazachstanu.

Po uroczystej Mszy św. ks. bp dokonał poświęcenia, a wojewoda warmińsko-mazurski w asyście sponsorów – prezesa grupy „Lotos” i prezesa odlewni „Elzamech” w Elblągu – odsłonięcia w elbląskiej katedrze tablicy upamiętniającej lata terroru, zsyłki i tułaczki wielkiej rzeszy kresowiaków, o następującej treści:

Dla upamiętnienia męczeństwa Mieszkańców Kresów Wschodnich Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej wywiezionych na Sybir, zamordowanych w więzieniach obozach-łagrach sowieckich i niemieckich tę tablicę zamieszczamy w Katedrze Elbląskiej. Miłosierny Boże przymnij skrzywdzonych do swojej wiecznej chwały a winnym okaż przebaczenie.

Towarzystwo Miłośników Lwowa, Wilna, Grodna i Ziemi Wołyńskiej

Godnym tu podkreślenia jest fakt, że pomysł wykonania tej tablicy, nadzór nad jej wykonaniem fizycznym



Tablica pamiątkowa

w metalu w czynie społecznym zrodził się i był realizowany dzięki niespożytej energii do społecznego działania właśnie pana J. J. Szewczyńskiego, prezesa TMLWGiZW w Elblągu.

On to, mając na uwadze konieczność przekazania przyszłym pokoleniom tragicznych dróg życia rodaków na ziemiach wschodnich, a także upamiętnienia, godnego uszanowania wielu kresowiaków żyjących na ziemi elbląskiej. Wmurowanie tablicy pamiątkowej przy ołtarzu Męki Pańskiej symbolizuje cierpienia, jakich doznali Polacy na kresach wschodnich Rzeczypospolitej, tak chlubnie zapisanych na kartach historii przez wiernych pisarzy, a ostatnio uwiecznionych filmem Andrzeja Wajdy „Katyń”. Przyszłe pokolenia winny o tym pamiętać i czcić godność i honor Polaka.



Poświęcenie tablicy

Po mszy i odsłonięciu tablicy pamiątkowej w pobliskim hotelu „Gromada” odbyła się dalsza część spotkania, które otworzył Michał Wołoszczak prowadzący Koło Sybiraków w Elblągu, zaś słowo powitalne i okolicznościowe wygłosił prezes TMLWGiZW J.J. Szewczyński, który powiedział:

„Za nami rok 2007, który oprócz radykalnych zmian ekip rządzących nie zostawił nam innych zasługujących na pamięć i uznanie zmian ku lepszemu życiu. Nie uległy prawie żadnej poprawie na lepsze nasze skromne emerytury i renty, chociaż ceny za towary konsumpcyjne i usługi podstawowe stale pełzną ku górze.

Nie poprawia się też w widoczny sposób opieka lekarska, a opieka podstawowa jest po prostu zbywana. A czas oczekiwania do lekarzy specjalistów wydłuża się od kilku do kilkunastu miesięcy, to doprawdy jest nie do przyjęcia dla ludzi w podeszłym wieku.

Wiele by tu jeszcze problemów zasługiwało na wyciągnięcie ich na światło dzienne, ale z samego narzekania nic tu nie wyniknie, a nasz głos jest trochę głosem wołającego na puszczy. My nie mamy czym zgrozić władzy, jak to czynią inne środowiska i grupy społeczne.



Przemawia Prezes Towarzystwa J. J. Szewczyński

A co przyniesie nam nowy 2008 rok? Chciałoby się tak niewiele, na miarę naszych skromnych potrzeb: poprawy materialnego bytu, sprawniejszej i skuteczniejszej opieki medycznej, przychylności i wyrozumiałości w biurach i instytucjach. Zgody i wzajemnego zrozumienia wśród rządzących, ażeby Dobro Narodu i Rzeczypospolitej było dobrem ponadpartyjnym i ponadpartykularnym, a nie, żeby ten wspólny dom jedni budowali, a drudzy burzyli.

Uczciwość i przestrzeganie prawa, szacunek wobec obywateli, miłość i powszechna zgoda to drogi ku lepszemu przyszłości Ojczyzny.

Jesteśmy w gronie narodów Wspólnoty Europejskiej powinniśmy więc wykazać ponad wszelką wątpliwość, że pragniemy równać do lepszych. Troska o lepszy byt kraju i jego mieszkańców ciągle powinna być naczelną troską rządzących.”

Miłym akcentem było wystosowanie do złożonego chorobą generała w stanie spoczynku, pana Bolesława Nieczuj-Ostrowskiego, który w ubiegłym roku ukończył 100 lat, życzeń noworocznych od zgroma-



dzonych, które w trakcie spotkania przekazała delegacja.

Godnym podkreślenia jest fakt, że pan generał będąc w pełni sił, zawsze uczestniczył w tego rodzaju spotkaniach i innych uroczystościach organizowanych przez środowiska.

Z kolei nastąpił akt dekoracji odznaczeniami państwowymi i odznakami poszczególnych stowarzyszeń.

Złoty Krzyż Zasługi otrzymał:

Zygmunt Prokop.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej pan Lech Kaczyński nadał Krzyż Zesłańców Syberii następującym osobom:

1. Maria Ambroziak
2. Halina Hajdukiewicz-Dremel
3. Julia Warejko-Rowdo
4. Piotr Szyszkowski
5. Władysław Zaręba
6. Grzegorz Curkan.

Złotymi odznakami dla rozwoju Towarzystwa Miłośników Lwowa, Wilna, Grodna i Ziemi Wołyńskiej uhonorowani zostali:

1. gen. dyw. Wiesław Michnowicz
2. płk Jan Pastuszek
3. Wiesław Sznaza
4. Stanisław Błaszczuk.

Medale za zasługi dla Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych otrzymali:

1. gen. dyw. Wiesław Michnowicz
2. Eugeniusz Iwanicki
3. Tadeusz Konewka.

W uznaniu zasług dla Sybiraków, Złote Odznaki Związku Sybiraków otrzymali:

1. Jerzy Tarnowski
2. Tomasz Muzyka.

Odznaczenia wręczał pan wojewoda warmińsko-mazurski w asyście dowódcy 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej, zaś odznaki wręczali prezesi poszczególnych organizacji w asyście zaproszonych dostojników. Spotkanie swoim występowaniem uświetnił chór „Pro musica” z Próchnika k. Elbląga, który odśpiewał na początku hymn narodowy, a po wręczeniu odznaczeń – koncert kolęd.

Bardzo wzruszająca była ta część spotkania, w której ksiądz kapelan sybiraków pobłogosławił oplatek, którym wraz z prezesem J.J. Szewczyńskim rozpoczął

wzajemne dzielenie się tym magicznym chlebem, którego nie raz brakowało na zesłaniu.

Życzono sobie nawzajem wiele zdrowia, pomyślności i lepszych dni w nowym 2008 roku.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że tablicę pamiątkową wykonały społecznie elbląskie firmy: Odlewnia „Elzamech” Sp. z o.o. oraz ALSTOM Power Sp. z o.o. Zakład Metalurgiczny.

Spotkanie zakończył wspólny integracyjny obiad i przyjacielskie pogawędki przy wspaniałym elbląskim piwie.

W spotkaniu wzięło udział ponad 170 członków i sympatyków, kresowiaków, sybiraków, żołnierzy AK, kombatanatów oraz zaproszeni goście.

Grzegorz Lipowski Tablica pamięci

Na posiedzeniu Zarządu Oddziału Związku Sybiraków w Częstochowie w dniu 1.12.2006 r. podjęto Uchwałę dla uczczenia „60 ROCZNICY POWROTU RODZIN POLSKICH ze ZSYŁKI na SYBIR” ufundować tablicę i umieścić ją na frontowej zewnętrznej ścianie Kościoła pw. Matki Boskiej Zwycięskiej w Częstochowie, przy ul. Słowackiego 19/21, gdzie spotkaliśmy się z wielką życzliwością i uprzejmością proboszcza ks. Kazimierza Zalewskiego. **Miejsce to jest właściwe, bowiem ołtarz główny ozdobiony jest symbolami miejsc kaźni i straceń Polaków na Wschodzie.** Powołano Komitet Organizacyjny, w skład którego weszli członkowie Zarządu Oddziału.

Projekt tablicy opracowała nasza koleżanka Helena Kurzak, a wykonanie zlecieliśmy artyście rzeźbiar-



Jan Fenc – wiceprezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków wręcza podziękowanie Sybiraczce Helenie Kurzak – projektantce Tablicy

zowi Janowi Funek z Krakowa, wykonawcy również ołtarza głównego i wielu elementów wewnątrz kościoła.

Dla zachowania wszelkich formalności spełniona została następująca procedura: uzyskano zgodę na umieszczenie tablicy na frontowej ścianie zewnętrznej

Spotkania opłatkowe stały się już tradycją i cieszą się ogromnym uznaniem, ponieważ są okazją do rocznego spotkania się ludzi, którzy walczyli i budowali Polskę, a także dają możliwość temu środowisku spotkania z władzami administracji państwowej i samorządowej województwa i miasta. Spotkania te umożliwiają też wymianę wspomnień o przeszłości, a także pozwalają spojrzeć w przyszłość z nadzieją lepszego jutra.

Żegnając się, nie zapomnieliśmy o głównym sprawcy tego spotkania – Jerzym Julianie Szewczyńskim. Zgromadzeni zaśpiewali mu 100 lat dziękując za to, że taki człowiek jest wśród nas, że mimo swych 86 lat chce się mu jeszcze coś pożytecznego robić – Bóg zapłać Panie Jerzy. □



Tablica

Kościola pw. Matki Boskiej Zwycięskiej w Częstochowie, przy ul. Słowackiego 19/21:

1. Ks. Kazimierza Zalewskiego – Proboszcza Parafii,
2. Abp. dr. Stanisława Nowaka – Metropolity Częstochowskiego,
3. Dr. inż. Tadeusza Wrony – Prezydenta m. Częstochowy,
4. Ks. Zdzisława Hatlapy – Dyr. Wydziału ds. Budownictwa i Sztuki Sakralnej Kurii,
5. Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Warszawa – Sekretarza Andrzeja Przewoźnika.

Patronat nad tą inicjatywą przyjęli: abp ks. dr Stanisław Nowak – Metropolita Częstochowski, dr inż. Tadeusz Wrona – Prezydent m. Częstochowy.

Głównymi sponsorami byli: Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Urząd do Spraw Kombatanatów i Osób Represjonowanych, Urząd Miasta Częstochowy, parafia pw. Matki Boskiej Zwycięskiej oraz ponad dwadzieścia osób prywatnych (w tym sybiraczka z Londynu), właściciele firm oraz zarządy działających na naszym terenie zakładów. Oprócz środków finansowych zebraliśmy też spore ilości złomu brązu, co w znacznym stopniu wpłynęło na obniżenie kosztów.

Powołany został **Komitet Honorowy** w składzie: Minister Janusz Krupski – Kierownik Urzędu do Spraw Kombatanatów i Osób Represjonowanych, Andrzej Przewoźnik – Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, abp ks. dr Stanisław Nowak – Metropolita

Częstochowski, dr inż. Tadeusz Wrona – Prezydent m. Częstochowy, o. Izidor Matuszewski – Generał Zakonu Paulinów Jasna Góra, inż. Tadeusz Chwiedź – Prezes Zarządu Głównego Związku Sybiraków, inż. Franciszek Borkowski – Prezes Oddziału Związku Sybiraków w Częstochowie, Janusz Moszyński – Marszałek Województwa Śląskiego, Artur Warzocha – I Wicewojewoda Śląski, Kazimierz Grenszak – Przewodniczący Rady Wojewódzkiej Związku Sybiraków w Katowicach, mgr Danuta Sedlak – Prezes Oddziału Związku Sybiraków w Katowicach, ks. infułat Ireneusz Skubiś – redaktor naczelny Tygodnika Katolickiego „Niedziela”, ks. Zdzisław Banaś – Kapelan Krajowy Sybiraków, ks. prof. Franciszek Dylus – Kapelan Częstochowskich Sybiraków, ks. Kazimierz Zalewski – proboszcz parafii pw. Matki Boskiej Zwycięskiej, Jan Funek – artysta rzeźbiarz z Krakowa.

Uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy odbyła się 9 czerwca 2007 r.

Mszę św. celebrowali: ks. infułat Ireneusz Skubiś – redaktor naczelny Tygodnika Katolickiego „Niedziela”, ks. prof. Franciszek Dylus – Kapelan Częstochowskich Sybiraków, ks. Kazimierz Zalewski – Proboszcz Parafii pw. Matki Boskiej Zwycięskiej w Częstochowie. Homilię wygłosił ks. infułat Ireneusz Skubiś. W uroczystości, oprócz Sybiraków oraz parafian, uczestniczyli: poczty sztandarowe organizacji kombatanckich i miejscowych szkół, Kompania Honorowa Komandosów z Lublińca, orkiestra pod batutą Marka Piątka, aktorzy, członkowie Komitetu Honorowego oraz zaproszeni goście.

Podczas uroczystości sponsorom wręczono podziękowania, a osoby, które najbardziej zasłużyły na uznanie za wspieranie naszej działalności zostały odznaczone Odznaką Honorową Sybiraka. Były to osoby:

1. Krzysztof Pubrat – Dyrektor Zakładu Energetycznego „ENION” Częstochowa,
2. Przemysław Sztuczkowski – Prezes „ZŁOMREX” w Poraju,
3. Andrzej Sankowski – Dyrektor. Przekazali znaczne ilości złomu brązu na odlanie tablicy,
4. Jan Śmigielski – Dyrektor Oddziału ZUS Częstochowa,
5. ks. Kazimierz Zalewski – proboszcz parafii pw. Matki Boskiej Zwycięskiej w Częstochowie,
6. Piotr Górnik – Prezes Zakładów Ciepłowniczych „FORTUM” S.A. Częstochowa.

Uroczystość, która odbyła się przy pięknej pogodzie, była dla uczestników, a szczególnie młodzieży,

Ryszard Wojtowicz Z wizytą na Kresach

(Przedruk z tygodnika redagowanego w Stalowej Woli „Sztafeta” nr 40 z dn. 4.10.2007 r.)

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz Koło Miejskie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Stalowej Woli zorganizowały w dniach od 6 do 9 września z inicjatywy p. Stanisława Szymuli, który też był głównym koordynatorem tego przedsięwzięcia, wyjazd patriotyczno-charytatywny na Ukrainę. Celem tej wyprawy, w której wzięły



W środku ks. infułat Ireneusz Skubiś, redaktor naczelny tygodnika „Niedziela”, przy mikrofonie przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Grzegorz Lipowski, wiceprezes Zarządu Oddziału Związku Sybiraków, a z prawej asysta

bardzo ciekawą lekcją historii i przypomnieniem przeżyć na nieludzkiej ziemi. Była okazją przybliżenia syberyjskiej gehenny Polaków – zarówno tych, którzy pozostali tam na zawsze, jak też tych, którym los pozwolił powrócić do Ojczyzny.

W naszych planach – na co są już podjęte dalsze Uchwały – jest:

1. W pomieszczeniach parafii pw. Matki Boskiej Zwycięskiej stawianych przez ks. proboszcza do naszej dyspozycji utworzyć IZBĘ PAMIĘCI ZESŁANYM NA SYBIR,
2. Nawiązać z dyrektorem szkoły znajdującej się na terenie tej parafii oraz z Radą Pedagogiczną, Komitetem Rodzicielskim, samorządem uczniowskim, Inspektorem Oświaty kontakt, aby tej szkole nadać imię ZESŁAN-CÓW SYBIRU licząc, że młodzież tej szkoły przejmie opiekę nad „Izbą Pamięci” i tablicą.

Łączę pozdrowienia.

Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, Wiceprezes Zarządu Związku Sybiraków w Częstochowie, mgr inż. Grzegorz Lipowski, Senator RP IV i V kadencji

udział 44 osoby, było uczczenie pamięci Polaków poległych w walkach o wolność Ojczyzny oraz zamordowanych w czasie II wojny światowej i w trudnych latach powojennych, zawieszenie Rodakom żyjącym często w ciężkich warunkach materialnych darów rzeczowych (odzieży, obuwia, żywności, książek, lekarstw) i pieniężnych. Dary te, korzystając ze szczodrości władz samorządowych, różnych przedsiębiorstw i organizacji oraz osób prywatnych zgromadzili organizatorzy wyjazdu. Nie bez znaczenia była również możliwość zwiedzania tych pięknych, bliskich sercu Polaków ziem Pokucia, Podola oraz Lwowa – miasta Semper Fidelis.

Trasa, jaką przebyliśmy, była długa, liczyła bowiem około 1300 km. Pierwszym miastem, w którym po przekroczeniu granicy zatrzymaliśmy się, były Rudki, daw-

na siedzibę rodziny Fredrów. W kościele zwiedziliśmy podziemia z sarkofagami kryjącymi doczesne szczątki pisarza i jego krewnych. Miejsce to jest często odwiedzane przez młodzież z polskich szkół noszących imię autora „Zemsty”. Złożyliśmy ofiarę na potrzeby parafii.

Dalsza droga prowadziła przez Drohobycz, gdzie przekazaliśmy dary dla naszych Rodaków i dotację na remont świątyni. W drodze do Kałusza wstąpiliśmy do Truskawca – znanej miejscowości uzdrowskiej. Niestety, słynnej „naftusi” nie było dane nam skosztować, bo trafiliśmy na przerwę w otwarciu pijalni.

Wyjątkowo wzruszające są zawsze spotkania z Polakami mieszkającymi w Kałuszu. Odbudowywany przez nich kościół zachwyca architektoniczną urodą. Szkoda, że miejscowe władze w dalszym ciągu nie potrafią znaleźć odpowiedniego lokum dla sobotniej polskiej szkoły prowadzonej z wielkim oddaniem przez grupę entuzjastów. Przedstawiciele miejscowego środowiska polonijnego z wdzięcznością przyjęli dary pieniężne i rzeczowe dla najuboższych Rodaków.

Do Stanisławowa przybyliśmy dopiero późnym wieczorem, ale w Domu Pielgrzyma przy Kościele Chrystusa Króla czekała na nas obiadokolacja.

Następny dzień, w przeciwieństwie do poprzedniego, przywitał nas błękitnym, bezchmurnym niebem. Była to wymarzona pogoda dla naszej eskapady w Karpaty Wschodnie. Odwiedziliśmy Kołomyję, stolicę Huculszczyzny. Raduje starannie odnawiany kościół parafialny. Podobnie jak w innych miejscowościach pozostawiliśmy tam też dary pieniężne i rzeczowe dla polskich rodzin. W Kosowie, położonym wśród gór Pokucia, część naszej grupy udała się do parku przy sanatorium, które przeżywało swój wielki rozkwit już w okresie międzywojennym, za czasów jego założyciela dra Apolinarego Tarnawskiego. Pozostali zaś uczestniczyli we wzruszającym spotkaniu z 87-letnią Polką i jej córką. One też zostały przez nas obdarowane.

Droga z Kosowa do Worochty obfitowała w karkołomne serpentyny, szerokie przełęcze otwierające niezwykle perspektywy, a później prowadziła tajemniczą doliną Czeremoszu. W Worochcie uczciliśmy, składając kwiaty i zapalając znicze, pamięć 72 Polaków bestialsko zamordowanych w sylwestra 1944 r. Wśród tych ofiar było 21 osób z rodziny Bolesława Maślacha – przewodniczącego Zarządu Koła Miejskiego Światowego Związku Żołnierzy AK w Stalowej Woli. W dalszej drodze zatrzymaliśmy się w Jaremczu nad wodospadem, gdzie słychać tylko szum Prutu, pozostawiający niezapomniane wrażenie. Po całodziennych wyprawach w góry, ubarwionych interesującymi opowieściami przewodnika, wróciliśmy do Stanisławowa.

W trzecim dniu pobytu na Kresach z rana zwiedzaliśmy Stanisławów. Kombatanci AK zostawili wiązaną biało-czerwonych kwiatów na mogile Legionistów na byłym polskim cmentarzu, który zamieniono na park miejski. Następnie udaliśmy się do Czarnego Lasu, oddalonego od Stanisławowa o około 10 km. Znajdują się tam groby 187 Polaków zamordowanych w 1941 r. przez Niemców. Miejsce zbrodni przez kilkadziesiąt lat okryte było wielką tajemnicą. Dopiero w 1998 r. przy pomocy Ukraińców ze Stowarzyszenia „Memorial” odnaleziono część grobów pomordowanych, wyeksponowano je i postawiono przy nich pomnik. Trwają dalsze poszukiwania, bo przypuszcza się, że ilość zamordowanych tam ludzi była znacznie większa.

Następnie pojechaliliśmy do Jazłowa. Po zwiedzeniu katakumb i historycznego klasztoru, odzyskanego

w 1999 r. przez siostry Niepokalanki z Polski, uczestniczyliśmy we mszy św. odprawionej w tamtejszej kaplicy przez dwóch księży – uczestników naszego wyjazdu.

Dalsza nasza droga prowadziła do Buczacza. Tam spotkaliśmy się w miejscowym kościele z 90-letnim kapłanem – Ludwikiem Rutyną, który po osiągnięciu 75 roku życia w Polsce przeszedł na emeryturę. Jednak imperatyw służenia Bogu i ludziom zawiódł go z powrotem do rodzinnego Buczacza, gdzie już od 15 lat zadziwia wszystkich swoim zaangażowaniem, najpierw w odzyskanie świątyni, następnie jej gruntowną odbudowę i organizowanie życia parafialnego. Tutaj też złożyliśmy dary.

Zdążając na nocleg do Przemyślan, mimo późnej pory, trudno było nie wstąpić na cmentarz w Brzeżanach. Tam na mogile Legionistów AK-owcy złożyli wiązaną kwiatów i zapalili znicze. Byliśmy również przy grobie matki Marszałka Rydza Śmigłego. Spotkaliśmy się także z Polką opiekującą się, w miarę swoich sił, tymi miejscami pamięci narodowej. Wspomogliśmy ją materialnie, tym bardziej, że jej sytuacja ze względu na zaawansowany wiek i chorobę jest bardzo trudna.

Tego samego dnia, lecz późnym wieczorem, dotarliśmy do ostatniej, ale jakże gościnnej przystani u ks. Piotra Smolki w Przemyślanach. Nie da się bez wzruszenia myśleć i mówić o jego ogromnym zaangażowaniu i poświęceniu w wypełnianiu przyjętych na siebie rozlicznych obowiązków. Jego dumą może być systematycznie przywracany do dawnej świetności kościół, niegdyś sprofanowany i zamieniony na halę fabryczną. Ks. Piotr ujmuje wszystkich swoją niezwykle skromnością i serdecznością. Z żalem, na drugi dzień, w niedzielę, po odprawieniu mszy św. przez naszych księży, zostawiliśmy dary dla parafian, opuściliśmy gościnne progi, udając się do Lwowa, będącego ostatnim etapem tej czterodniowej podróży.

Pobyt w Grodzie Lwa rozpoczął się od zwiedzania z naszą wierną przewodniczką p. Jadzią Cmentarza Łyczakowskiego i Cmentarza Orląt. Te nekropolie za każdym razem pozostawiają w sercach i pamięci Polaków niezatarte wrażenie. Oddawszy hołd poległym Obrońcom Lwowa udaliśmy się na Wzgórza Wuleckie, miejsce martyrologii, gdzie Niemcy w lipcu 1941 r. rozstrzelali kilkudziesięciu lwowskich uczonych, a wśród nich Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Wyrazem pamięci o nich była wiązaną kwiatów złożona przez nauczycieli – uczestników wycieczki przed pomnikiem zamordowanych. To przebogate w pamiątki historyczne miasto zachwyca swoim niezwykle pięknem. Z wielu godnych uwagi obiektów, z konieczności, wybraliśmy tylko kilka: katedry (Łacińską, Świętego Jura i Ormiańską), Kaplicę Boimów, kościół ojców bernardynów zamieniony na cerkiew greckokatolicką. Byliśmy na Rynku, a także przed najpiękniejszym na świecie, według opinii wielu znawców, pomnikiem Adama Mickiewicza, podziwialiśmy foyer i salę widowiskową Opery, spacerowaliśmy po Walach Hetmańskich.

Pełni wrażeń, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wobec naszych Rodaków, często biednych, schorowanych, czekających na kontakt z Ojczyzną, wracaliśmy do Stalowej Woli.

Nasz wyjazd nie byłby możliwy i nie byłby tak owocny w dokonania, gdyby nie życzliwość i idące z nią w parze wsparcie materialne Darczyńców, którym najserdeczniej jak tylko można dziękuję w imieniu organizatorów i Polaków na Kresach, którzy te dary otrzymali. □

Mieczysław Kowal

W hołdzie Obrońcom Lwowa

18.11.2007 r. w kościele św. Krzyża przy ul. 3 Maja w Rzeszowie została odprawiona Msza św. poświęcona Obrońcom Lwowa w 89. rocznicę zwycięskiej walki o miasto Lwów. Na tę podniosłą uroczystość przybyło wielu parafian, kresowiaczy z Rzeszowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Przybyły pocztę sztandarową ze szkoły Orląt Lwowskich ze Staroniwy, Zabratówki, Wiśniowej, Strzelców, Harcerzy, Chór z Gimnazjum nr 2 w Rzeszowie.



Fot. M. Kowal

Chór młodzieżowy II Gimnazjum w Rzeszowie

Mszę św. odprawili księża: ks. kapelan, prałat Władysław Jagusztyn – proboszcz, ks. kanclerz prałat Jan Szczupak, ks. dyr. Caritas, prałat Stanisław Słowik, ks. dr Przemysław Drąg. Piękne kazanie wygłosił ks. prałat Władysław Jagusztyn.

Przez cały okres Mszy św. towarzyszył swoim pięknym śpiewem chór młodzieżowy śpiewając pieśni patriotyczne.

Pod tablicami na murach kościoła zostały złożone wiązaną kwiatów. Właśnie w ten sposób upamiętniono i uczczono tych, którzy za naszą kochaną Polskę oddali swoje cenne młode życie w zwycięskiej walce o piękne polskie miasto Lwów!



Fot. M. Kowal

Od lewej: ks. proboszcz prałat Władysław Jagusztyn – kapelan kresowiaków, ks. kanclerz prałat Jan Szczupak, ks. Stanisław Słowik – dyr. Caritasu, ks. dr prałat Przemysław Drąg

Mieczysław Kowal

Polscy kapłani z Ukrainy w Rzeszowie

15 listopada 2007 r. w Rzeszowie gościli kapłani pełniący posługę duszpasterską na Ukrainie: ks. Roman Kaźmierczak, proboszcz parafii w Pisarówce, ks. Grzegorz Ząbek, proboszcz parafii w Zabłotowie i o. Jan Józef Pawluk z Mastówki koło Winnicy. A opiekował się i towarzyszył im ks. Adam Pietrucha, proboszcz z Borku Starego koło Białowej (pow. rzeszowski), zaangażowany i wspierający pomoc Kościołowi na wschodzie, na Ukrainie.

Ks. Roman Kaźmierczak od lat rozmyślał, zabiegał i dążył do powstania w Pisarówce Domu Samotnej Matki, pierwszego na Ukrainie. O tym wspominałem w pierwszym artykule do Redakcji. Dzisiaj taki dom jest

już budowany i jest prawie na ukończeniu. Jest to parterowy domek, być może w przyszłości będzie rozbudowywany, ale jak na te czasy i początek to bardzo dobrze! Wiem, że bardzo mocno wspiera ten projekt finansowo m.in. nasza rzeszowska „Solidarność”, a szczególnie po ostatniej wycieczce i odwiedzinach tej miejscowości. Jak wspominałem jest to skromny dom parterowy, gdzie obecnie prace budowlane przebiegają na bieżąco i sprawnie, dzięki dobrym rzemieślnikom-fachowcom, których na naszych dawnych ziemiach nigdy nie brakowało – jak mawiał mój ojciec Roman ze Szczerca koło Lwowa, choć sam był lwowiakiem z Lewandówki, dzielnicy Lwowa, dzielnicy kolejarzy. Była

to dzielnica żywoptów, za którymi my jako dzieci będący u babci kryliśmy się, bawiliśmy. Nie było zagrożenia samochodów, a nad dzielnicą Lewandówką królowały mały strzelisty kościółek, w którym odbywały się modlitwy, były odprawiane Msze święte. Był u babci w ogrodzie duży sad jabłoni, który do dziś jeszcze zaniedbany stoi. Tyle pamiętam z lat dzieciństwa. Dzielny ks. Roman Kazimierczak usilnie dąży, aby jeszcze w tym 2007 r. ukończyć budowę. Z całego serca życzy mu sukcesu. W Nowym Roku pozwoli to na oparcie życiowe samotnym matkom i uratowanie ich nienarodzonych dzieci. W nowo budowanej placówce zamieszka siedem młodych matek z dziećmi. Jest to na rozległej Ukrainie nowość, która również będzie przykładem rozwiązywania trudnych problemów między ludzkich w innych miejscowościach ziemi wschodniej.

Ks. Grzegorz Ząbek sprawuje opiekę nad dziećmi niepełnosprawnymi z Domu Dziecka w Żalczu. Tutaj członkowie „Solidarności”, będąc na wycieczce, obiecali pomoc materialną, z której już się wywiązują. Dostarczyli w ramach pomocy rzeczowej – odzież, wózki dziecięce i inne potrzebne środki. W dalszym ciągu trwają prace zbiorcze na pomoc biednym, nie tylko dzieciom, na Ukrainie. Jest nadzieja, że na Ukrainie też zakwitnie dobrobyt, że bogata w żyzne ziemie nie tylko Podola sprawi, że chleba nie zabraknie nikomu!

Wracając do ludzi – ojciec Jan Józef Pawluk z Miastków koło Winnicy również zawiązał do Rzeszowa i okolic prosząc o pomoc. Na pewno ją zawsze dostanie, a gdy pojedziemy na wycieczkę na ziemię wschodnią, zawsze ich odwiedzimy!

Kapłani z Ukrainy, pełniący tam posługę duszpasterską, przybyli do regionu rzeszowskiego i dostali pomoc materialną od naszych parafian i od „Solidarności” rzeszowskiej.

Trzeba wspomnieć, że przyszły podziękowania z seminarium na Podolu dla wszystkich członków „Solidarności” w imieniu arcybiskupa diecezji kamienicko-podolskiej oraz wszystkich księży przełożonych i alumnów seminarium. Ten fakt jest budujący i zachęca do dalszej pomocy. Jest również zaproszenie do wysłuchania na antenie Radia Rzeszów audycji poświęconych pomocy Kościołowi na wschodzie. Jak radio to i prasa: ostatnio ukazał się dwutygodnik „Kurier galicyjski” – niezależne pismo Polaków na Ukrainie, które można zaprenumerować na pocztę w Polsce. „Kurier galicyjski” swoim zasięgiem obejmuje: Lwów, Stanisławów, Kołomyję, Kowel, Tarnopol, Czerniowce, Płoskirów, Kamieniec Podolski, Winnicę. Z tych terenów będziemy czytać informacje o życiu i pracy ludzi. Z Polski też ukazują się ciekawe wiadomości. Czytam hasło: „Kupując nasze pismo, wspomagasz słowo polskie na Wschodzie”, a myślę, że warto wspomagać „Kurier galicyjski”, który liczy 24 strony. Jest Lwowska Fala i Radio Lwów. Co tydzień, w każdą niedzielę o godzinie 10.10 (czasu polskiego) na antenie Polskiego Radia w Katowicach gości Lwowska Fala, prowadzona przez panią Danutę Skalską. Poza tym możliwy jest odbiór audycji poprzez nasz kochany internet, bezpośrednio ze strony internetowej RP w Katowicach. Adres strony: <http://www.prk.pl>. Cieszymy się, że taka gazeta powstała, że wydano „Kurier galicyjski”. Będziemy z nią współpracować pisząc o kresowiakach w Polsce, jak im się żyje.

Wracając do Kościoła katolickiego na wschodzie, to potrzeby mieszkańców są bardzo duże, gdyż zniszczenia dokonane przez komunizm na Ukrainie są ogromne. I dzisiaj każda, nawet symboliczna, wpłata ma wielkie znaczenie dla tamtejszych mieszkańców, którym pomagają pracujący w bardzo trudnych warunkach nasi kapłani i siostry zakonne.

Rzeszowska Caritas wystąpiła z hasłem „Pomóż św. Mikołajowi na Wschodzie”. Do akcji przyłączyły się Szkolne Koła Caritas na rzecz dzieci na Wschodzie.

Na koniec mojego pisania wspomnę, że ks. abp Ignacy Tokarczuk powiedział: „Ciesz mnie, że regiony rzeszowski i ziemi przemyskiej NSZZ „Solidarność” podjęły inicjatywę, by w różnej formie wspomagać Polaków na Wschodzie. Nie chodzi tylko o pomoc żywnościową czy materialną w innym wymiarze. Chciałbym was zachęcić do nawiązywania bezpośrednich kontaktów – parafii z parafią, rodziny z rodziną. To byłaby solidarność służąca dzisiejszej potrzebie”.

Na zakończenie wspomnę, że mam ładne i ciekawe archiwum o pracy duszpasterskiej i wizytacyjnej ks. abp. z okresu, gdy nie było Kurii Rzeszowskiej, a tylko Przemyska. □

Aleksander Smoliński

Kresowe pułki kawalerii Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej oraz ich nazwy i tradycje (I)

Z burzliwymi, barwnymi i niezwykle ciekawymi dziejami Kresów Południowo-Wschodnich¹⁾, zwanych też dawniej „Kresami Multańskimi”, w okresie ich przynależności do Rzeczypospolitej Obojga Narodów nierozdzielnie związana jest historia polskiej jazdy. Długotrwałe, krwawe oraz wyniszczające kraj i ludzi walki z licznymi najazdami tatarskimi, konflikty z Mołdawianami i Turkami oraz z Kozakami zaporoskimi, a w XVII i XVIII w. także starcia z wojskami rosyjskimi²⁾, obfitowały zarówno w wiele przykładów wspaniałych polskich zwycięstw militarnych³⁾, jak i w porażki⁴⁾ oraz bolesne klęski⁵⁾, które

re odcisnęły znaczący ślad na przeszłości tych ziem oraz mieszkającej tam niegdyś wielonarodowej, wieloreligijnej i wielokulturowej społeczności. Zarówno pokuckie, bukowińskie oraz podolskie wyżyny, jary i wąwozy jak i „ukrainne” stepy oraz bezkresne Dzikie Pola, a także należące przed 1939 r. do Rzeczypospolitej Polskiej Wołyń, przez wieki były bowiem obszarem działania najpierw konnych chorągwi należących do tak zwanej „obrony potocznej”, a potem także stacjonujących tam komputowych chorągwi husarskich, pancernych, lekkich i wołoskich wojsk koronnych. Nie wolno też

zapominać o rotach konnych złożonych z Tatarów polsko-litewskich, którzy wiele razy mężnie stawali do obrony swej przybranej ojczyzny walcząc również przeciwko swym krymskim i budziackim pobratymcom. Poza tym pamiętać też należy o rejestrowych Kozakach zaporoskich będących na służbie Rzeczypospolitej⁶⁾ oraz o innych narodowościach, jak choćby o Serbach i Węgrach wspólnie z „koroniarzami” walczących w szeregach wojsk koronnych w obronie Kresów Południowo-Wschodnich.

Wszystkie te formacje polskiej jazdy wykształciły całe zastępy doskonałych i zasłużonych dowódców polskiej jazdy, rotmistrzów, a nawet późniejszych hetmanów⁷⁾, którzy na wszystkich granicach Rzeczypospolitej Obojga Narodów budowali potęgę tego państwa oraz stawali do obrony jego praw i terytorialnej integralności.

Ponadto wielokrotnie na Kresach tych, jak choćby 1621 czy w 1673 r., zjawiała się niemal cała wojskowa potęga Rzeczypospolitej Obojga Narodów, głównie zaś jej wojska koronne, wspomagane niekiedy, jak to miało miejsce w 1651 r., również przez licznie zgromadzone tam szlacheckie wspólnotne ruszenie⁸⁾. Stąd też ziemia ta przez wieki tratowana kopytami licznych konnych armii obficie nasiąknęła krwią polskich kawalerzystów oraz ich najwierniejszych towarzyszy tych gwałtownych zmagani, a mianowicie koni. Bez tych pożytecznych i mądrych czworonogów zajęcie, a także utrzymanie przy Rzeczypospolitej i obrona przed licznymi jej wrogami tego rozległego oraz niezwykle atrakcyjnego z różnych względów terytorium, nie byłyby przecież możliwe.

Nie wolno też zapominać, iż owe „gonitwy” za tatarskimi czambułami, liczne zasadzki na grasujące po tych ziemiach bandy rabusiów oraz straż na granicy „od Turka i Wołoszy” pełnione przez chorągwie jazdy koronnej na „multańskim” pograniczu oraz na Dzikich Polach spowodowały powstanie w warstwie ówczesnego stanu szlacheckiego swoistej mitologii gloryfikującej bohaterskich, kresowych „rycerzy”, jako „przedmurze”, własną pierśią zasłaniających te ziemie oraz jednocześnie całą Rzeczypospolitą i chrześcijaństwo od licznych nieprzyjaciół.

Szczególnie silny i rozpowszechniony był ten mit w okresie zaborów, gdy wskutek stale poszerzającego się dostępu do oświaty oraz polskiego dorobku kulturalnego poczęły się z nim utożsamiać również pozostałe warstwy polskiego społeczeństwa, głównie zaś inteligencja. Wtenczas bowiem z powodzeniem wykorzystywano go „ku pokrzepieniu serc”⁹⁾, głównie zaś w wychowaniu polskiej młodzieży, która w latach 1914–1920 po raz kolejny „tłumnie i zbrojnie” oraz z szablą w rękę i znowu na końskim grzbiecie stanęła do walki o wolną i niezawisłą Rzeczypospolitą. Choć nie udało się już wówczas przywrócić jej granic z okresu przedrozbiorowego, to jednak część tego obszaru, a mianowicie Galicja Wschodnia, znalazła się w jej składzie. Pozostał też mit oraz tęsknota za dawną, bohaterską przeszłością. Jednym z jej wyrazów były tradycje oraz nazwy kultywowane w kilku pułkach kawalerii odrodzonego po 1918 r. Wojska Polskiego.

Warto też pamiętać, że działania te były akceptowane i popierane przez ówczesne elity polskiego społeczeństwa, wśród którego siły zbrojne, postrzegane jako podstawowy gwarant suwerenności państwa i narodu,

cieszyły się ogromnym autorytetem. Dziś, gdy w niebyt historii odeszła zarówno polska jazda¹⁰⁾, jak i Kresy Południowo-Wschodnie¹¹⁾, a na „wieczną wartę” udają się już resztki „kresowiaków”, warto przypomnieć nieco faktów związanych z naszą rodzimą przeszłością z okresu walk „o niepodległość i granice” w latach 1918–1920 oraz dziejów kawalerii Wojska Polskiego z lat 1921–1939 i wzbogacić w ten sposób nasz „skarbiec narodowej pamięci”.

Odradzające się w 1918 r. Wojsko Polskie było pierwszą od 1831 r. regularną polską siłą zbrojną. Ten długi okres nieobecności w dziejach państwa i narodu spowodował, iż trzeba było na nowo połączyć zerwaną w ten sposób nić łączącą je z tradycją i armią Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz epoką powstań narodowych z XVIII i XIX w. Jednym z elementów tych tradycji była pamięć o walkach na dawnych Kresach Wschodnich, w tym także Południowo-Wschodnich¹²⁾.

Dzieje oraz tradycje i nazwy dwóch pierwszych wspomnianych powyżej „kresowych” pułków kawalerii Wojska Polskiego II Rzeczypospolitej nierozdzielnie związane były z historią i szlakiem bojowym 4 Dywizji Strzelców Polskich gen. podporucznika Lucjana Żeligowskiego. Bowiem w połowie 1919 r. siły zbrojne Odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej powiększyły się o trzy kolejne formacje jazdy, które wraz z nią powróciły do kraju. Z jednej z nich powstał następnie **14 Pułk Ułanów Jazdowieckich**, a kolejna złała się z krajowym **6 Pułkiem Ułanów Jazdy Lwowskiej** tworząc nowy **6 Pułk Ułanów Kaniowskich**¹³⁾. Aby lepiej zrozumieć genezę ich późniejszych nazw należy choćby pokrótce przypomnieć ich bardzo ciekawą przeszłość bojową.

W przypadku późniejszego 14 Pułku Ułanów rozpoczęła się ona w lutym 1918 r. na terenie Rumunii, a potem na rozległych obszarach ogarniętej już wówczas wojną domową Rosji, w której po stronie „białych” walczył autonomiczny „szwadron polski”¹⁴⁾. Szybko rozrósł się on do rozmiarów dywizjonu dowodzonego przez mjr. Konstantego Plisowskiego. Rozbrojenie przez Niemców korpusów polskich w Rosji oraz panujący tam chaos spowodowały, iż część służących w nich dotąd żołnierzy dołączyła do oddziału mjr. Plisowskiego. Wzięli oni udział w formowaniu poszczególnych jego szwadronów, które dziedziczyły tradycje pułków, z jakich wywodzili się służący w nich oficerowie. W wyniku tego w październiku 1918 r., podczas pobytu na Kubani, osiągnął on stan trzech szwadronów, a mianowicie jednego oficerskiego oraz dwóch liniowych. Ówczesna nazwa oddziału brzmiała: **Dywizjon 1 Dywizji Jazdy przy 4 Dywizji Strzelców Polskich generała Żeligowskiego**.

W styczniu 1919 r. wskutek starań podjętych przez Naczelnego Dowództwo Wojska Polskiego, w tym osobście przez Tymczasowego Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego oraz wskutek rozkazu marszałka Ferdynanda Focha¹⁵⁾ przez Noworosyjsk oddział ten trafił do Odessy. Dalszy napływ ochotników doprowadził do powstania przy 4 Dywizji Strzelców Polskich pułku jazdy, który rozkazem gen. Żeligowskiego nazwano **Pułkiem Ułanów 1 Dywizji Jazdy**¹⁶⁾. Jednocześnie rozwiązano wtedy istniejący do tej pory Szwadron Oficerski, w którym służyli dotąd prawie wyłącznie oficerowie, w tym sześciu z byłego **6 Pułku Ułanów II Korpusu Polskiego**.

Warto też tutaj dodać, iż najprawdopodobniej na przełomie 1918 i 1919 r. „Sztab Generalny [Wojska Polskiego z Warszawy – przyp. A.S.] drogą poufną był powiadomiony o propozycjach czynionych Komendzie francuskiej przez sfery ziemiaństwa kresowego o chęci rozwinięcia z Oddziału gen. Żeligowskiego armii kresowej, liczącej do 50.000 żołnierzy. Czy projekt ten został przez Komendę francuską zaakceptowany Sztabowi Generalnemu nie wiadomo. W każdym razie w czasie ostatnim w tym kierunku pracują przedstawiciele polscy polityczni [...], jacy znajdują się przy Oddziale gen. Żeligowskiego. Ze swej strony Sztab Generalny uważa akcję taką za nad wyraz pożądaną, a to ze względu na brak ekwipunku i uzbrojenia, nie zaś ludzi w kraju. Natomiast powstanie większych oddziałów z kresowych Polaków, uzbrojonych przez Koalicję, walczących zaś z zagrażającym Polsce wrogiem, tj. Ukraińcami i bolszewikami zarówno ulży skarbowi polskiemu, jak i wydziałom Zaopatrzenia Armii [czyli intendenturze – przyp. A.S.] przy Ministerstwie Wojny [w rzeczywistości było to wówczas Ministerstwo Spraw Wojskowych – przyp. A.S.]. Z tych więc względów Sztab Generalny uważa, że oficjalne zaakceptowanie stanowiska powyższego przez przedstawiciela rządu polskiego w Bukareszcie może dać tylko dodatnie rezultaty z punktu widzenia wojskowego. Sztab Generalny prosi o udzielenie przez Ministerstwo Spraw Zewnętrznych odpowiednich wskazań Poselstwu Rzeczypospolitej Polskiej w Bukareszcie”. Dokument ten podpisał ówczesny szef Sztabu Generalnego, a mianowicie gen. porucznik Stanisław hrabia Szeptycki.

Plan ten z powodu niskiego morale większości wstępujących do polskich formacji w Rosji pochodzących z byłej armii carskiej szeregowych był wtenczas mało realistyczny. Z reguły bowiem zmęczeniu i wojną światową oraz zdemoralizowani przebiegiem rosyjskiej rewolucji, a następnie przewrotem bolszewickim i wojną domową żołnierze marzyli wyłącznie o powrocie do domów, a nie o dalszej walce, nawet w interesie świeżo odzyskanej niezależności państwowej. W wyniku tego polskie formacje wojskowe przez znaczną część podoficerów i żołnierzy traktowane były jako najpewniejszy sposób realizacji tego celu w zorganizowany i w miarę bezpieczny sposób. Sytuacja taka nie oznaczała oczywiście, iż nie zdarzały się przypadki wstępowania do ich szeregów z innych, znacznie szlachetniejszych pobudek.

Mimo to rosła liczba chętnych do służby w polskiej jeździe, głównie zaś ochotników, a mianowicie „ofiarniej młodzieży ziemiańskiej z Kresów Rzeczypospolitej” i młodzieży szkolnej oraz zamiary utworzenia w dywizji gen. Żeligowskiego kolejnego pułku tej broni, w ramach planowanej Wschodniej Brygady Ułanów płk. Andrzeja Tupalskiego, doprowadziły do sformowania następnego oddziału jazdy¹⁷⁾. Był to także skutek działań oficerów byłego 6 Pułku Ułanów II Korpusu Polskiego, którzy otrzymali od gen. Żeligowskiego wstępną zgodę na odtworzenie swojego pułku. Jego ponowne formowanie rozpoczęło się w lutym 1919 r. W związku z tym z Pułku Ułanów 1 Dywizji Jazdy mjr. Plisowskiego wydzielono wszystkich oficerów wcześniej noszących barwy 6 Pułku Ułanów. Dowódcą tego nowego oddziału jazdy został mjr Włodzimierz Kownacki. Pomimo ogromnych trudności materiało-

wych i braku koni pułk rozrastał się liczebnie i już 5 kwietnia posiadał konne 1 i 4 szwadrony oraz piesze 2 Szwadron, Szwadron Km i Drużynę Administracyjną.

W kwietniu tego roku obydwie oddziały zakończyły swój pobyt oraz walki na ziemi rosyjskiej i przeszły na terytorium rumuńskiej Besarabii. Trwający tam nadal napływ ochotników chętnych do służby w kawalerii, pomimo nieudanej kolejnej formalnej próby werbunku¹⁸⁾, powodował ich dalszy rozrost liczebny. Mimo to ich ówczesne O. de B. pozostało bez większych zmian. Jedynie w Pułku Ułanów 1 Dywizji Jazdy zorganizowano wtenczas Pluton Trębaczy, co miało niebagatelny wpływ na poziom morale służących w nim wtenczas żołnierzy¹⁹⁾, niecierpliwie oczekujących na transport do ojczyzny. Do czasu powrotu do kraju nie udało się też doformować szwadronu brakującego w 6 Pułku Ułanów.

W południe 15 czerwca 1919 r., wskutek trwających od stycznia intensywnych starań władz polskich²⁰⁾ oraz zgody francuskiego gen. Franchet d'Espernay, wraz z 4 Dywizją Strzelców Polskich gen. Żeligowskiego obydwie pułki przekroczyły w Śniatyniu ówczesną granicę polsko-rumuńską²¹⁾. Odbiło się to ponoć przy „dźwiękach hymnu narodowego”²²⁾ oraz wśród nieopisanego wręcz entuzjazmu ludności Śniatynia i Kołomyi. Wydarzenie to tak po latach opisywał jeden z jego uczestników: „[...] żołnierze i oficerowie zsiadali z koni, wszyscy klękali, żegnali się i całowali ziemię polską... Chyba wszyscy płakali, dziękując Bogu; jedni, że im pozwili wrócić do kraju rodzinnego, inni, ci urodzeni w Rosji, na Syberii czy w Turkiestanie, że im pozwolił zobaczyć wymarzoną Ojczyznę, tę Ziemię Obiecaną... [W Kołomyi – przyp. A.S.] cała ludność, bez względu na wyznanie i narodowość, wyległa na [...] spotkanie: krzyki, wiwaty, pozdrowienia, płacz kobiet... Szał radości opanował wszystkich [...]. Gdy padła komenda »z koni« mężczyźni i kobiety, dziewczęta i dzieciarnia rzucali się na żołnierzy, ściskali ich i całowali. [...] Rozdawano żołnierzom kwiaty, chusteczki i różne inne drobiazgi. A czym my, biedacy mogliśmy się im odwzajemnić? Toteż, ku przerażeniu naszego intendenta [...], zaczęło się od zdejmowania orzełków z czapek, a skończyło na obcinaniu od mundurów guzików z orzełkami...”.

Po przekroczeniu granicy oddziały jazdy wraz z 4 Dywizją Strzelców Polskich pomimo istniejących poważnych braków w zaopatrzeniu materialnym²³⁾, po krótkim odpoczynku, wzięły udział w ofensywie skierowanej przeciw wojskom Ukraińskiej Armii Halickiej²⁴⁾. W czasie tych walk, w dniach od 11 do 13 lipca, doszło do rozbicia przez Pułk Ułanów 1 Dywizji Jazdy grupy wojsk ukraińskich zebranych pod Jazłowcem. W tych historycznych bojach uczestniczył również 6 Pułk Ułanów mjr. Kownackiego²⁵⁾.

Podczas tej bitwy doszło do szczególnego w swym wymiarze zespolenia dziejów późniejszych „Ułanów Jazłowieckich” z kultem Matki Boskiej Jazłowieckiej²⁶⁾, której figura znajdowała się w jazłowieckim klasztorze Sióstr Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny²⁷⁾. Otóż według relacji jednego z ówczesnych ułanów, ochotnika, a późniejszego oficera pułku, mianowicie Władysława Nowackiego miał on wtenczas widzenie polegające na tym, iż zobaczył Najświętszą Maryję Pannę, która otoczona obłokiem jasności podążała od klasztoru w kierunku umierającego na polu

walki plutonowego Stanisława Sekuły: „[...] Powoli ścichło wszystko. Z dala dochodziły pojedyncze strzały i okrzyki. Spokój wracał na ziemię. I jasność się wówczas jakowaś podniosła z murów klasztornych i ku żołnierzowi szła poprzez łąny. A w jasności tej stąpała Przenajświętsza Panienka, ku ułanowi zmierzając, by obrońcy swemu powieki zamknąć na sen wieczysty²⁸⁾. I za dotknięciem rączki świętej... wydał się ułan jakoby ze złota ulany. I stąd to lampas nasz żółty jest²⁹⁾ i nie może być inny. [...]”.

Wydarzenie to wywarło na Władysławie Nowackim wstrząsające wrażenie i spowodowało, iż stał się gorącym czcicielem Maryi oraz przyjacielem sióstr niepokalanek i piewą tego zdarzenia. Ponadto ślubował on, że po zakończeniu wojny przybędzie do klasztoru, by złożyć hołd Niepokalaniej.

W okresie tym, a mianowicie latem 1919 r., polskie naczelne władze wojskowe określiły dalsze losy obydwu tych oddziałów. Dotyczyło to także ich urzędowych, oficjalnych nazw. Wstępne ustalenia w tej sprawie zapadły w Ministerstwie Spraw Wojskowych już 12 lipca 1919 r. Natomiast ostateczną decyzję podjęto 5 sierpnia. Wtedy to bowiem Departament I Ministerstwa Spraw Wojskowych w porozumieniu z Naczelnym Dowództwem Wojska Polskiego wydał rozkaz, na mocy którego Pułk Ułanów 1 Dywizji Jazdy przemianowano na **14 Pułk Ułanów Kresowych**.

Nazwa ta była zgodna z charakterem i historią oddziału, który rzeczywiście miał wybitnie kresowe oblicze. Jednakże w późniejszym Dodatku Tajnym do Dziennika Rozkazów Wojskowych z 11 września tego roku, z niezrozumiałych i niewyjaśnionych po dziś dzień powodów, podano błędne jej brzmienie określając go **14 Pułkiem Ułanów Kaniowskich**. Podobnie uczyniono też w Rozkazie Poufnym Dowództwa Okręgu Generalnego w Krakowie z 23 września. Tymczasem nawiązano w ten sposób do tradycji, których pułk nie posiadał. Mimo to swej prawidłowej nazwy używał on jednak na pieczęci pułkowej oraz w oficjalnej korespondencji co najmniej do końca września 1919 r.

Najprawdopodobniej, mniej więcej, w tym samym czasie lub też w ostatnich miesiącach tego roku rozpoczęto starania o jej zmianę na **14 Pułk Ułanów Jazłowieckich**. Stwierdzić tutaj należy, iż działaniom tym trudno odmówić słuszności i uzasadnienia. Zwycięski bój pod Jazłowcem oraz towarzyszące mu okoliczności³⁰⁾ świetnie nadawały się bowiem do budowy nowego *esprit de corps* oddziału. Było to natomiast ważne, gdyż właśnie wtedy służbę w nim rozpoczynała cała rzesza poborowych, którzy niekoniecznie musieli identyfikować się z jego dokonaniem mającymi miejsce poza granicami Rzeczypospolitej. Ostatecznie nową nazwę Ministerstwo Spraw Wojskowych zatwierdziło rozkazem z 31 stycznia 1920 r. zamieszczonym w Dzienniku Rozkazów Tajnych z 27 lutego tego roku.

Właściwa reorganizacja oddziału rozpoczęła się około połowy sierpnia 1919 r. Wtenczas to jego szwadrony dziedziczące tradycje 1 Pułku Ułanów oraz 3 Pułku Ułanów weszły ostatecznie w skład 14 Pułku Ułanów, zamiast jak to planowano jeszcze podczas pobytu na Kubani, odejść do oddziałów powstałych na bazie ich macierzystych pułków z byłej Dywizji Ułanów I Korpusu Polskiego. W związku z tym ostatecznie przemianowano je na 1 (były „Szwadron 3 Pułku Uła-

nów”) i 2 (były „Szwadron 1 Pułku Ułanów”) Szwadrony 14 Pułku Ułanów. Zmieniła się jednak ich obsada oficerska, gdyż część służących w nich do tej pory oficerów odeszła do otworzonych 1 i 3 Pułków Ułanów. Natomiast do pułku mjr. Plisowskiego powróciła część oficerów, podoficerów i ułanów z dotychczasowego 6 Pułku Ułanów mjr. Kownackiego. Być może, że były to kolejne powody, które służących w nim oficerów skłoniły do podjęcia starań o oficjalną zmianę jego nazwy.

Po zakończeniu reorganizacji oraz po odpoczynku w Żółkwi 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich wziął udział w kampanii 1920 r., w tym także w zagonie na Koziatyn, w marszu na Kijów oraz w niezwykle dynamicznych, kawaleryjskich starciach z 1 Armią Konną Siemiona Budionnego. W trakcie tych walk uzyskał opinię pułku „zagończyków”. Według oceny jednego z jego przełożonych sformułowanej w kwietniu tego roku:

„[...] widziałem [...] pułki ułanów 1 i 14 i jedną konną baterię 4 Brygady Jazdy. Oba pułki zrobiły na mnie wrażenie dobrego wyszkolenia zarówno kawaleryjskiego jak pieszego; ludzie wydawali się dobrze zaprawieni bojowo i zapowiadali dobrych rębajłów. Konie 14 P. [ułku Ułanów – przyp. A.S.] dość marne, około 20% kiepskich i zbiedzonych [...]”.

Po ostatecznym zwycięstwie, w listopadzie 1921 r., stanął w swym pokojowym garnizonie, którym aż do 1939 r. było miasto Lwów³¹⁾. Według oficera i dziejopisa pułku, a mianowicie mjr. Witolda Czaykowskiego: „Lwi gród został dla 14 Pułku Ułanów wyznaczony jako postój przez Wodza Naczelnego za chlubne walki stoczone [...] na terenie Małopolski Wschodniej”.

Utrwalaniu kresowych tradycji pułku oraz ich wykorzystywaniu w wychowaniu szkolonych w jego szeregach poborowych, poza nazwą, sprzyjał również fakt wspominanego już wcześniej szczególnego kultu istniejącego w pułku dla Matki Boskiej Jazłowieckiej, patronki pułku, która miała otaczać pułk szczególną opieką zarówno podczas jego boju pod Jazłowcem, jak i w okresie późniejszym. Jedną z jego form były coroczne i trwające aż do 1939 r. pielgrzymki do jazłowieckiego klasztoru³²⁾.

Po zakończeniu wojny z Sowietami, a mianowicie zimą 1927 r., wtenczas już porucznik oraz kawaler Krzyża Srebrnego Virtuti Militari i dwukrotny kawaler Krzyża Walecznych, Władysław Nowacki³³⁾ postanowił dopełnić wcześniejszego ślubu. W pełnym żołnierskim rynsztunku, sam, na koniu Mocny, po przebyciu przez cztery dni marszu około 200 km ze Lwowa do Jazłowca, zameldował się u sióstr w klasztorze³⁴⁾. Następnie, 8 grudnia, odbył spowiedź i przystąpił do komunii świętej, a po mszy jako *votum* złożył lancę z proporcem 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich oraz tekst ułożonej przez siebie „Modlitwy Ułana Jazłowieckiego”, do której melodię skomponował ówczesny kapelmistrz pułku por. Jan Dłutek. W wyniku tego w pułku tym, odmiennie niż w całej ówczesnej polskiej armii, w czasie apelu wieczornego zamiast pieśni „Wszystkie naszeienne sprawy” ułani śpiewali „Modlitwę Ułana Jazłowieckiego”. Natomiast podczas modlitwy porannej, tak jak wszędzie, śpiewano „Kiedy ranne wstają zorze”.

Od drugiej połowy lat 20-tych, co roku, wyjeżdżał do Jazłowca patrol 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich złożony z sześciu podoficerów i ułanów pod dowództwem najmłodszego w pułku oficera w celu złożenia 8 grud-

nia, w dniu święta Niepokalanej, hołdu swej Patronce i Opiekunce³⁵⁾. „W tym samym czasie we Lwowie wszyscy ułani najmłodszego rocznika, którzy przybywali do pułku w jesieni każdego roku, po solennym nabożeństwie w jednym z kościołów składali przed sztandarem pułkowym uroczystą przysięgę na wierność Rzeczypospolitej i modlili się słowami 'Modlitwy Ułana Jazłowieckiego.'”



Patrol 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich przybywający do Jazłowca – 8 grudnia 1929 r.

Poza tym ilekroć pułk przebywał na manewrach w okolicach klasztoru niepokalanek odwiedzał swoją Patronkę. Podczas postoju oddziału w klasztorze sztandar pułkowy przechowywany był w kaplicy cudownej figury Matki Boskiej Jazłowieckiej „[...] i przez cały czas stała tam warta ułańska jako honorowy poczet sztandarowy, oddający razem ze swoim sztandarem najwyższy hołd Matce Przenajświętszej”.

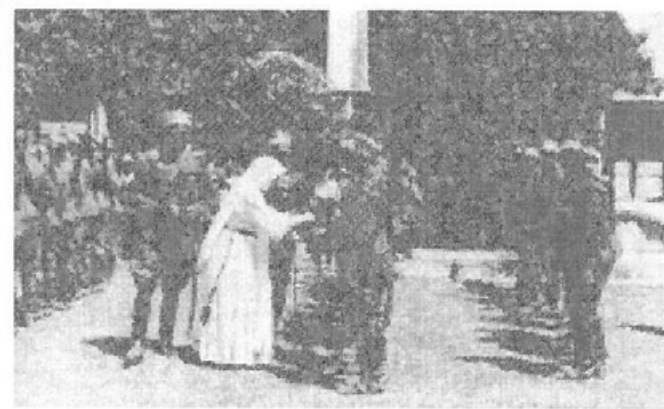
Łączność pułku z Jazłowiecką Panią podkreślało także złożenie 8 grudnia 1933 r., z okazji piętnastej rocznicy bitwy pod Jazłowcem, przez delegację pułku *votum* w postaci złotego ryngrafu z postacią Najświętszej Panny, wizerunkiem odznaki pułkowej i napisem: „W 15-lecie swego istnienia, u stóp Patronki swej Matki Niepokalanej odznakę pułkową jako votum składają Ułani Jazłowieccy, 8 XII 1933 r.”³⁶⁾ Ponadto wieczorem matce generalnej wręczono artystycznie wykonany przez por. Waltera dyplom głoszący: „Klasztorowi Jazłowieckiemu w rocznicę 15-lecia istnienia pułku, zebranie Kawalerów Znak Pułkowego 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich w dn. 11 lipca 1933 roku nadaje ZNAK PUŁKOWY 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich”.³⁷⁾

Oprócz tego w 1934 r. Ułani Jazłowieccy na leżącym w pobliżu klasztoru wzgórzu zwanym Szańcem³⁸⁾ wzniesli kapliczkę, a w 1936 r. założona została Rodzina Jazłowiecka, w skład której weszły: Zgromadzenie Sióstr Niepokalanek, Zjednoczenie Koleżeńskie Jazłowieckie byłych wychowanek szkoły przyklasztornej, powstałe z Komitetu Pań, które ufundowały sztandar dla pułku oraz 14 Pułk Ułanów Jazłowieckich i Osada Jazłowiecka³⁹⁾ na Wołyniu.

Ponadto 8 grudnia 1938 r. z udziałem sióstr niepokalanek, władz duchownych i świeckich oraz wojska odbyło się pierwsze posiedzenie powstałego wtenczas Komitetu do Spraw Koronacji Najświętszej Marii Panny Jazłowieckiej. Wskutek tych starań już 25 maja 1939 r.

ówczesny papież Pius XII podpisał odpowiednie breve zezwalające na koronację. Trzydniowe oraz niezwykle uroczyste i podniosłe uroczystości koronacyjne odbyły się od 7 do 9 lipca 1939 r. Natomiast samego aktu koronacji figury 9 lipca, w imieniu Piusa XII i w otoczeniu licznych biskupów, dokonał prymas Polski ksiądz kardynał August Hlond, któremu asystował ksiądz arcybiskup Twardowski. Ich przebieg, oprócz przedstawicieli duchowieństwa oraz władz państwowych i samorządowych, a także licznych rzesz pielgrzymów przybyłych do Jazłowca niemal z całego Podola uświetniła również obecność wojska, głównie zaś 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, którego barwy w postaci umieszczonych na lancach proporczyków pułkowych, obok maryjnych, ozdabiały koronacyjny ołtarz⁴⁰⁾.

Z kultem Panny Jazłowieckiej wiązał się ponoć również zwyczaj praktykowany przez niektórych oficerów polegający na umieszczaniu na lewych płazach główni szabel wygrawerowanych wizerunków Matki Boskiej Jazłowieckiej. Prowadząc 19 września 1939 r. ułanów do szarży pod Wólką Węglową mieli oni komenderować: „W imię Panienki Jazłowieckiej – Marsz. Marsz. – Hurra!”⁴¹⁾.



Matka Zenona rozdaje żołnierzom 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich obrazki i medaliki.

Poza tym żołnierze służący w 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich od przełożonej jazłowieckich „niepokalanek” otrzymywali medaliki, na odwrocie których znajdował się napis: „Pani Jazłowiecka módl się za nami”.

Pomimo tego mocno rozbudowanego kultu Jazłowieckiej Pani od 1926 r. święto pułkowe 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, na pamiątkę boju pod Jazłowcem, przypadało 11 lipca⁴²⁾. Podobnie jak we wszystkich innych pułkach kawalerii ówczesnego Wojska Polskiego obchodzono je niezwykle uroczystie. Traktowano je bowiem jako ważny element wychowawczy zarówno w stosunku do oficerów jak i szeregowych oraz jako istotny element budujący opartą o tradycję i koleżeństwo więź pułkową, a także jako pożyteczny sposób nawiązywania i umacniania pożytecznych dla oddziału, wojska i państwa związków z lokalnymi społecznościami cywilnymi.

Elementy Kresowe oddziału podkreślało również wystawienie w 1933 r. na terenie koszar pomnika – obelisku wykonanego z szarego piaskowca. Na jego szczycie znajdował się orzeł trzymający w szponach wizerunek orderu Virtuti Militari. Poniżej natomiast umieszczono płaskorzeźbę przedstawiającą „szarżę

husarską” z napisem: „Pamięci zwycięskich bojów i tym, którzy w nich bohaterską śmierć ponieśli roznosząc chwałę pułku i Kawalerii Polskiej”. Pod nim zaś był chronologiczny opis działań wojennych pułku oraz wykaz poległych i wziętych zdobyczy.

Kultywowaniu etosu Kresów służyło też podtrzymywanie przez pułk idei szlachty zagrodowej wśród mieszkańców polskich Kresów Południowo-Wschodnich. Temu celowi służyło istnienie „Szwadronu Szlachty Zagrodowej”, do którego przydzielano rekrutów mogących wylegitymować się szlacheckim pochodzeniem lub też takich, których przynależność do stanu szlacheckiego przez władze wojskowe uznana została za prawdopodobną. W związku z tym przyjętą się w nim zwyczaj, że w salach żołnierskich na tabliczkach przyimcowanych do prycz, obok imienia i nazwiska ułana, wpisywano także jego herb. Również przy meldowaniu

się przełożonym po podaniu nazwiska ułan wymieniał swój herb.

Warto tutaj jednak zauważyć, iż wbrew temu, co od wielu lat podaje cały szereg autorów opisujących dzieje pułku oraz polskiej kawalerii, a także autorzy innej literatury historycznej, na sztandarze 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich nie było cudownego wizerunku Matki Boskiej Jazłowieckiej, lecz figura Najświętszej Panny Marii Niepokalanej Poczętej.

Koniec kresowej tradycji 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich przyniosła mobilizacja oraz wymarsz na wojnę w 1939 r. Oddział przetransportowano bowiem do dalekiej od Lwowa Wielkopolski, gdzie włączono go w skład Armii „Poznań”, w szeregach której przeszedł cały szlak bojowy zakończony bohaterską szarżą pod Wólką Węglową oraz obroną Warszawy i kapitulacją w murach stolicy. (c.d.n.)

Remigiusz Węgrzynowicz

Śladami pamięci... dawnych dni... dawnych lat...

Kiedy wehikuł życia minie osiemdziesiątkę przyspiesza bieg do wiecznej wędrówki! Wraz ze wzrostem świadomości przemijania szybciej mijają dni i lata. Rozwój wiedzy pozwala coraz dłużej uczestniczyć czynnie w społeczeństwie przy zachowaniu sprawności fizycznej i psychicznej. Z większym bagażem doświadczenia wzrasta z wiekiem wrażliwość i empatia.

Świadomi, że czas naszej pełnej aktywności minął, zwiększamy dystans do aktualnych zdarzeń. Wielu z nas zachowuje rolę aktywnego nośnika pamięci narodowej. Wzrasta (w naszym wieku) skłonność do wzruszeń nostalgicznych i wspomnień o przeszłości. Jesteśmy ostatnimi świadkami, często uczestnikami historii, schodzącego pokolenia.

Przypominamy o prawdzie historycznej w przypadkach jej świadomego czy nieświadomego zniekształcania przez historyków. Wielokrotnie pobudzamy pamięć, aby odtworzyć świat przeszłości, przeżywać „raz jeszcze” minione zdarzenia z całym bogactwem trosk i radości.

Listy czytelników do autorów wspomnień „kresowych”, (które również czasem otrzymuję) świadczą o potrzebie publikacji o zdarzeniach odległych w czasie, ale bliskich sercu wielu z nas. Świadczą one, że pamięć o przeszłości nie jest im obojętna – stanowią część treści ich obecnego życia.

Zainteresowanie przeszłością naszych przodków występuje również u młodych, którzy wyrastając w tradycji kresowej (w domu rodzinnym), chcą poznać lepiej ten świat, który znają z opowiadań od lat najmłodszych.

Zgodnie z tradycją wschodu „człowiek obcujący z duchami przodków i przeszłością nie czuje się bezdomny”. Kresowiaczy w nostalgicznych powrotach do przeszłości czują się silniejsi dzięki spoiwu wielokulturowemu.

„Duch” polietnicznej jedności historycznej jest symulatorem procesu integracji narodów Europy! Jest wartością, jaką wnoszą kresowiaczy do procesu integra-

cji. „Duch jedności” jest kreatorem psychiki młodego pokolenia w zachowaniu tolerancji i miłości bliźniego, bez względu na narodowość i przekonania. Pozwala coraz głębiej czuć się Europejczykiem przy zachowaniu tożsamości narodowej.

Energia – jako niezniszczalna komponenta świata, związana ze strukturami materialnymi tworzonymi przez przyrodę i człowieka jest nośnikiem minionych zdarzeń, ich charakteru i siły oddziaływania. Świadectwem niezniszczalnej siły energii jest nekropolia „Orląt”... okaleczona przez barbarzyńców, ale odrodzona, bo „ducha” (energii) zniszczyć nie można.

Energia radości i smutków, westchnień i śpiewów setek pokoleń kumulowana jest w murach świątyń, salach wykładowych uczelni, teatrach, pomnikach, grobowcach-nekropoliach, w pozorowanej ciszy cmentarnej...

Kresy to nie „złudna iluzja ani utopia”, jak określił jeden z historyków współczesnych. Nie dostrzegł on wartości siły nostalgicznej dającej komfort psychiczny i zdolność przetrwania kryzysu u ekspatriantów pozbawionych ziemi ojczystej. Nie potrafił ocenić wartości, jaką wnosi świadomość historycznej tożsamości narodowej, odczuwanej przez ekspatriantów odwiedzających Kresy. Nostalgików, którym pozostały ślady pamięci tamtego świata przeszłości. Zwiedzający Kresy po wielu latach nieobecności nie poszukują zmian dokonanych przez obecnych mieszkańców przybyłych ze wschodu. Szukają śladów tamtych lat... – „ducha przeszłości”! zakodowanego w naszej pamięci, zmysłami (wzroku, dotyku, węchu, słuchu...).

...Rok 1992... Po wielu latach nieobecności wjeżdżając do miasta mojej młodości doznaję radosnego wzruszenia. Widoczne w perspektywie wieże kościoła św. Elżbiety jak dawniej przypominają, że jesteśmy już w mieście ukochanym. Wydaje się, że jak za dawnych lat, wracam do domu (z podróży, wycieczki...). Witam jeden z najpiękniejszych (w Europie) dworców kolejowych, który niezmiennie tętni życiem. Mimo, że z frontu zniknął napis „Leopolis Semper Fidelis”, ale

w mojej pamięci nie uległ zatarciu, jak również rząd dorożek konnych, taksówek oczekujących na podróżnych. Obok, przy rondzie tramwajowym „widzę” charakterystyczną postać sympatycznego małego człowieczka-karzelka pełniącego obowiązki zwrotnicowego („wajchowego”). Urok atmosfery tego wspaniałego dworca, placu, wychodzącej alei Focha wywołuje wspomnienia... odjazdów i powrotów. Zapominam, że tym razem powrót niestety jest tylko chwilowy...! Zafascynowany obrazami z przeszłości nie słyszę mowy przechodniów wprawdzie zrozumiałej dla kresowiaków, ale nie tak powszechnej w tym miejscu przed laty, kiedy dominował język polski..

Przejeżdżam samochodem ulicą Gródecką. Te same znane kamienice, „lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdały...” (jak pisał Mickiewicz). Po gładkiej nawierzchni pozostała wyboista droga. Zbieg ulic Gródeckiej, Kazimierzowskiej i Janowskiej, kościół św. Anny (w którym przyjmowałem sakrament chrztu) – aktualnie sklep meblowy. Zmieniła świątynia charakter sakralny na komercyjny. Niedaleko przy Kazimierzowskiej niezmieniające charakteru przeznaczenia sławne więzienie Brygidki i związany z nimi obraz okrutnych morderstw dokonanych na więźniach przez NKWD w roku 1941... Obraz, który zatrzeć w pamięci trudno.

Ulica Janowska (lata trzydzieste) – codzienna droga pogrzebów... Dostojnie kroczące konduktu pogrzebowe prowadzone przez duchownych różnych obrządków (rzymsko-, ormiańsko-, grekokatolickich, prawosławnych, ewangelickich... Karawany zdobnie rzeźbione, oszkolne, czarne dla dorosłych, niebieskie dla dzieci, białe dla panien... W tych samych kolorach uniformy asysty (karawaniarzy). Nieco inna sceneria konduktu pogrzebowego żydowskiego...

Wrzesień 1939... Młodzież gimnazjalna w mundurach wojskowych (ochotnicy Kompanii Harcerskiej)... podeksycytowana niezwykłością roli jaką pełni w powinności wobec Ojczyzny kroczy marszem ubezpieczonym, zgodnie z rozkazem tą samą znaną ulicą Janowską. Obdarowywani po drodze winem, słodyczami z gorącą prośbą i trwogą: „brońcie nas!”, nie wpuszcacie wroga. Mauser w ręku urasta do broni wszechmocnej... dodaje odwagi. Myśli błędzą do znanej nam historii sprzed lat dwudziestu. Zmierzamy śladami ojców, którzy przed 20 laty znacznie gorzej uzbrojeni na tych samych ulicach bronili drogiego miasta... W tym marszu na linię frontu towarzyszy nam „Wielki Duch” tych bohaterów – rówieśników których z najgłębszym szacunkiem odwiedzaliśmy wielokrotnie na nekropolii „Lwowskich Orląt”... Przechodzimy z plutonem barykadę (koło cmentarza) z zadaniem przedostania się na tyły frontu niemieckiego i nawiązania łączności z nadchodzącą armią gen. Sosnkowskiego. Niespodziewany krzyżowy ogień karabinów maszynowych odcina od czołwki pozostałą część plutonu. Po nieudanych próbach przejścia przez szosę i dołączenia do kolegów, zmuszeni jesteśmy do odwrotu... Czołwka plutonu, której udało się przejść pod dowództwem podchorążego Władysława Jagielly, przedostała się na tyły wroga i wypełniła zadanie. Druh Władysław był najdzielniejszym z dzielnych. Wychowany w tradycji miłości do Ojczyzny. Po klęsce wrześniowej przedostał się do armii Andersa. Wstąpił się bohaterstwem w walkach

o Monte Cassino. Narażając życie nie opuścił pola walki mimo odniesionych ran. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari odszedł na wieczną wartę w szpitalu polowym... Rodzina nie poddała się ekspatriacji. Wiernie służy pomocą pozostałej we Lwowie społeczności polskiej... Szosa Janowska... w odwrocie. Pozostała część plutonu czołgająca się po bruku popędzana gwizdem pocisków zmieszanych z „bzykającymi” (jak owady) rykoszetami. Krawężnik za niski dla ukrycia głowy. Tempo czołgania zwiększa się popędzane nasilającym się warkotem zbliżającego się pojazdu pancernego nieprzyjaciela. Pusta jezdnia... brak osłony... myśl gorączkowa – byle na barykadę! Noc na cmentarzu między grobami na linii frontu („Semper Fidelis” nr 4 (69) 2002)... Rok 1944 – ta sama ulica w miejscu, gdzie była barykada – wieczór, zaciemnienie. W dłoni ufną rączka dziecka żydowskiego przekazanego przez ojca, który uciekł z obozu... Rok 1992 – wizyta u rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza... obecnie Iwana Franka. Urok zabytkowego gmachu budzi ducha historii... W okresie zaboru austriackiego... był to gmach Sejmu Galicyjskiego, w którym urzędował mój pradziad, radca Namiestnictwa, Narcyz Pajęczkowski. Chcę Go odwiedzić na cmentarzu. Wracam samochodem do śródmieścia. Ta sama, ale nie taka sama, ulica Legionów, pomnik Mickiewicza, „Bernardyni”, „Klaryski” i ul. Łyczakowska (nazwana przez nas po ucieczce Sowieców „dawaj nazad”). Cmentarz Łyczakowski... przy wejściu te same jak dawniej piękne kaplice Baczewskich i in. W alejce bocznej w drodze do Cmentarza Orląt kaplica dziadków Pajęczkowskich... Jedyne ślad przeszłości rodzinnej (grób Ojca i Babci na cmentarzu Janowskim przekopany)... Myśl wraca do lat trzydziestych... Zaduszki – tłumy przesuwające się w skupieniu z zadumą i należnym szacunkiem, do którego skłania duch tych, co odeszli. Zapach tysięcy płonących zniczy zmieszany z jesienną zielenią i wędnąch już liści. Cmentarz Obrońców Lwowa – uroczyste modły rocznicowe...

Tragiczny rok 1939 po kapitulacji – Zaduszki na cmentarzu, tłumy wydają się jeszcze liczniejsze jak przed wojną. Po klęsce konsolidacja społeczeństwa wzrasta. Mimo przygnębienia nastrojów bojowy!... Ufnosć... nadzieja... w sprzymierzeńcach...! Z wielkim oddaniem zjednoczeni duchem przodków i siłą wiary w zwycięstwo. Tłumy gromadzą się wokół pomników bohaterów narodowych, śpiewają, demonstrują wolę walki do zwycięstwa... „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”, „Boże coś Polskę.. ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!” Spontaniczne emocje nieświadomie demonstrowane licznym w tłumie enkawudziom. Na grobie żołnierzy francuskich lampiony z mapą Polski „przepełnionej” swastyką i sierpem z młotem. Na nim napis pełen nadziei: „Żołnierzu Francuski czeka na ciebie Polski Lwów”... Rok 1992... kościół oo. Jezuitów... Brama wejściowa niezamknięta...? Główna nawa wypełniona stosami dokumentów w nieładzie. Sklepienie zniszczone, widoczny błękit nieba, zdewastowane rzeźby, złocenia bogatej ornamentyki. Ślady pamięci lat trzydziestych przywracają obraz dawnej świątyni. Ten sam piękny barokowy ołtarz, a przy nim jezuita o. Mirek błogosławiący gości w monstrancji, pochylone głowy wiernych. Zapach kadzida i liryczny tenor kapłana „Sa-

lvum fac populum Tuum Domine”(zachowaj Panie lud twój)). Spełniając zaszczytną posługę ministrantów w białych komżach (m.in. Jurek Michotek, Adam i Janusz Hanuszkiewicz, Janusz Bruchnalski, Broniek Bednarz, Kazik Gutaker, Konrad Kropaczek... i wielu innych) asystujemy w uroczystościach kierowani przez niezapomnianego jezuitę ojca Kozłowskiego, który w czasie wojny przez więzienie i drogę przez mękę na „niehumanitarnej ziemi” został kapłanem w armii gen. Andersa. W zdewastowanej świątyni obraz wspomnień ulotnił się wraz z zapachem świec i kadzideł. Zamilkły urzekające tony organów. Znikł klęczący w skupieniu tłum... Woń stęchlizny i sterta dokumentów, świergot wróble i gruchanie gołębi gnieźdzących się w zakamarkach świątyni... przypominały brutalnie, że to powrót... ale po... 72 latach!

Wychodzę z mieszanymi uczuciami wspomnień i zadumy nad przemijaniem... Nie wszystkie ślady pamięci zostały pobudzone. Plac Trybunalski – wraz z postumentem, „zniknął” najstarszy pomnik w mieście – Jabłonowskiego. Nie wchodzi do kamienicy klasztornej naprzeciwko kościoła – zmieniła mieszkańców. Wiem, że nie znajdę w niej nastroju kontemplacji, potęgowanego specyficznym zapachem klasztoru. Zabrali go z sobą ojcowie wysiedleni.

Energię przeszłości zachowaną w strukturach świątyń odbieramy pamięcią zmysłów. Mury, sklepienia kumulują dźwięki jak instrumenty muzyczne. W tym ich siła oddziaływania i wartość nośnika przeszłości.

Kresowiaci zwiedzający rodzinne strony: domy, zabytki, osiedla, przyrodę mają okazję powrotu do przeszłości, wyzwalanej zachowanymi śladami: budynków, pomników, ruin... a w nich dźwięków, zapachów zakodowanych w pamięci. Niestety wiele z przeszłości ulega zatarciu bezpowrotnie... Wędrując ulicami miasta Lwowa szukamy w obrazach przeszłości (sklepach, lokalach...) niezapomnianych zapachów... wspaniałych ciast w dawnej cukierni Zaleskiego, czy Chrzanowskiego... jak również wędlin naszych kresowych u Lintnera, Andreasika... serów wielkich jak „koło młyńskie” na ul. Ruskiej u Grubnera... najwspanialszy zapach pieczywa u Hessa, Seidena, Sochackiego... ze zboża jaki wydała żyzna ziemia kresowa (chleb „kulikowski” i kielbasę „a’la Polish” o niezapomnianym smaku i kruchości – przełamowaną z charakterystycznym trzaskiem, kupowałem u lwowskich piekarzy i rzeźników na Manhatanie! w 1970 r.).

Najdoskonalszym nośnikiem przeszłości jest przyroda niezdewastowana ręką człowieka. Znane góry, rzeki, lasy przywołują w pamięci wędrowki, obozy, ogniska harcerskie. Wraz z szumem pachnących (jak dawniej) żywicą potężnych smreków, brzmi nadal tylko dla wędrowca słyszalna melodia... „płonie ognisko i szumią knieje”... o rycerstwie z podkresowych stanic... Wizualne wspomnienia dostarczają piękne widoki szczytów: Paraszki, Howerli... wzbogacane niezapomnianym zapachem i szumem górskich rzek (Oporu, Oslawy, Prutu, Czeremoszu...) zmieszany z urzekającym aromatem traw na poloninach.

Zwiedzane miasta i miasteczka kresowe, w których kościoły, cerkwie i bożnice, sklepiki z girlandami czosnku na drzwiach i zapachem pieczywa kresowego wpiły w charakter wieloetniczny. W większych miastach

zapach sklepów „towarów mieszanych” jakich, niestety...! już nie ma. Można było w nich kupić zgodnie z potrzebami mieszkańców „wszystko” (od papierosów w szerokim asortymencie, słodyczy, nabiału, pieczywa – wiele gatunków, zeszytów, kredek, ziemniaków, sznuradeł, śledzi, piklingów, moskalików, szprot!i, masła, kawy, herbaty, maki, kaszy... itd. itd.). w jednym sklepie... niewielkim. Sklepy takie z reguły prowadzili Żydzi. Prowadzony przez nich na szeroką skalę handel kredytowy zaspokajał codzienne potrzeby szczególnie mniej zamożnych, tworzył specyficzny kresowy obraz koegzystencji.

Los historii zatarł brutalnie wraz z folklorem żydowskim tę ścieżkę znaczącą, nieobojętną w procesie integracji narodów!!! Pozostały wspomnienia i ślady po zniszczonej wieloetnicznej koegzystencji.

Wspomnienia zamieszczane w naszych kresowych wydawnictwach (Semper Fidelis, Cracovia Leopoldis, Roczniki Lwowskie...) są cennym materiałem faktograficznym, jak również źródłem radości, szczególnie dla seniorów, którym zmniejszona sprawność fizyczna nie pozwala już na uczestnictwo w wędrowkach do kraju lat dziecińczych.

Zdarza się czasami, że czytając wspomnienia stwierdzamy różnice w opisanych szczegółach faktów, a tym co zakodowaliśmy w naszej pamięci, jako uczestnicy tych zdarzeń. Dotyczy to szczególnie wspomnień wojennych. Jest to zjawisko naturalne. Udział i obserwacja tych samych zdarzeń zakodowane są różnie w pamięci poszczególnych uczestników. W związku z czym wydając wspomnienia w zeszytach harcerskich, kombatanckich „Od lat najmłodszych do późnej siwizny”, jako cenne źródło prawdy historycznej zamieszczaliśmy (weryfikując autentyczność) w takiej relacji jaką zapamiętał autor. Natomiast przez lat siedemnaście na rocznych spotkaniach w Harcerskim Ośrodku w Korzkwi pod Krakowem były przedmiotem niekończących się pełnych emocji „nocnych rodaków rozmów”.

Wspomnienia dawnych lat odnawiane w powrotach na Kresy dostarczają doznań emocjonalnych seniorom, nie zawsze podzielane są przez następców. Bagaż przeszłości emocjonalny jaki niesiemy wraz z wspomnieniami jest wyłącznie naszą własnością. Dokonując selekcji pozostawmy w spadku wartości, które wzbogacają intelektualnie młode pokolenie i ułatwią integrację z innymi narodami.

Wycieczki do ziemi naszych Ojców i bezpośrednia konfrontacja z miejscami wspomnień wpływają korzystnie na zdrowie, szczególnie osób w wieku zaawansowanym! Jak wynika z badań najnowszych! – uruchamiając wszystkie rodzaje pamięci odmładzamy się!!!

Genetyczne preferencje do środowiska, w którym urodziliśmy się, powodują, że czujemy ciepło rodzinnego domu. Bezpieczeństwo i komfort psychiczny, jakie daje gniazdo, z którego wyszliśmy.

Sprzyja temu idea zjednoczonej Europy pokoju i przyjaźni, która polega na oderwaniu się od tej przeszłości, która dzieli narody. Nakazuje zaprzestania dialogu o grzechach, których naprawić nie można. Czyni starania o zachowanie tego co łączy, stanowi kapitał twórczy jako wkład do kultury narodów. □

Edward Gil Blżej Czarnohory

O Czarnohorze opracowanie H. Gąsiorowskiego pt. W Beskidach Wschodnich, wydanie Tadeusza Złotnickiego w „Polska w krajobrazie i zabytkach” t. II (Warszawa 1930). Autor na str. 71 szczegółowo podaje, jak dojechać do gór Beskidu Wschodniego ze Lwowa, a także wylizca poszczególne grzbiety gór, ich wysokość n.p.m. Plastycznie opisuje piękno krajobrazu Huculszczyzny. I tak wymienia najwyższy szczyt Czarnohory – Howerla. Jej wysokość n.p.m. wynosi wg Gąsiorowskiego 2 058 m. Dalej w kolejności wymienia Brebeniśkul 2 036, a jeszcze Pop Iwan 2026 m n.p.m. Ale wysokości poszczególnych gór Beskidu Wschodniego wg obecnych władców Ukraińców, zmieniały swoją wysokość oraz nazwy historyczne. Mapa Iwanofrankiwskiej oblasti z roku 1997 str. G-7,8,9 prawie sztabówka, podaje już, że Howerla ma wys. 2060 m n.p.m., a więc urosła o 2 m n.p.m. Wszystkie szczyty oprócz Howerli uległy uwiadomieniu starczemu, Pop Iwan wg Ukraińców ma 1937 m n.p.m.

Zobaczmy, jak tę krainę opisuje autor w latach dwudziestych XX w. Z lewej Czeremosz, z prawej Prut, granica powiatu kosowskiego. Tu zaczyna się czarnohorska piękność. Dalej na wschodzie pod owym najwyższym szczytem po Howerli – Brebeniśkul – zaległa dzika dolinka Kozich Łęgów, zamknięta od południa wachlarzem skał niebotycznych, jakby z Tatr przeniesiona. Jeszcze dalej za nią charakterystyczna i jedyna na głównym grzbiecie Czarnohory podłużna dolinka źródłowego potoku Dżembronia, defilującego przed rzedem kotłów między Munczelem a Smotrcem. Za Pop Iwanem wspaniałe jezioro Szybenka, przypominające Szczyrbski Staw w Tatrach, a wreszcie poza głównym grzbieciem Czarnohory ów świat połonin czywczyrskich i hryniańskich, nie połonin lecz stepów, przeciętnych głębokimi kanionami obu Czeremoszów, których doliny na tamtejszych odcinkach o ścianach prawie prostopadłych, mimo to świerkiem silnie zalesionych stanowią w Polsce najpiękniejsze doliny. W jednej z nich, w głębi Czarnego Czeremoszu, czeka na odbudowę najstarsze polskie zdrojowisko: „źródło uzdrawiające, które w dzikim bije ostępie, Birkutem zwane”. Najlepsza pono ze znanych w Europie wód mineralnych, przy tem niezrównane w nasyceniu ozonem i żywicą powietrze, na wysokości blisko 1 000 m n.p.m. Północne stoki Beskidu Czarnohorskiego zajęły siedzi by huculskie. Są to grzbiety i pasma w kacie między Czeremoszem i Prutem poprzecinane dolinami dopływów Prutu Pistynki z Luczka i Rybnicy. Na ogół są to grzbiety mało gdzie wzniesione nad strefę regli, o stokach w porównaniu z Gorganami łagodnych i szerokich działach wód, lecz mimo to przeważnie wykluczających orkę. Lasów tu mniej, za to więcej łąk (caryny) i pastwisk. Odmienne od Bieszczadów osiedla nie grupują się tu w dolinach rzecznych wzdłuż potoka, lecz rozmieszczone są szeroko po stokach i grzbiecie, o zagrodach nieraz o kilka kilometrów od siebie i ośrodka gminy oddalonych. Pokonywanie tych znaczniejszych odległości wytworzyło, przy braku dróg wozowych,

a łatwości chowu koni, sposób komunikowania się wierzchem, stąd hodowla i rasa niezrównanego konia huculskiego oraz potrzeba ekwipowania się na dalszą drogę; stąd owe manty, besahy, dziobanie, rakwy, boklaki, be benice, słowem huculski ekwipunek do jazdy wierzchem, jucznego transportu i drogi pieszej; chów owiec uwarunkowany występowaniem połonin, dał nadmiar wełny i stworzył rodzimy przemysł wełniany i kuśnierski, owe piękne liżnyki, koce, sukna, kieptary, serdaki, bajbaraki, szłyki i całe tak charakterystyczne przeładowanie huculskiego stroju; wreszcie bogactwo leśne daje odrębne cechy huculskiemu budownictwu (jakby ufortyfikowane dworki – zagrody) mnóstwem budyneczów gospodarskich, wspaniałymi cerkiewiami, dzwonicami i kapliczkami, „woryniami” itp.

Bogactwa te, jak długo były w wyłącznym posiadaniu tubylców, tworzyły dążność do wygod, w rodzimym sposobie pojętego komfortu, chęć użycia, a w dalszym ciągu spowodowały wytworzenie się rodzaju arystokracji rodowej. Pojenie oczu wspaniałymi krajobrazami wytworzyło w nich również poczucie smaku i zmysł artystyczny, ucieleśniające się w przedziwnie kunsztownych arcydziełach zdobniczego przemysłu, w wyrobach Szkrzyblaków, Mehedeniuka, Dawidiuka, w zdobnym kuśnierstwie, w zdumiewających misternością pisanekach kosmackich, w zdobieniu każdego sprzętu gospodarskiego, kosiska lub jarzma do wody nie wyłączając. Takimi są Huculi. Wywodzić się mają od Dako-Rumunów, stłoczonych przez weszły w Karpaty element rurski. W ciągu wieków zajmując siedziby u zbiegu granic i narodowości: polskiej, ruskiej, węgierskiej i wołoskiej, ulegli silnemu skrzyżowaniu się z nimi, w czym ma przyczynę różnorodność typów fizycznych, dająca się tak obficie obserwować w Żabiu lub Dżembroni. Cztery gminy berezowskie w powiecie peczeniżyńskim, to wsie huculskie, powstałe z osad polskiej szlachty chodackowej. Odcięci od polskich ośrodków duszpasterskich wpływów, przyjąwszy obrządek grecki, zrusinieli z biegiem lat i tylko w Berezowie Niżnym trwają wytrwale w wierze ojców. Należy się im szczególna opieka polskiego rządu i społeczeństwa.

Przytoczone wyżej znamiona odrębności Huculów czynią ich najciekawszym zabytkiem etnograficznym w Polsce, godnym ochrony konserwatorskiej na równi z zabytkami przyrody.

Tyle autor o baśniowej krainie i bajecznych nazwach miejscowości: Nadwórna, Delatyn, Jaremcze, Tatarów, Worochta, Żabie – obecnie Werchowyna Kosów, Kołomyja. Po napadzie bolszewickich hord na Polskę w 1939 r. nie było żadnej możliwości do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, aby zwiedzić Huculszczyznę. Za komuny nie wolno było oddalić się poza miejsce zameldowania wg wizy do 5 kilometrów. Złapany na tym wykroczeniu, ciupasem odstawiany był do granicy, odpowiednio obsztrafowany z kilkuletnim zakazem odwiedzenia sowieckiego raju. Mogłem tylko na mapie i to nieszczegółowej, zwiedzać piękną ziemię huculską. Jak mi się taka mapa nawinęła w ręce, to pierwszy wzrok kierowałem zawsze na Lwów, później na południe, Rudki, Sambor, Stryj, Bolechów, Katusz i dalej w góry Beskidu Wschodniego.

Już po uzyskaniu samostijnej dierżawy przez Ukrainę, nadal był egzekwowany przez ukraińskich milician-

tów ścisły przepis poruszania się samochodami po drogach. Porozstawiane posterunki milicji, czy trzeba czy nie trzeba zatrzymywały polski samochód, a gdzie jedziesz, a po co? Co wiesz? Kończyło się to sztrafą paru dolarów do ręki, brali nawet polskie pieniądze. Długo musiałem czekać, aby pojechać do baśniowej krainy Huculszczyzny. Musiał być powód jazdy. Były nim dary charytatywne dla Polaków. Należało mieć dokument celny na przewóz darów, a na granicy ukraińskiej odpowiednią ichnią bumagę i odjazd. Kilka też razy organizując kolonie letnie dla dzieci polskich z Ukrainy mogłem bez przeszkód, wyposażony w odpowiedni dokument, objechać całe Kresy Południowo-Wschodnie. Nigdy nawet nie śniłem, że będę zwiedzał przepiękne okolice Huculszczyzny, Pokucia i Podola. Wyjeżdżało ze mną przeważnie kilka osób. Byli to przeważnie darczyńcy organizowanych kolonii letnich, biznesmeni, których korzenie wywodziły się z Kresów. Pierwszy taki wyjazd nadarzył się do docelowej miejscowości Stryj. Do Stryja jechał ze mną wnuk sędziego stryjskiego, pan Jacek Przetocki z siostrą i swoją matką, pochodzącą z Rawy Ruskiej. Przez Rawę Ruską, Lwów, przez Rudki – tam książdz Gerard Liryk udostępnił zwiedzenie kościoła i krypty Fredrów – dojechałem do Sambora.

Miasto zadbane, czyste, z pięknym ratuszem i w nim figurką Matki Bożej. Dalej już był Stryj. Pierwsze kroki do kościoła, tam proboszcz, ks. Jan Nikiel, pokazał nam piękny kościół i skarby kultu Bożego z przestrzeni wieków. Teraz idziemy zwiedzić wilijkę sędziego Wołodkowicza. Dobrze znaną ulicą prawnika sędziego znaleźliśmy się przed okazałą willą. Mieści się w niej obecnie szkoła muzyczna. Zaraz za parkanem ścięte grube drzewo, w którym wyrzeźbiono muzę. Weszliśmy do środka i ku naszemu zdziwieniu, bez żadnych przeszkód potomkowie sędziego mogli zwiedzić wilijkę, oczywiście własności swego dziadka. Obchodząc około ratusz w Stryju, zobaczyliśmy pomnik-popiersie ryzuna Polaków, Żydów i oczywiście Ukraińców – Stepana Bandery. Temu zbrodniarzowi niewinnej ludności, wymordowanej z jego rozkazów, teraz społeczność Stryja stawia pomnik. Hańba dla tych, którzy podjęli decyzję postawienia pomnika zbrodniarzowi. Na cmentarzu groby legionistów i strzelców siczowych graniczą ze sobą alejką cmentarną, nic już nie przeszkadza w drodze do boskiej wolności. Dni były ciepłe i pogodne, mogliśmy pochodzić po mieście, ale czas wołał nas do Lwowa.

Jechałem główną trasą Użgorod – Lwów. Pola puste, leżące odłogiem. Nie miał kto uprawiać ziemi. A tak oklaskiwali wyzwolenie od polskich panów. Wyzwoliciele zostawili pobratymców bez sprzętu do uprawy ziemi. Można było na granicy polsko-ukraińskiej zobaczyć tych wyzwolonych Ukraińców, jak wlekli na przyczepkach różny sprzęt rolny. Takiego niecodziennego widoku doznałem w Krzemieńcu podczas innego wyjazdu na Kresy. Tam, na rynku (obecnie parking), stał osobowy samochód Ukraińca z przyczepką załadowaną różnym złomem, pt. sprzęt rolniczy. Była tam ręczna młocarka do zboża, można było ją podłączyć też do kieratu. Na odlanej tablicy nazwa fabryki, tu zdziwienie, bo napis głosił, że młocarnia wykonana została w Fabryce Maszyn Rolniczych w Chełmie w roku 1937, prawie 100 lat ten zabytek czekał na

Ukraińca. Nie było koni i sprzętu do uprawy ziemi. Na przedmieściu Żółkwi, na działkach, widziałem dwie kobiety zaprężone do pługa. Chłop orał poganiając batem ludzką siłę. Urodzajne ziemie (czarnoziem) teraz, po upadku kołchozów leżały odłogiem, a przecież była to ziemia mlekiem i miodem płynąca. Starzy ludzie powtarzali „Daj Boh by Lachy wernuły”. Polak ma litościwe serce i żal było patrzeć na ten naiwny naród, który spadł na granicę ubóstwa i życia.

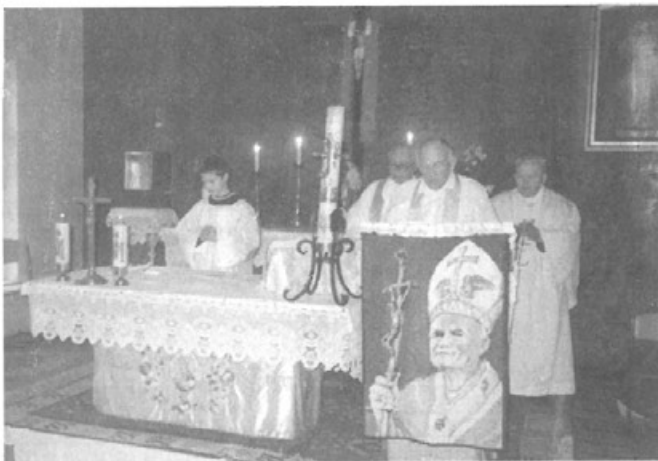
Lwów to Mekka narodów. Tak powinni zachowywać się we Lwowie Polacy, jak muzułmanie w Mekce. Miasto święte. Na kopcu Kościuszki, fana syno-żółta. Tam Ukraińcy w podzięce Stalinowi winni iść na kolanach za oddanie im Lwowa. Doktryna tego zbrodniarza przez 50 lat ograbiała podbite narody, najbardziej jego skutki widać na Ukrainie.

Inny wyjazd, bliżej Czarnohory, nastąpił bardzo szybko od poprzedniego wyjazdu. Jechało ze mną trzech księży emerytów z Biłgoraja, mój serdeczny przyjaciel Stanisław Łuczko z Włodawy, doktorantka z Gliwic Zofia Ferenc oraz mój syn jako ministrant. Trasa wiodła, jak poprzednio, przez Rudki, Sambor, Drohobycz, tam zwiedziłem piękny kościół i dobrze poinformowani przez kościelnego zwiedziliśmy dom Brunona Schulza. Na ścianie domu tablica upamiętniająca tego artystę. Usłudni pokazali nam też dom, przed któ-



Posiłek w Dolinie,
po lewej w berecie ks. K. Orzechowski

rzym został zastrzelony Bruno Schulz, wydany gestapowcowi przez Ukraińca, u którego się ukrywał. Dalej droga wiodła do Doliny, przez Stryj dojeżdżamy do Bolechowa. Na stromej górze przed Bolechowem mijamy banderowski cmentarzyk z brzoźowymi krzyżami, tam, kiedy przejeżdżałem tą trasą, zawsze stała milicja, ale dziś nas nie zatrzymali do kontroli. Zjazd z góry i znów Bolechów. Mijamy go i kierujemy się do Doliny. Tam jest proboszczem ks. Krzysztof Panasowiec. Dobry znajomy naszego księdza Kazimierza Orzechowskiego, rodowitego samborzanina. Książdz Krzysztof ma wikarego ks. Michała Stycznia, emeryta z Polski. Teraz, na emeryturze, dożywa swoich dni na Kresach, z których pochodzi. Ks. Michał święcenia kapłańskie otrzymał w Nysie. Biegle rozmawia po ukraińsku, a pracuje za dwóch. Miasteczko Dolina szeroko rozłożone. Po iluś pytaniach wskazano nam drogę do kościoła. Proboszcza nie ma, a na plebanii przebudowa na dom re-



*Nabożeństwo w kaplicy w Kałuszu,
od prawej ks. M. Styczeń*

kolekcyjny. Z konieczności, na placu przykościelnym, na betonowych płytach, urządzamy posilek we własnym zakresie i tam czekamy na proboszcza. Ja zwiadam cmentarz. Tak zbyszczeszczony groby to mogłem widzieć we Lwowie i Sądowej Wiszni, i tutaj w Dolinie. Nawet groby wyzwolicieli w oplakany stan. Daremne czekanie, proboszcza nie ma. Decydujemy się hulać do Kałusza. Wieża kościoła w Kałuszu z daleka widoczna, pozwala nam bez trudu dojechać do kościoła. Kościół w remoncie, ale nadal trwają intensywne prace wewnątrz kościoła. Na zewnątrz kościół pięknie odremontowany i odnowiony. Jest już ksiądz Michał. Dowiadujemy się, że na dawnej plebanii jest kaplica, w której odprowadzane są nabożeństwa. Idziemy tam, bo to na przeciw kościoła. Siostra zakonna przygotowuje ołtarz do Mszy św. Nasi księża włączają się do koncelebry, syn Maciuś służy do Mszy, a Zosia pięknie śpiewa Lekcję. Wiernych nie ma. Niebawem jest już ksiądz Krzysztof. Pomagamy wtoczyć dużą betoniarkę na przyczepę, którą ksiądz Krzysztof powiezie do Doliny. Ksiądz Michał uzgadnia nocleg dla nas u parafian mieszkających na przedmieściu Kałusza. Rodzina ukraińska. Przyjmują nas bardzo serdecznie, czym chata bogata i bardzo rada. Po kolacji gospodarz, młody człowiek, uruchamia wideo i patrzymy na uroczystość przyniesienia w procesji krzyża, który będzie zamontowany na wieży kościelnej. Krzyż z metalu (oraz nasada na wieżę) został wykonany w Dolinie. Teraz w procesji ten symbol Zbawienia niesiony jest przez różne stany parafian z Doliny do Kałusza. Niosą księża rzymskokatolicki, greckokatolicki, prawosławni, młodzież, cała społeczność Kałusza. Kamera ukazuje też księdza proboszcza z Polski, z Niemodlina (woj. opolskie). Procesja dochodzi do kościoła. Tam, na linach, krzyż wciągany jest na szczyt wieży i fachowcy go zamontowują, aby głosił chwałę Zbawiciela.

Po przespanej nocy ruszamy w dalszą drogę. Planujemy być w Jazłowiecu. Z Kałusza droga fatalna, a na dodatek ukraińscy złodzieje ulokowani na stacjach paliwowych, zamiast oleju napędowego zapelnili mi bak olejem opałowym. Silnik się grzeje, temperatura na czerwonym z chłodnicy dymi para, pękają przewody gumowe łączące chłodnicę z silnikiem. Zbliża się wieczór, nie ma znaków drogowych ani nazwy miejscowości. Jadę, prawie po omacku, tak dziurawymi drogami,

że u nas w Polsce drogi polne są lepsze. Zaczynam się martwić. Jesteśmy na pustkowiu, żadnego śladu człowieka, robi się ciemno, ani wioski ani miasta przed nami. Po paru kilometrach wjeżdżam do jakiejś miejscowości. W duchu proszę Niepokalaną Jazłowiecką, aby mi pomogła dojechać do Jazłowca. Stanąłem niby w ryneczku, po chwili idą drogą dwie młodyce. Pytam, co to za seło? I odpowiedź: Jazłowiec. Matka Boża wysłuchała moich prośb i po chwili jesteśmy



Krypty zmarłych zakonnic w Jazłowiecu, po prawej stronie z kłęcznikiem krypta Marceliny Darowskiej



Krypta błogosławionej Marcelina Darowskiej

w klasztorze. Bardzo serdecznie zajęła się nami siostra przełożona. Nakarmieni poszliśmy spać. Rano Msza św., posilek, zwiedzanie klasztoru i krypty zakonnic. Tam spoczywa błogosławiona Marcelina Darowska, założycielka klasztoru w Jazłowiecu. Naprawa samochodu i w drogę do Polski. A z Jazłowca do Lwowa jest ponad 200 km. Samochód nadal się psuje. Po trudach dojechałem do miasteczka, bodajże Sasów. Napotkany

ksiądz greckokatolicki podwozi mnie pod sklep z artykułami gumowymi i kupuję zastępczy przewód gumowy. Tak dojechałem przed Żółkiew. Tu znów przyszedł mi z pomocą ksiądz greckokatolicki z Żółkwi. Naprawa samochodu i szczęśliwie dojechałem do Polski. Tyle trudu kosztowało mnie zatankowanie olejem opałowym. Mądry Polak po szkodzi. Następne tankowania były na stacjach z droższym paliwem, ale niefałszowanym. Po którymś kolejnym pobycie na Kresach jechałem z Zaleszczyk do Buczacza. Na przedmieściu Zaleszczyk zatrzymał mnie „na lebkę” ukraiński policjant drogówki. Prosił, by jak jadę przez Horodenkę, żeby go zabrać, bo jedzie do służby w Horodence. Było mi to na rękę, bo milicjant zna dobrze drogi i będę mógł jechać bez błądzenia. Był to szef drogówki z Horodenki. Mogłem go w formie grzecznościowej zapytać, dlaczego u nich są tak źle oznakowane drogi, miejscowości, żadnych znaków drogowych.

Wyjaśnił mi, że znaki drogowe są masowo kradzione, metalowe na złom, drewniane na opał, a betonowe na słupki ogrodzeniowe.

Milicjant, bardzo uczynny, po przyjeździe do Horodenki, poprosił, abym podjechał pod milicję i tam skinął ręką na kierowcę milicjanta, kazał mu nas pilotować do szosy głównej w kierunku Buczacza. Nie błądziłem ulicami Horodenki, aby dojechać do szosy prowadzącej do Buczacza.

Kolejny wyjazd był szczegółowo zaplanowany bliżej Czarnohory. Jadę głównymi trasami, mijam Stanisławów i kieruję się do Nadwórnej. Na widnokręgu wysokie góry, zaczyna się okolica inna niż koło Żółkwi. Przejeżdżam przez Nadworną i kieruję się w stronę Delatyna.

W Delatynie zatrzymuję się koło kościoła. Przed kościołem zatoczka, mogę podejść pod drzwi kościoła. Jest zamknięty, ale ogłoszenia mówią o Mszy św. Znaczą to, że kościół jest czynny i spełnia swą powinność. Po paru kilometrach jesteśmy już w Jaremczu. Miasteczko uzdrowiskowe, zatrzymujemy się koło stacji kolejowej na małym placu. Naprzeciw a'la kawiarenka. Nas interesuje kąpiątek – gorąca woda, mamy „galopzupki” – gorący kubek, jest też rożno i spory plac – bazar. Można tam zobaczyć i kupić wszystko, co tylko może wyprodukować zdolna ręka Hucula. Przepięknie wyszywane kożuchy, kapy na łóżka, koce z czystej owczej wełny, ubiory, artystycznie wykonane, rzeźbione różne sprzęty gospodarstwa domowego – fujarki, łyżki, talerze, różne szkatułki. Cały huculski folklor. Krótki popas i w drogę. Planuję dojechać na noc do Kosowa, a droga daleka i wyboista. Mijamy Tatarów. Wieś skupiona na całej długości obok szosy, tu też przedwojenne polskie uzdrowisko. Już Worochta. Szosa wiję się między górami, dołem jakby jazda po równinie, a tu szczyty gór. Jest maj, na dole zieleni się trawa, kwitną drzewa i sady. Na szczytach gór białe ośnieżone szczyty. Trzeba dobrze głowę zadzierać do góry, aby dostrzec szczyt Howerni. Już prawdziwa Huculszczyzna. Zbliżamy się do Żabia, teraz nazywa się Werchowyna. Domki huculskie rozrzucone po przeciwnych górach, oddalone od siebie nawet o kilometry. Pięknie rzeźbione i kolorowo malowane, wprost bajeczny teren. W Żabiu podjeżdżam pod cerkiew, z prawej, naprzeciw cerkwi niby park, a w nim, pod dużym zadaniem scena i właśnie odbywa się jakiś praznik.

Na scenie tańczy huculski zespół taneczny. Nie podchodzimy bliżej, robimy zdjęcie przed cerkwią, jest zamknięta, podziwiamy ze schodków jej piękno. Jest innej budowy niż te cerkwie i cerkiewki mijane, jakie spotykamy w tych stronach. Przeważnie są to cerkwie baniaste, typu bizantyjskiego, a miniaturki cerkiewki przy szosach to takie jak u nas w Polsce kapliczki przydrożne. Tylko że u nas każda inna, a tam to jakby z matrycy wytłoczona cerkiewka. Szosa wiję się brzegiem Czeremoszu. Nurt bardzo szybki, bo była jakaś ulewa. Woda niesie błoto z pobliskich gór. Już niedaleko Kosów i zbliża się wieczór. Podjeżdżam pod kościółek, którym jest kaplica cmentarna. Skończyła się majówka, ale zastajemy księdza, jest w kancelarii, którą jest pomieszczenie chóru. Kieruje nas na nocleg do pani Marty, swojej parafianki. Ładny dom z ogrodem i prawdziwa huculska studnia. Po przespanej nocy zwiadzamy



Rynek w Kołomyi, w głębi ratusz. Na zdjęciu autor z kolegą Stanisławem Łuczko z Włodawy

Kosów, mały rynek, parę sklepów, w tym z huculskimi wyrobami ludowymi. Kupuję piękny, gruby, wełniany koc i jak jestem w domu nim przykryty to śnię o pięknej Huculszczyźnie. Sanatorium Tarnawskiego nie można było zobaczyć, bo teraz jest tam sanatorium wojskowe. Przez Jabłonów dojeżdżam do Kołomyi – miasto piękne i nad wyraz czyste, zadbane i ma w sobie ten urok miasta cywilizowanego. Rynek i Ratusz to kołomyjski zabytek kultury minionej epoki. Obchodzimy bazar, masa grzybów, suszonych i świeżych, same prawdziwki. Masa jagód, malin i jeżyn, poziomek. Owoce duże, mięsiste i soczyste. Zwiadzamy kościół, w środku zastawiony rusztowaniami, trwa remont. Ksiądz Andrzej Ziobier przyjmuje nas serdecznie. W budynku plebanii jest też dom zakonnic, które uczą dzieci katechezy i pomagają w kościele.

„Kołomyja, Kołomyja misto” wracamy do Polski. □

Wspomnienia kresowe (II)

(Przedruk z „Nad Odrą” nr. 46, 47 z 1996 i 1997 r.)

W 1943 r. zaczęto przebąkiwać o mordowaniu Polaków i paleniu wsi polskich na Wołyniu. Nikt nie wierzył, żeby u nas takie coś nastąpiło. Ale wkrótce ujrzelśmy w nocy czerwone łuny na niebie, to płonęły sąsiednie wsie podpalane przez banderowców. Nam w nocy nalepiano kartki na bramę tej treści: „za San Lasze, bo to nasze”, bo czeka nas spalenie i śmierć. Niektórzy bojaźliwi uciekali z tobołkami za Przemyśl i do Krakowa i tam po ludziach i dworach pracowali ciężko na kawałek chleba.

Moja rodzina i inni pozostali, dąszli uciekinierzy z sąsiednich wsi, kopaliśmy rowy i nory w ziemi, aby się ukryć. Dzieci i staruszkowie marzli w tych dziurach prawie 2 lata. Tak się męczyli, a my młodszy mężczyźni i kobiety co noc organizowaliśmy czujki nocne z kijem w rękę, bo bronili nie mieliśmy.

I stało się co najgorsze. W nocy z 29 na 30 marca 1944 r. około godziny 2 po północy, gdy już ludzie z wart rozchodzili się, nadjechali Ukraińcy z sąsiedniej wsi Tumierza, otoczyli dzielnicę Mariampola czysto polską, zwaną Wołczkowem, zaczęli palić domy, do uciekających strzelano, tego kto nie ukrył się, bo nie zdążył okropnie mordowano. Gdzie znalaziono schron rzucano granaty, wielką masakrę tym sposobem narobili. Sprzyjał im też drobny śnieg, który tej nocy poproszył, gdyż po śladach wyszukiwali uciekających i ukrywających się ludzi. Pewna staruszka skryła się w polu za kupą obornika, zobaczyła nadjeżdżających i zawołała „Matko Boska ratuj mnie”. Usłyszeli to banderowcy i jeden mówi do drugiego: „Daj jej Matko Boska” i tenże chwycił nóż i rozpruł jej brzuch i tak wnętrzności do rana jej wychodziły. Tej nocy spalono ponad 300 domów, wiele bydła się popiekło, porznięli i postrzelili około 70 osób. Byli to starcy, dzieci malutkie, które wbijano na płoty. Rano ludzie wychodząc z ukrycia znajdowali ciała swoich najbliższych pomordowanych, których jęki i błagania o litość słyszeli, a nie mogli im nic pomóc. Wieś zamieniła się w jedno pogorzelisko, gdzieś nic słyszeć nie było, tylko jęki umęczonych. Ja z mamą, babcią i bratem wyszliśmy z ukrycia z kupy obornika i ze stodoły Ukraińca, natomiast ojciec był ukryty w kupie badyła kukurydzianki. Widział nasze dziewczęta ukraińskie niosące we wiadrach benzynę do podpalania domów.

Pytam się, za co oni to Polakom robili? Za to, że była jedna szkoła dla wszystkich, byli traktowani w urzędach jednakowo, w szkole były 3 godziny lekcyjne po ukraińsku w tygodniu, Cerkiew miała taką samą wolność jak Kościół rzymskokatolicki. Na odpusty nasi księża szli spowiadać i odprawiali Msze św. w cerkwi, a oni to samo robili na nasze odpusty. Gdy było ich święto Chrztu Pana Jezusa w Jordanie 19 stycznia, oni szli w procesji do rzeki, a nasza procesja dołączała do nich. Na święta jedni do drugich chodzili, były miesz-

ne małżeństwa itp. Czy przez te mordy miała nastąpić wolna Ukraina? Ziemia nasza przesiąknięta krwią bratnią woła o pomstę do nieba.

Dawniej czytałem, że delegacja polska udała się do Rzymu, prosząc Papieża o relikwie dla budującego się kościoła (bo nie wolno było odprawiać Mszy św. bez relikwii świętych), a Papież im tak powiedział: „weźcie garść ziemi polskiej i połóżcie ją na ołtarzu, to będą relikwie, bo ziemia polska, a szczególnie ta na wschodzie, była przesiąknięta krwią obrońców ojczyzny, a teraz ostatnio przesiąknięta krwią pomordowanych”.

Nie było komu powstrzymać ludu wiejskiego od takich strasznych rzeczy. Księża ukraińscy stale nawoływali w cerkwiach, że nadszedł czas, aby przesiać kłókol od pszenicy (tym kłókołem byliśmy my, Polacy). Hierarchia Kościoła greckokatolickiego nic na to nie reagowała. Jest faktem historycznym, że arcybiskup lwowski Bolesław Twardowski poszedł do biskupa greckokatolickiego Szeptyckiego i prosił o wydanie listu pasterskiego w celu wstrzymania tych mordów. Biskup Szeptycki nie posłuchał, nie wydał też listu biskup ukraiński Shomyszyn ze Stanisławowa.

Na drugi dzień po pożarze Wołczkowa miała przyjść kolej na Mariampol, ale niespodziewanie wpadła partyzantka radziecka i wybawiła nas od tego. Matka Boska nie pozwoliła, by gród Jej imieniem poświęcony spłonął lub został wybity. Były to naprawdę gorsze dni niż tatarskie. Teraz tylko nasłuchiwalimy huk armat i strzałów, bo front się do nas zbliżał.

W lipcu 1944 r. Niemcy uciekli, a przyszli Rusczy. Dalej bandy ukraińskie grasowały, a myśmy myśleli, że będzie lepiej. Mężczyzn naszych zabrano do wojska i pędzono ich w podartych butach i o głodzie aż za Przemyśl. Niejednemu po takiej podróży nogi puchły i krwawiły. Dalej musieliśmy się pilnować, bo władze ruskie nic sobie z nas nie robiły.

Nadszedł rok 1945, ludzie wyruszali w pola do siewów i innych prac polowych, chociaż szły gadki, że nas przymusowo wysiedlą, nikt w to nie wierzył. Zrobiono w polu wszystko co trzeba, aż tu w czerwcu zrobiono zebranie i powiedziano nam, że musimy wyjeżdżać do Polski przymusowo.

Ludzie nie wierzyli, ale gdy powiedzieli, że trzeba podpisać ruskie obywatelstwo, to się zostanie, a kto nie podpisze musi wyjechać. Teraz dopiero dowiedzieliśmy się, że w Jalcie i Poczdamie Zachód sprzedał nas Stalinowi. Ludzie mówili: „naszych chłopów zabrano do wojska, a nas za to wysiedlają w nieznane”. Trzy dni nikt nie chciał brać kart ewakuacyjnych, strasznie było ruszać się ze swego miejsca, a gdy nam mocno dopiekli, musieliśmy się ruszać. Pozwolono brać rzeczy tylko pierwszej potrzeby, 1 konia albo 1 krowę i trochę starego zboża, bo tegoroczne zboża pięknie się zapowiadające były już nie nasze. Pozostał problem kościoła. Głowa rejonu powiedział, że bez spisu rzeczy nie wolno nam nic wynieść z kościoła, szczególnie kielichów i cudownego obrazu Matki Bożej Zwycięskiej, który to obraz jest dziełem sztuki, ma srebrne szaty i złotą koronę; miał zabrać go do muzeum. My przejrzelśmy ich szatańskie zamiary i obraz zawczasu wywieźliśmy w sianie do Stanisławowa, rzeczy ludzie nocą po-

wywozili z kościoła, zostały tylko gorsze, wynieśliśmy je do Jezuitów w Stanisławowie. Mieliśmy po jednym ornacie, jeden kielich i jedną puszkę.

Gdy przyszedł spisywać, mało co było, daliśmy mu mocno popić, że już nic nie mówił. W pierwszy piątek miesiąca sierpnia 1945 r. ksiądz Mikołaj Witkowski, administrator parafii, odprawiał przy kilku osobach będących w kościele ostatnią Mszę św. Wypuryfikował puszkę od Najświętszego Sakramentu i przy placu ludzi zostawił tabernakulum otwarte. Wyszliśmy z kościoła, ja oddałem klucze proboszcza od kościoła rejonowego, a drugie klucze, które miałem swoje, nie dałem i przywiozłem tu na Zachód, wisząc one przy obrazie Matki Bożej Mariampolskiej we Wrocławiu.

Zaczęliśmy zwozić swoje graty na peron kolejowy w Stanisławowie, trzeba było marznąć na dworze kilka dni, a czasem i dłużej czekać na wagony. Gdy ostatni raz z księdzem jechaliśmy na wozie, spojrzaliśmy z trzykilometrowej odległości na nasz kościół i na gród nasz rodzinny. Żegnaj ziemio ojczysto, grodzie Hetmana Jabłonowskiego (bo on Mariampol założył, zbudował zamek obronny, była to twierdza nie do zdobycia). Po upadku Kamieńca Podolskiego tu ordy tatarskie łamały sobie zęby mówiąc, że tam czart siedzi i z daleka ten zamek omijały. Hetman Jabłonowski dawał im nieraz dobre lanie, a zawsze jechał do bitwy z obrazem cudownym MB Mariampolskiej i zawsze bitwę wygrywał. Był z tym obrazem nawet pod Wiedniem. Żegnajcie groby naszych przodków, nie wiemy, czy was jeszcze ujrzemy.

Po kilkudniowym czekaniu przyszły wagony węglarki. Musieliśmy się ładować po kilka rodzin do jednego wagonu. Kto zdobył kawałek papy, przykrył te graty, a kto nie, to sam moknął i marznął i rzeczy mokły. Pod koniec sierpnia wyjechaliśmy ze Stanisławowa, przejechaliśmy Lwów w nocy, później Przemyśl, Kraków w nocy i wyjechaliśmy do Zabrze-Mikulczyc. Tam nam kazano wylądować swoje graty na ziemię i znowu kilkudniowe czekanie na polskie wagony. Wagony, co nas przywiozły, pojechały do kopalni po polski węgiel. A my musieliśmy dzień i noc pilnować się, bo bandy rabusiów grasowały. Wreszcie przyszły wagony, też węglarki, ta sama tragedia co przedtem.

Nie wiemy, gdzie nas wiozą, co kilka kilometrów odczepianie parowozu, zaczęło się dla nas prawdziwe piekło. Pamiętam, że przejeżdżaliśmy przez rozbity Głogów, później dłuższy postój był we wsi, która po niemiecku nazywała się Buchwald k. Szprotawy. Nie było tam ani jednego Polaka, chcieliśmy się tam osiedlić, Rusczy nie pozwolili, choć Niemcy nas bardzo o to prosili, oni mieli już dość Ruskich, którzy ich gorzej jak niewolników traktowali. Przeszliśmy się po wsi, ja pierwsze kroki skierowałem do kościoła i płacz mnie ogarnął widząc to wszystko. Na posadzce walały się szaty liturgiczne, ornaty i inne, nawet portatli (relikwie) był wyjęty i otworzony. Piękny mszał łaciński stał na ołtarzu, tego rabusie nie ruszyli.

Przywieziono nas do Żar i chcieli nas tam osiedlić. My nie zgodziliśmy się i po kilku dniach rzucono nas do Poznania. Poznań skierował nas na Ziemię Odzyskaną. Po 6-tygodniowej jeździe dnia 16 października oko-

ło godz. 18 transport stanął. Powiedziano nam, że tu będziemy osiedleni. Ludzie zaczęli wychodzić z wagonów, by rozprostować ściśnione kości, bo ciasnota była okropna. Radość, że koniec tułaczki, mieszała się ze smutkiem, bo przyszły wspomnienia, że w tym czasie chodziło się w Mariampolu na różaniec. Nikt nie poszedł do wsi, bo noc była. Smutno i dziko nam wyglądało w tym Smolnie.

Kobiety szlochały: „Boże, Boże, co z nami będzie i jak nam tu będzie”, bo różne bzdury mówiono o tymczasowości, o wojnie nowej itp., wszystko to straszło. W tej panice kilku starszych gospodarzy zaczęło się naradzać. W parę minut później mężczyźni poszli do niedalekiego lasu, przyniesiono stos chrustu, porąbano kilka podkładów kolejowych, rozniecono ognisko. Ludzie zaczęli się schodzić do ogniska. Wtenczas Jan Tomczak tak przemówił: „teraz miesiąc różańcowy i my z różańcem zaczniemy tu nasze życie, nic nam złego się nie stanie pod opieką Matki Bożej. Pierwsze nasze kroki na tej nowej ziemi zaczniemy z modlitwą”.

W wieczornej ciszy popłynęła w niebo pieśń „Zawitaj Królowo Różańca Świętego, jedyna nadziejo człowieka grzesznego i nasza nadziejo”. Po odśpiewaniu tej pieśni 40 rodzin ukłękło na zimnym bruku do różańca. Później odśpiewaliśmy jeszcze „Pod Twoją obronę” i ludzie pokrzepieni na duchu poszli do swych wagonów. Z niedalekich domów wyszli Niemcy i płacząc powtarzali „Mein Gott” (mój Boże), wiedzieli oni, że Polacy się modlą.

Rano osiedlaliśmy się w przeznaczonych nam gospodarstwach. Było chłodno i głodno. Samorządnie wzięliśmy się do uporządkowania kościoła ewangelickiego, który straszny przedstawiał widok. Trafiła nas jednak troska skąd weźmiemy księdza. W najbliższą niedzielę poszedłem do Niemki i pytam, gdzie jest „katolisze kirche”. Na migi pokazała szosę do Sulechowa, a bliżej do Kargowej. Poszliśmy do Kargowej, gdzie po 6 tygodniach mogliśmy być na Mszy św. W Kargowie utrzymała się mała grupa ludności polskiej, byli oni katolikami i mieli swój kościół. Nasi ludzie nazwali ich autochtonami. Z jednym z nich zaprzyjaźniłem się.

Jest to pan Karol, obecnie kościelny przy kościele parafialnym św. Wojciecha w Kargowie. Opowiadał mi on różne rzeczy dotyczące tego regionu. Dużo z nich zapomniałem, tylko jednego nie zapomnę do śmierci. Pan Karol w młodości pracował zarobkowo u pastora ewangelickiego. pewnego dnia pyta się pastora: „Panie pastor, powiedz, która wiara lepsza, wasza ewangelicka czy nasza katolicka”. Pan pastor tak odpowiedział: „Nasza wiara dobra jest do życia, a wasza katolicka dobra jest przy śmierci, z nią dobrze jest umierać”. Jakże mądre były te słowa pastora.

Po Mszy św. poszliśmy do zakrystii prosić księdza, aby nam poświęcił kościół, byśmy się mogli choć sami modlić. Nie mogliśmy się z nim dogadać, bo był Niemcem. Tyle tylko zrozumieliśmy, że trzeba iść do Klinic, bo Smolno do niego nie należy, a najlepiej jechać do Gorzowa albo samemu sobie księdza szukać. Dowiedzieliśmy się, że przez Sulechów idą transporty i bę-

dziemy pilnować, może księdza znajdziemy, żeby go zabrać do siebie. Pod koniec listopada 1945 r. dowiedzieliśmy się, że jest transport z księżmi w Sulechowie. Okazało się, że byli to księża z diecezji lwowskiej. Młody ksiądz już znalazł sobie miejsce w Klenicy, a starszy, około lat 80, stał na peronie i marznął. Był to ksiądz Marcin Stefanicki, tego zabraliśmy do siebie.

Ludzie, sami biedni, troszczyli się o utrzymanie księdza; była radość, że go mamy. Ponieważ był ksiądz, zbliżał się dzień poświęcenia kościoła, pracowali wszyscy murarze, stolarze, a wszystko za darmo na chwałę bożą. Pamiętam jak robiliśmy tabernakulum. „Tak” – mówiono – „tam na wschodzie zostało tabernakulum puste, a tu zrobimy, żeby było ładne, bo Pan Jezus z nami będzie”. Kobiety przyniosły jedwab i obity wnętrze tabernakulum. Porządkowaliśmy też i plebanię. Była duża biblioteka niemiecka, poszła na ogień. Znalazłem wśród tych książek starą książkę z XVIII wieku, pięknym ozdobnym drukiem pisaną, był to brewiarz romanum (łaciński brewiarz), poszedł też na ogień, bo mi kazano spalić. Księga ta, gdyby mogła mówić, dużo by nam powiedziała.

Stare babcie z sąsiedniej wsi Kramka Starego opowiadały mi, że w tym miejscu, gdzie dziś stoi nasz kościół, był kościół drewniany, katolicki. Dziedzic Smolna przeszedł na protestantyzm, zbudował kościół z cegły według wzorów ewangelickich i wieś cała przeszła na luteranizm. Mam też dowody, jak tradycja wśród tych ludzi, którzy żyli w morzu germanizacji, nie zginęła. Zachowali polską mowę w starym stylu i pamiętki polskości. Powiedzieli mi, że my tu żyjemy w okręgu maryjnym. W niedalekiej Klenicy Matka Boża przed laty objawiła się dzieciom, do dziś idą różne legendy na ten temat (obecnie figurka Matki Bożej Klenickiej znajduje się w Otyniu). Drugim sanktuarium maryjnym jest wieś Klemsko (parafia Łęgowo). Staruszkowie z Kramki przez tyle lat zachowali pamięć, że w tym kościele jest Maryja, która nie dała się wywieźć z kościoła, gdy lutrzy ją wyrzucali, czekała aż po wiekach przyjdą Polacy. Jej wierni i będą ją tu czcić. W 1945 r. odsłonięto tryptyk ołtarzowy i znaleziono piękną figurę Matki Bożej. Klemsko i okolica uważa tę figurę za cudowną.

Gdy już nieco uporządkowaliśmy kościół nadszedł dzień jego poświęcenia. Był pięknie przyozdobiony w girlandy. 9 grudnia 1945 r. ksiądz Marcin Stefanicki poświęcił kościół. Długo nie cieszyliśmy się księdzem. W święto Chrystusa Króla 1946 r., patrona naszego kościoła, pożegnał się z nami, bo był mocno chory i wyjechał do Tuczna k. Walcza, gdzie tam zmarł. Zostaliśmy bez księdza. Proboszcz z Klenicy obiecał, że raz

w miesiącu do nas przyjedzie. Otwierano kościół i modliliśmy się sami, śpiewaliśmy nieszpory i pieśni religijne. Nigdy nie zapomnę uroczystości Wszystkich Świętych w 1946 r. Zeszliśmy się do kościoła na nieszpory, a po nich wzięliśmy z kościoła krzyż i przy śpiewie „Jezu w Ogrójcu mdlejący” szliśmy przez wieś na cmentarz, gdzie już kilku naszych ludzi pochowano. Modliliśmy się tam wspólnie. Dziś, gdy kapłani prowadzą procesje na cmentarz, zawsze mi ta nasza pierwsza procesja bez księdza stoi przed oczyma.

Jechaliśmy do Kurii Biskupiej w Gorzowie, nic nam nie obiecali, rozkładali bezradnie ręce. Tyle tylko zrobili, że oddali nas w opiekę proboszczowi z Kargowej, bo to bliżej, który też co niedzielę nie przyjeżdżał. Zaczęliśmy uprawiać tę lichą ziemię, orali i siali. Przy wyjeździe w pole siał zachowaliśmy stary zwyczaj, że gospodyni kropi wodą święconą zboże, a gospodarz bierze do ręki gałązkę poświęconej palmy i zatyka na polu. Robi to, jak robił jego ojciec i dziad, bo ta ziemia na zachodzie po wsze czasy będzie polska. Odebrano nam plebanię, zaczęły się rządy stalinowskich komunistów. Wydzierano od nas obowiązkowe dostawy za darmo, przemocą organizowano kolchozy, kościółowi utrudniano pracę, dzieci chciano skomunizować. Dopiero w czasach gomułkowskich zelżało trochę. My z tego okresu skorzystaliśmy, po wielkich trudach państwo zatwierdziło nam parafię i odebraliśmy plebanię. Pierwszym proboszczem był ksiądz Józef Król. Ludność, która tu przybyła, po-

chodziła z różnych stron Polski. Początkowo były różnice dzielnicowe, obecnie już tego nie ma.

Z bólem przeżyliśmy odarcie naszego obrazu Matki Bożej Mariampolskiej z sukienki srebrnej, złotych koron i wot. Co roku do niej pielgrzymujemy. Dożyliśmy tej radości w dniu 8 września 1989 r. Prymas Polski, kardynałowie, wielka liczba biskupów i ludzi ukoronowali nasz obraz Matki Bożej Zwycięskiej papieskimi koronami. Przeżyliśmy okropne czasy komunistycznych rządów. Mamy wolność kościoła i państwa. Diecezja nasza zielonogórsko-gorzowska kwitnie życiem religijnym, w każdej wsi odprawiana jest Msza św. Dusza ks. biskupa Nowickiego, który pierwszy administrował tak dużą diecezją, uprasza nam u Boga te potrzebne łaski, bo wierzymy w świętych obcowanie. Spodziewamy się, że i my wybrniemy z tego bałaganu w Polskę, że nastaną lepsze czasy, Matka Boża nas nie opuści. Modlimy się i dziś, bo Ojczyzna tej modlitwy potrzebuje, a bez Boga nic nie poradzimy.

Te wspomnienia napisałem, żeby młodzi ludzie wierzyli, jakie czasy przechodziliśmy. □



Matka Boska Mariampolska w kościele NMP na Piasku we Wrocławiu

Mieczysław Kowal

Pasja Emilii Wołoszyn

Emilia Wołoszyn – lwowianka jest osobą z wielką pasją, gdyż rysuje i maluje świat taki jakim jest. Skończyła Liceum Plastyczne w Jarosławiu i od tej chwili włączyła się z dużą pasją w malarstwo. Jest zadowolona i twierdzi, że bardzo dobrze wybrała ten kierunek zainteresowania i działalności twórczej. Warsztat Emilii to kawałek stołu, paleta z farbami i kilka pędzli, rozpięte płótno. Już maluje: krajobraz Rzeszowa, czy w plenerach okolice podrzeszowskiej wsi i małych miasteczek. Często wyraża zainteresowanie motywami religijnymi, które wplatają się w jej twórcze prace. Niedawno skończyła obraz, który podarowała Ojcom Bernardynom. Przedstawia chór „Echo” ze Lwowa dający koncert przed głównym ołtarzem kościoła. W tle można rozpoznać nieżyjącego już ojca Cherubina – wielkiego poetę i muzyka. Ostatnio w Osiedlowym Domu Kultury zorganizowała wystawę prezentując swoje ciekawe prace malarskie, które budzą zainteresowanie odwiedzających Dom Kultury. Emilia często tuszem szkicuje pejzaże-scenki ze spotkań ze znajomymi. Jej sprawna ręka to także wynik pracy, jaką przez lata wykonywała. Była kartografem, a mapy wymagają precyzji.

Dużym wydarzeniem dla p. Emilii Wołoszyn była wycieczka do miasta Przemyślany i parafii rzymskokatolickiej z okazji odpustu i uroczystości św. św. Piotra i Pawła. Emilia wymalowała piękny obraz Chrystusa, wręczyła go osobiście podczas Mszy św. w czasie składania darów ołtarza ks. kardynałowi Marianowi Jaworskiemu jako dar dla kościoła w Przemyślanach. Jest to wielkie osobiste przeżycie dla malarki, jak również stwarza i daje zapal do dalszej twórczej pracy artystycznej w malarstwie. Emilia cieszy się, że jej dar ołtarza – obraz Chrystusa będzie w kościele w Przemyślanach na Ukrainie służył parafianom i turystom



Fot. M. Kowal

Emilia podczas malowania

z Polski odwiedzającym ten kościół. Podczas malarskich plenerów w terenie Igną do Emilii dzieci. Lubią przysiąść, podglądać, patrzeć i pomagać w malowaniu. Talent po babci odziedziczyły dwie wnuczki, z których jest dumna. Oglądałem te prace – jest się czym zachwycać, mimo że dziewczynki są jeszcze małe. Gdy dorosną to będą mistrzyniami w malarstwie, nowoczesne, wspomagające się komputerowo i mające wiedzę wszechstronną. Pani Emilii Wołoszyn życzymy dużo zdrowia i dalszego zapалу do twórczej pracy artystycznej w malarstwie. □

Adam Rząsa

Wspomnienia z minionych lat

W mojej rodzinnej wsi Łubno koło Dynowa w marcu 1945 roku, po zamordowaniu kilkunastu Ukraińców przez ludzi z zewnątrz, przyjechali NKWD-yści z Sano-ka. Mój ojciec z mamą i córką Stanisławą byli w tym dniu u sąsiada Teodora Pudły, Ukraińca. Jeden z żołnierzy NKWD, wskazując na mojego ojca, zapytał Pudłę: „Czy to wasz brat?”. Ten oświadczył: „Tak, to mój brat” – i tym samym uratował ojca od zsyłki na Sybir. W okresie późniejszym przyszło do Teodora Pudły dwóch uzbrojonych ludzi. W izbie była jego rodzina, mój ojciec oraz Piotr Bielec. Jeden z przybyszów powiedział do zebranych: „Niech z chałupy wyjdą Polacy”. Ojciec wraz z Piotrem Bielcem bardzo prosili, aby nie strzelano do tych Ukraińców. Oni byli bardzo dobrymi ludźmi, w czasie okupacji nie współpracowali z Niemcami. Piotr Bielec oświadczył: „Oni wyjeżdżają do

Związku Radzieckiego, a ja po ich wyjeździe będę mieszkał z rodziną w tej chałupie, bo moja się wali”. Uzbrojeni ludzie wyszli i w ogromnym zdenerwowaniu strzelali do wron siedzących na drzewach. W marcu 1945 roku NKWD zabrało z Łubna następujących Polaków: Andrzeja Kustrę (zmarł w ZSRR), moich dwóch wujków: Antoniego Kielbasę, Adama Kielbasę, Pawła Kielbasę, Ignacego Kielbasę (seniora), Jacentego Bogusza, Pawła Sienkę, Jana Bielca, Piotra Chromiaka, Pawła Myćkę i Ukraińca Bazylego Trojana. Do policji w czasie okupacji należeli następujący Ukraińcy z Łubna: Andrzej Brewka, Michał Hrycko, Wasyl Hryń, Onufry Łazor, Stefan Trojan, Włodzimierz Szewczyk, Stefan Szepelak, Włodzimierz Wasylowski. Piotr Kos był żołnierzem Wehrmachtu, zginął w Afryce. □

Szanowna Redakcja

W roku szkolnym 1934–1935 moją Nauczycielką i Wychowawczynią w klasie trzeciej była w Łubnie, powiat brzozowski, Pani Janina Dekalska.

W nagrodę za dobre wyniki nauczania otrzymałem od Niej książkę gimnazjalną. Ciekaw jestem czy Pan Inżynier Michał Dekalski, twórca projektu głównego ołtarza w Dolnie, jest jej krewnym. W przeszłości o wyżej wymienionej mówiłem moim uczniom i studentom. Kil-

kunastu z nich jest profesorami i doktorami różnych dyscyplin naukowych. Brałem udział w kształceniu kilku tysięcy nauczycieli. Starłem się twórczo naśladować Panią Janinę Dekalską jak bardzo dobrego Pedagoga. O ile mogę to uprzejmie proszę o przesłanie tego listu wraz z kserokopią świadectwa Panu Michałowi Dekalskiemu do Lwowa.

Z wyrazami szacunku

Adam Rząsa

Wincenty Zdzitowiecki Dziecko wojny (III)

Ewidencja, pionierski lagier i kolejne przeniesienia, spotkanie z siostrą

Zgodnie z posiadanym przeze mnie dokumentem władza radziecka na ewidencję, co do okresu pobytu w domach dziecka, przyjęła mnie z datą 1 stycznia 1945 roku. Okres poniewierki od jesieni 1939 roku poszedł w niepamięć, okres niemieckiej okupacji również.

W 1945 zostałem wciągnięty do organizacji pionierskiej i na lato odesłany do pionierskiego lagru w miejscowości Budślów. Bawiliśmy się dobrze, grano nam na akordeonie, uczono patriotycznych pieśni, w tym jedną, która jakby była odpowiedzią na „Cud nad Wisłą”. Słów tu nie chcę przytaczać, bo nie każdy zrozumie, że to nie ja jestem autorem tej piosenki.

Chodziliśmy też na zbieranie czarnych jagód. Kto ubierał „normę” do wspólnego kotła – dalej mógł opychać się sam. W tych moczarach i gęstwinie napotykaliliśmy żmije. Kilka z nich pojmano. Nauczono nas jak się je łapie, ale nikt nam nie wykladał na temat ekologii i zachowania gatunku (W Postawach przyuczono nas do łapania kretów, w tym też celu wydano nam specjalne pułapki i pokazano jak te krety pozbywać futerka za pomocą żyłki. Zajęcie to było odpłatne, za każdą wysuszoną skórę dostawaliśmy jednego rubla).

Z końcem lata wróciłem do domu dziecka w Postawach, aby w styczniu 1946 jeszcze raz znaleźć się w Budśławie, gdyż w międzyczasie utworzono tu specjalny „dziecki” dom. Sielskie powietrze było zdrowsze od miejskiego, a poza tym wyżywienie również bardziej kaloryczne i dodatkowo drugie śniadanie: jajka, mleko, owoce.

Na lato 1946 roku starsze dzieci i mnie wywieziono do lasu na ścinanie drzew. Ścinanie odbywało się za pomocą pił ręcznych. Najpierw przy pomocy siekiery należało wykonać zacios ciesielski od strony przewidywanego upadku drzewa, a następnie podpiłować po stronie przeciwnej zaciosu i gdy zęby piły przekroczyły połowę grubości pnia, należało to zgłosić opiekunowi czuwającemu nad naszym bezpieczeństwem. Trzeba przyznać, że nie zdarzył się ani jeden wypadek przy całokształcie wykonywanych czynności takich jak obalenie drzewa z pnia, ociosania z gałęzi i następnie poćięcia na bale długości jednego metra. Bale znosiło się i układało w kubiki. Drewno to miało służyć na opał. W Budśławie dzieci były rozmieszczone w kilku jedno-

rodzinnych domach, stosownie do utworzonych grup. Wspólna była jedynie jadalnia. Wszędzie piec opalane drewnem. Nie było samowoli, drzewa podlegające ścięciu wyznaczał leśniczy.

Spaliśmy w namiotach. Wyżywienie było bardzo dobre, bo otrzymywaliśmy codziennie trzy oryginalne, amerykańskie paczki: osobno śniadanie, obiad i osobno kolację, o tym świadczyły napisy w języku angielskim. Niezależnie od paczek gotowano na poranny posiłek kawę lub herbatę, a na obiad zupę. Przez lato przygotowaliśmy taki zapas drewna, że nie zachodziła potrzeba wyrębu drzewa latem następnego roku, to jest 1947.

Latem 1947 chodziliśmy na sianokosy, być może miała to być pomoc dla kolchozu. Grupę dzieci na łękę prowadził wychowawca, zdemobilizowany po wojnie. Jeden wychowanek się oddalił samowolnie i niezauważony przez nikogo. Zamiast obracać trawę grabiami udał się nad rzekę, wspiął się na drzewo, usiadł na gałęzi i rzucał granulki chleba wymiętoszonego z proszkiem kwasu bornego. Gałąź pod nim pękła, pływać nie umiał, doznał zawału serca. Na imię mu było Witia. Przeważnie sypiał z otwartymi oczami, z tego też względu przepowiadano mu krótkie życie.

Po zakończeniu pracy polegającej na przewracaniu skoszonej uprzednio trawy czas było wracać. Zbliżyliśmy się do rzeki i któryś z nas zauważył topielca. Zawiadomiono wychowawcę, który nas przeliczył i doszedł do wniosku, iż jednego brakuje. Ciała zanurzonego w wodzie na głębokości nieprzekraczającej dwóch metrów nie można było jeszcze rozpoznać, ale wychowawca zawiadomił z najbliższego telefonu prokuraturę – myśmy grzecznie oczekiwali na jego powrót. Wkrótce też zjawił się prokurator z lekarzem i jeszcze jedną osobą towarzyszącą. Ten trzeci zanurzył się w wodzie i wydostał topielca. Nie było już wątpliwości, że to wychowanek domu dziecka.

Wychowawcę prokurator aresztował. Żał nam go było. Przy pomocy wychowawczyń napisaliśmy list do prokuratury stwierdzając m.in., że nas nie da się uplinować i tym samym wychowawca nie zawinił. Po dwóch miesiącach pobytu w areszcie został zwolniony. Widziałem go w dniu zwolnienia z aresztu, siedł w szynelu wojskowym, nieogolony, wychudzony. Był nam wdzięczny, ale pracy już w domu dziecka nie podjął.

Wychowanka pochowano na miejscowym cmentarzu. Postawiono mu pomnik z desek, wykonany w stolarni domu dziecka na wzór szpicu Kremla i gwiazdę czerwoną. W tejże stolarni uczyłem się posługiwać dłutem, młotkiem i heblem. Stolarz nauczył nas jak się robi taborety bez użycia gwoździ. Umiałem sporo, ale

stolarzem nie zamierzałem zostać, bardziej pociągało mnie wojsko.

I oto któregoś dnia zawitała tu komisja wojskowa, której powierzono dokonać rekrutacji do orkiestry wojskowej. Przymusu nie było, ja się zgłosiłem na ochotnika. Mimo że przed sobą mieli moją teczkę zapytano o narodowość, powiedziałem: Polak – z akcentem rosyjskim i usłyszałem, że „inostrajców nie przyjmują”. Poczulem się urażony, bo byłem okrągłym sierotą i już nie liczyłem, że kogokolwiek odnajdę lub ktoś mnie odnajdzie, bo to już więcej niż dwa lata od zakończenia wojny, a po mnie nikt nie przyjechał.

Dokładnie ósmego lipca 1947 roku wraz z kilkoma innymi wychowankami zostałem odprowadzony do domu dziecka w miejscowości Golszany. Aby tam dotrzeć, należało jechać pociągiem przez miasto mego urodzenia tj. Mołodeczno. Tu oczekiwała nas przesiadka, do odjazdu pociągu do Golszan było 5 lub 6 godzin. Wychowawczynie pozwoliła nam na samodzielny spacer, nie oddalając się zbyt daleko od dworca i byśmy na czas wrócili na dworzec. Było nas siedmiu lub ośmiu i pierwsze kroki zaprowadziły nas na targowisko przydworcowe zwane „chitruszką”. Tu pasażerowie pociągów nabywali różnorodne artykuły żywnościowe od stałych i przygodnych handlarzy. Szliśmy wzdłuż rozstawionych stołów, gdy w pewnym momencie ktoś mnie z tyłu objął za szyję i zaczął całować. To była siostra Irena. Zanim podbiegła do mnie upewniła się u chłopaków idących za mną, jak się nazywam.

Zwinęła swój towar, a były to ćwiartki smażonego kurczaka lub kury i udaliśmy się do wychowawczynie. Wychowawczynie pozwoliła mi udać się z siostrą do domu, ale siostra miała mnie przyprowadzić przed odjazdem pociągu.

Po drodze w kierunku aktualnego jej zamieszkania siostrzyczka opowiedziała mi, że po moim przetransportowaniu do innego domu dziecka – ona uciekła z domu dziecka w Rakowie i sama trafiła do Mołodeczna. Nie wiem tylko, który to był rok, zapewne z wrażenia nie wszystko do mnie dotarło. Po ucieczce nie miała po co wracać do rodzinnego domu, przysparzała ją pani Tananowa, właścicielka jednorodzinnej, parterowego domu.

Siostrzyczka opowiedziała mi też o losie najbliższych nam członków rodziny, wydanych na śmierć przez sąsiadów. Wojna nie oszczędziła też sąsiadów: cała ulica drewnianych domów poszła z dymem. O tym naocznie przekonałem się dopiero w roku 1964, gdy już z Polski przyjechałem z jednym dzieckiem w odwiedziny do siostry. Poinformowała mnie też, z którego faktycznie jestem rocznika. Ma się rozumieć, że poczęstowano mnie rosółem i porcją kurczaka. Przygotowano coś na drogę, tym już podzieliłem się z kolegami.

Po przybyciu do Golszan dyrektor z tatuażem na rękę – były oficer marynarki wojennej – przeprowadził ze mną rozmowę. W moich aktach figurowało: „otiec w armii”, ale nikt nigdy nie zapytał w jakiej armii, tym razem również. Po kilku dniach skierowany zostałem na komisję lekarską celem sprostowania rocznika. Żle zrobiłem, że nie powołałem się na wiadomość użytą od siostry. Byłem wewnętrznie przekonany, że lekarze wiedzą najlepiej. Gdy zapytano mnie o lata od-

powiedziałem: „nie wiem”. Kazano mi opuścić spodnie i orzeciono: druga połowa 1933 roku.

Później, już w Polsce, wujaszek opowiedział mi, że ja przyszedłem na świat wiosną, ale roku mego urodzenia nie mógł z niczym skojarzyć. Pogodziłem się z tym co mi przypisano, zaś żeby nikt mi nie wytykał, sam sobie dobrałem datę 15 października – połowa z połowy. Poszukiwałem metryki, lecz skutek działań wojennych nie zachowała się. Przypuszczam, że dokument o urodzeniu moim wypisał kapelan wojskowy, który też wyruszył z pułkiem na wojnę, a o nim również zaginął ślad w zawierusze wojennej.

W Golszanie siedzibą domu dziecka był klasztor przyległy do kościoła. Sypialnia chłopców przylegała do ścian zewnętrznych kościoła, słychać było chór i dźwięki organów. Do wnętrza kościoła nie zaglądałem, bo tego nam zabroniono, ksiądz też nigdy do nas nie zawiątał.

Słyszając o dziejach marynarki w okresie II wojny światowej i mając na względzie niepowodzenie z wstąpieniem do orkiestry, postanowiłem zwrócić się z prośbą o przyjęcie mnie do „Nachimowskoje Ucziliszczce” – kształcącej kadrę oficerów marynarki od najmłodszych lat. List napisałem do „wszechmogącego Stalina”. Odpowiedź nadeszła niebawem: „Piererostkow strogo wospreszczeno prinimać w Nacchimowskoje Ucziliszczce” – w podpisie I.W. Stalin. Zapewne podpis nie był oryginalny, tylko faksymilka i tego dokumentu nie zachowałem.

Wracając wspomnieniami do domu dziecka w miejscowości Golszany stwierdzam, że obecne władze Białorusi na żądanie Ambasady RP w Mińsku uchyliły się od podania tej miejscowości, podając że zostałem przeniesiony w „oszmiański dziecięcy dom” – nie jest to prawda – i pamięci o klasztorze nie da się wymazać.

W poświadczeniu władz białoruskich z marca 1999 roku jest też stwierdzenie, że jestem Białorusinem. Skoro niektórzy posiadają podwójne i potrójne obywatelstwo, to dziś wygodnie jest mi zachować podwójną narodowość, aczkolwiek ze strony ojca i matki jestem Polakiem, urodzonym też na ziemi polskiej.

W latach PRL, gdy podawałem miejsce urodzenia i nieraz – acz nie zawsze – w II RP, to i tak mi wpisywano: urodzony w ZSRR. Po otrzymaniu dowodu komentowałem ten stan rzeczy, wówczas pani wydająca mi dowód osobisty mówiła, że ona również pochodzi z Kresów Wschodnich i o to nie ma żalu. W latach osiemdziesiątych przekonałem się, że Niemcom urodzonym na „administracyjnych” po wojnie przez Polskę terenach nie pisano: urodzony w Polsce.

Moje polskie pochodzenie musiał też udowodnić wujek Tadeusz Siemianowicz zanim zbiorowym transportem repatriowanych dzieci polskich zostałem przekazany stronie polskiej będąc niepełnoletnim tj. przed ukończeniem osiemnastego roku życia biorąc pod uwagę rocznik 1933.

Siostra nie mogła ubiegać się o przyjazd do Polski na stałe, bo nim odnalazł nas wujek wyszła za mąż za podoficera armii radzieckiej i zamiast Ireny został Iriną, o czym świadczy napis nagrobkowy.

Informacja siostry, że ona „uciekła” z domu dziecka przydała mi się do naśladowania i to samo uczyniłem. Uciekając z Golszan, nocą przeszedłem osiemnaście

kilometrów pieszo drogą biegnącą przez las. Uciekając liczyłem na autostop, pech chciał, że nie przejechał tędy ani jeden samochód. W okolicy były wilki, ale ja ich się nie bałem będąc przekonany, że do obrony przed nimi wystarczy mi pudełko zapalek! Na szczęście nie doszło do spotkania z wilkami.

Po ucieczce z domu dziecka odwiedziłem siostrę, ale planów swoich na przyszłość nie ujawniłem. Gospodyni domu, Aleksandra Tanana (o tej nazwie w Kanadzie jest rzeka), za nic mnie nie chciała, chociaż proponowano jej zasitek. W tej sytuacji postanowiłem udać się i zobaczyć Moskwę. Nie dojechałem, bo na dworcu w Mińsku, ściślej – na peronie, zainteresował się mną milicjant. Byłem w garniturze wychowanka domu dziecka i bez opieki. W dniu zatrzymania odprawiono mnie do domu dziecka w Mińsku. Prawdę mówiąc zanim zdecydowałem się zobaczyć Moskwę – wcześniej pragnąłem ujrzeć Wilno, lecz jeszcze w pociągu wykryto mnie i odesłano z powrotem, mówiąc: „Tu jest granica Litwy i nie wolno jej przekraczać samowolnie”.

Jesienią 1949 roku, ściślej we wrześniu, zostałem legalnie skierowany do Leningradu, gdzie przebywałem do czerwca 1951 roku. To podczas mego pobytu w Leningradzie odnalazł się wujek T. Siemianowicz, któremu zawdzięczam przyjazd do Polski. Zanim do tego doszło urzędniczka Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR mnie i jeszcze jednego chłopca o imieniu Włodzimierz zawiozła pociągiem do domu dziecka w Pagodiczach, miejscowości koło Grodna. Tu oczekiwaliśmy na przyjazd innych dzieci polskich i tu wydano nam zaświadczenia potwierdzające rok urodzenia i pobyt w domu dziecka. Innych dokumentów o repatriacji na nasze ręce nie wydano. Otrzymałem je dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych; były w Biurze Dowodów Osobistych. Nigdy nie mogłem nimi się posłużyć i udokumentować, że jestem repatriantem, więc i na mieszkanie rodzinne oczekiwałem w kolejce, równo dziesięć lat.

Przypuszczam, że mój pamiętnik nie ucierpi przez to, że na chwilę wrócę raz jeszcze myślami do Budslawia, bo to może być z korzyścią i przestrogą dla innych, zwłaszcza wyrostków obu płci.

Pierwszego papierosa skosztowałem będąc poczęstowanym przez nałogowego palacza narodowości rosyjskiej mając zaledwie 12–13 lat. Gdy zauważył, że ja się nie zaciągam, zwrócił mi uwagę, że „psuję” tylko papierosy. Zaciekawito mnie jak się pali na poważnie, więc pokazał to praktycznie. Gdy i ja według jego wskazówek zaciągnąłem się zakręciło mi się w głowie i poczułem mdłości. Nie dokończyłem palić i sądziłem, że więcej papierosa do ust nie wezmę. Upłynęły dwie doby i skusiłem się na kolejnego. Gdy ich nie było zbierało się pety i robiło skręty. Później kombinowało jak się dało.

W Golszanach kilku nas w dzień targowy weszło do sklepu monopolowego i z papierosami. Tłok był znaczny, lada sklepowa składała się z dwóch części ustawionych względem siebie pod kątem prostym. Przyjezdni byli zainteresowani kupnem alkoholu, my papierosami. Sprzedawczyni była jedna. Dwóch chłopczków podniosło szklaną obudowę, pod którą były papierosy w paczkach po sto sztuk. Kilka paczek powędrowało

z rąk do rąk i na zewnątrz. W razie ewentualnego zauważenia, niekoniecznie przez sprzedawczynię, u działu nic by nie znaleziono.

Byliśmy „mądrzy” i pod innym względem: dwa razy tego samego nie wolno powtarzać. Umysł pracował dalej, zwłaszcza gdy nie było co palić. Jako ostatnia grupa, z którą i ja tu przybyłem, nie czuliśmy się w Golszanach zupełnie obcy, bo przed nami też tu oсыłano dzieci z Budslawia. Oni byli już zapoznani z rodzinami z miasta, a po wojnie nikomu się przecież nie przelewa, zwłaszcza tym, którzy mieli liczne gromadki dzieci, więc nie trzeba było kraść. Szło się z kurtką, spodniami lub paltem i się sprzedawało tanio. Dorosli to przerabiali. Rankiem następnego dnia „poszkodowany” zgłaszał kradzież, podejrzanych nie było, bo nie znaleziono ani kurtki, ani śladu po niej!

Przebywając w Leningradzie zdąłem sobie sprawę, że tak jak w Golszanach postępować nie wolno. Często bywaliśmy w kinie, teatrze, zawsze już widziało się pozytywnego bohatera, którego chciałoby się naśladować. O rzuceniu palenia nie było mowy. Przypomniałem sobie, że już w swoim życiu byłem „drwalem”. Wiele ulic i dzielnic w mieście, w okresie mego pobytu, nie miała jeszcze centralnego ogrzewania, na opał nie dostarczano również ani koksu, ani węgla – tylko drewno. Dobrałem sobie partnera i bez skrępowania odwiedzaliśmy mieszkania pytając czy reflektują na nasze usługi w zakresie piłowania i porąbania drzewa. Chętnych nie brakowało – gdy robotę zakończyliśmy u jednego lokatora, częściej lokatorki, zamawiali nas inni na następną niedzielę, bo w dni powszednie byliśmy zajęci nauką. Należałem do kółka muzycznego, fotograficznego i radiotechnicznego.

Często też odwiedzałem dwie siostry: Walę i Nadzię – córki pułkownika armii radzieckiej, przybywającego w owym czasie w Niemczech. Nawet nie pamiętam jak się z nimi zapoznałem, za kawalera też nie podawałem się. Wala uczęszczała do technikum „zielonowa strotelstwa”, zaś co się tyczy starszej Nadi – nie pamiętam. Ja jeszcze uczęszczałem do podstawówki i pod tym względem wiedziałem, że im nie dorównuję. Dla rdzennych i stałych mieszkańców Leningradu szkoła dziesięcioletnia była równoznaczna z ukończeniem szkoły średniej, ale mnie do tego jeszcze wiele brakowało i pełne średnie wykształcenie zdobyłem dopiero w latach sześćdziesiątych.

Leningrad, Pagodicz i Polska Ludowa

Moskwy nie zobaczyłem, ale takich problemów nie było z dostaniem się do Leningradu, zapewne dlatego, że to miasto, zaliczone m.in. do miast bohaterów, w tych latach było wyludnione. Różne źródła podają różne liczby umarłych wskutek blokady i głodu i tych, którzy śmiercią głodową umarli również należy zaliczyć do obrońców Leningradu, aczkolwiek byli to głównie: kobiety, dzieci i starcy. Historia ludzkości nie zna takiego drugiego przykładu poświęcenia się za swoje miasto, jak uczynili to rdzenni mieszkańcy Leningradu. W cztery lata po wojnie niejednokrotnie widziałem jak niektórzy ludzie, zwłaszcza w starszym wieku, podnosili kawałek lub skórkę chleba z chodnika i kładli na parapet okienny bądź występ w murze. A zanim położono, ucałowano i bądź tu mądry – czy byli to wierzący, czy nie.

W tym mieście szybko się zaadaptowałem, bo było tu co zwiedzać. Kapaliśmy się przeważnie w Zatoce Fińskiej, dokąd dostawało się tramwajem i częściowo pieszo. Po zatoce pływało się też statkiem, również w pobliże twierdzy marynarzy Krondsztaad. Zwiedzaliśmy muzeum Ermitaż, Pietropawłowskiju Krepość, okręt Aurorę, Dworzec Zimowy. To przed Dworcem odbywały się manifestacje pokojowe. Pamiętam jak zachęcano nas do udziału w manifestacji pierwszomajowej odwołując się do uczuć patriotycznych, do tego, że „na nas będzie patrzył cały świat i utwierdzi się, jak jesteśmy silni i zwarci”. W Polsce, gdy już byłem pracownikiem poważnego przedsiębiorstwa, przekonywało się krótko: „Kto nie wyjdzie na pochód – premię będzie miał z głowy”. A premia była kwartalna i miało się na utrzymaniu trójkę dzieci.

Do najpiękniejszych widoków zaliczałem ozdobione okręty zakotwiczone na Newie, fajerwerki i melodie orkiestry dętej.

W Leningradzie zostałem przyjęty do Komsomołu. W tej młodzieżowej organizacji nie było obłudy. Można było dopuszczać się krytyki i samokrytyki, bez intryg i złośliwości, bez urazy. Liczył się honor, uczciwość i prawda. Ale prawda, tej ciemnej strony, nie była nam znana, poznałem ją dopiero po obaleniu kultu jednostki. Ani w Związku Radzieckim, ani tuż po przybyciu do Polski nic nie słyszałem o AK, o pomordowanych jeńcach polskich. Nie wiedziałem i dziś nie wiem, czy wujek T. Siemianowicz – jako żołnierz AK – przebywał w radzieckiej niewoli, bo o tym mi nie mówił, widocznie bał się, a znał dobrze język rosyjski w piśmie i mowie. Do Leningradu przysyłał mi listy pisane w języku rosyjskim.

Po przyjeździe do domu dziecka Pagodicz podstępnie zabrano mi legitymację komsomolską mówiąc, iż „zatrzymują tylko celem zdjęcia z ewidencji” – miała być zwrócona, ale nie oddano.

Nocą z dziesiątego na jedenastego lipca 1951 roku, pociągiem specjalnym przekroczyliśmy granicę ZSRR. Byłem ciekaw świata, w tym też Polski, ale gdyby było mi dane odwiedzić Polskę chociażby w celach turystycznych – nigdy dla niej nie opuściłbym Leningradu.

Przejeżdżając przez Warszawę, Wrocław i inne miasta Polski – widziało się ruiny, zniszczenia i nikogo przy odbudowie.

W Leningradzie zaś m.in. i Niemców widziało się przy odbudowie niektórych obiektów, częściej przy rozbiórce i odgruzowywaniu. Jako wzięci do niewoli mieli odpracować „stalinskiju piatiletku” i wrócić do Niemiec. Sam sobie zadawałem pytanie: czemu Polacy nie wpadli na taki pomysł? – „Gdzie się podziały wojennopleniny?” Odpowiedź przyszła później: „Bo Polak mądry po szkodzie”. Nie wyłączam siebie też.

Duszniki Zdrój i Orneta, Białystok i Dom Młodzieżowy, Oficerska Szkoła Lotnicza – kursant pilotażu

Dwunastego lub trzynastego lipca 1951 roku przybyliśmy do Dusznik Zdroju i tu się oczekiwało do dnia, w którym zabierali nas do swoich domów ci, co tu nas sprowadzili. W międzyczasie oprowadzano nas po miasteczku. Zdaje się, że w tym czasie przygotowywano się do koncertu Chopina, ale nie jestem pewien, bo

koncertu nie słyszałem (muzykę słyszałem, gdy byli próby). Któregoś dnia powędrowałem w góry nie zamierzając się zbyt oddalać. Nie wiedziałem, że w pobliżu jest granica z Czechosłowacją. Ktoś spanikował i nasłano na mnie wopistów, ci pojмали mnie gdy wracałem na kwaterę, zabrano mi odzież i zmuszono dość wcześnie do spania.

Zanim upłynął tydzień przyjechał po mnie wujek i po załatwieniu formalności zabrał mnie na dworzec, w pociągu poczęstował kabanosami i ciemnym piwem. Smakowało mi to, bo czegoś takiego w swoim życiu jeszcze nie jadłem i nie piłem. W Olsztynie była przeziadka. W sumie jechaliśmy jedną noc i dzień, gdy dojechalśmy do Ornety zbliżał się wieczór. Szliśmy jeszcze około godziny przez miasto. Miasto nie przypadło mi do gustu. Na miejscu powitała nas żona wujka, dzieci nie mieli. Być może wujek chciał zachować w pamięci swego pierworodnego. Ja się rozplakałem i szczerze powiedziałem, że zostać tu nie mogę. Żał mi było Leningradu i rozłąki z dziećmi, ściślej – już z młodzieżą.

Tego samego wieczora, nie zostając nawet na kolację, udałem się na dworzec i szczęśliwie dojechałem do Dusznik Zdroju. Tu się zdziwiono, że chciałem wracać do Związku Radzieckiego. Schronienia mi nie odmówiono i gdy zbliżał się początek roku szkolnego pozwolono mi wyjechać do Białegostoku, tam bowiem został zabrany kolega z Leningradu. Miałem do jego matki adres. Miałem też adres Pani z Ministerstwa Spraw Zagranicznych Polski, która dając mi go powiedziała, iż będę mógł do niej przyjechać jeżeli nikt po mnie się nie zjawi. Ten adres zgubiłem.

W Białymstoku przeżyłem kolejną niespodziankę. Matka syna sprowadzonego ze Związku Radzieckiego do siebie go nie przyjęła, oddała go do Domu Młodzieżowego nr 2 w Białymstoku. Również i ja tam trafiłem. Na pytanie do jakiej szkoły chcę chodzić odpowiedziałem – do szkoły plastycznej, ale takiej w mieście i w tamtych czasach nie było. Wówczas zgodziłem się uczęszczać do Liceum Pedagogicznego. Egzamin zdawałem wyłącznie z matematyki, przerabiałem już równania z niewiadomą, ułamkami i pierwiastki.

Na ogół nauka mi szła dobrze, ale nie mogłem nadrobić wieloletnich zaległości dotyczących języka polskiego. Byłem też jedynym uczniem posiadającym widoczne tatuaże, tu mnie one krępowały. Z drugiej klasy liceum wstąpiłem do Oficerskiej Szkoły Lotniczej nr 4 w Dęblinie, zostałem podchorążym i kursantem pilotażu.

Pięć miesięcy później, to jest 27 lutego 1953 roku, zakwalifikowano mnie na kurs pilotów myśliwców i przeniesiono do Oficerskiej Szkoły Lotniczej nr 5. Ten rocznik miał już odbywać naukę pilotażu na radzieckich samolotach odrzutowych. Prawdopodobnie w Dęblinie w tamtych latach lotnisko jeszcze nie było przygotowane do przyjęcia i szkolenia kadr na samolotach nowej generacji. Siedzibą OSL nr 5 był Radom.

Szkolenie podstawowe w zakresie pilotażu odbywałem na polowym lotnisku w Podlądowie na samolotach polskiej konstrukcji „JUNAK 2”, przed nami szkolono tu na UT 2. Moim instruktorem był porucznik Żołnierczyk, inną grupę szkoliła tu por. Zofia Andrychowska, która w stopniu pułkownika przeszła na emeryturę, ale wcześniej dowodziła eskadrą śmigłowców.



Leon Stachowiak
w czasie nauki pilotażu
(1952–54).
Fot. arch.

Pierwszy start i lądowanie (pomijam 6 stron instrukcji latania, którą przytaczam we wspomnieniach z pamięci). Utrwaliłem ją sobie dobrze podczas 2-letniego kursu pilotażu. Przerobiłem wtedy również materiał z przeszło trzydziestu innych przedmiotów nauczania.

Na potwierdzenie mego pobytu w Oficerskiej Szkole Lotniczej nr 4 w Dęblinie, a od 27 lutego 1953 roku w OSL nr 5 w Radomiu posiadam ksero z książeczki wojskowej nr 596357. Książeczkę wojskową wydano mi dopiero

w roku 1959, stąd w rubryce zawód wpisano „radiotechnik”. Roczny kurs radiotechniczny ukończyłem będąc już w cywilu, to jest w okresie od dnia 3 lipca 1956 do 18 maja 1957 w ZDR w Warszawie. Wcześniej, bo od 28 czerwca do 12 lipca 1955 r. ukończyłem stacjonarny kurs dla pracowników Bezpieczeństwa i Higieny Pracy, zorganizowany przez Zarząd Szkolenia Zawodowego CRS Warszawa. Szkołę średnią zaliczyłem w latach 1961–1964 wraz ze zdaniem matury i otrzymaniem Świadectwa Dojrzałości Liceum Ogólnokształcącego. Studia podjąłem na Wydziale Budowy Maszyn i Okrętów Politechniki Szczecińskiej w Szczecinie, zaocznie. Nr indeksu 7632. Będąc obciążony pracą zawodową w nadmiarze, w ciągu roku kalendarzowego mogłem przerobić materiał jednego semestru. Na trzecim roku studiów już nie miałem za co po piątym semestrze pojechać na egzaminy. I na tym zakończyłem edukację na wyższej uczelni.

Co do kwalifikacji pracownika służby bhp pragnę nadmienić, że w okresie mojej młodości nie było szkół ani uczelni kształcących specjalistów w tym zakresie, ale ja w sumie ukończyłem nie mniej niż dziesięć różnorodnych kursów dotyczących podnoszenia kwalifikacji z równoczesnym zdaniem egzaminów i weryfikacją pracowników służby bhp.

Teraz chwila refleksji: czy będąc nastolatkiem mógłbym mieć do kogokolwiek pretensję, gdybym nie został przyjęty do szkoły lotniczej? – osobiście mówię: nie.

Redakcja miesięcznika „Semper Fidelis” we Wrocławiu

W numerze 4/07 „Semper Fidelis” ukazał się artykuł prof. B. Bolanowskiego, jako odpowiedź na apel Światowego Kongresu Ukraińców dotyczący akcji „Wisła”. Dla historycznej ścisłości pozwolę sobie wtrącić kilka słów sprostowania (dotyczą one też następnego w tym numerze artykułu p. A. Rząsy).

„Operacja Wisła” nie była tragedią narodu ukraińskiego, ale była wielką krzywdą wyrządzoną Łemkom – spokojnej ludności ruskiej, zamieszkującej te strony od wieków. Oni nie identyfikowali się z Ukrainą, nie dążyli

Ale usunięty zostałem po tym, gdy wywiad wojskowy ustalił, że jestem spokrewniony z wujkiem akowcem. To się zgadza, jest więc prawdą, ale o to nie miano pretensji, gdy komendantem szkoły był pułkownik armii radzieckiej – Bystrow. Dowódca batalionu (pierwszy rok nauki w szkole w Dęblinie) wiedząc, że jestem synem oficera WP biorącego udział w kampanii wrześniowej, wyróżniał mnie uścikiem dłoni w obecności setki pilotów – podchorążych. To było w roku 1953, zaś w 1954 oficerem po szkole liniowej lub oficerem politycznych stawiał mnie na baczność i wypominał przynależność wujaszka do AK. Szczerze mówiąc, jako świeżo przybyły z ZSRR nie wiedziałem, co znaczą te dwie litery „AK”, więc milczałem stojąc na baczność i wysłuchując bluźnierczej mowy pod adresem AK. W myślach zadawałem sobie pytanie: czy ja będąc



Leon Stachowiak z żoną śp. Krystyną z wizytą
u syna w Niemczech (połowa lat osiemdziesiątych).
Fot. arch.

dzieckiem mogę być odpowiedzialnym za czyny ojca i wujaszka? – nawet gdyby byli „zdrajcami”? Takiego prześladowania nie było nawet w ZSRR, w sytuacjach, gdy po wojnie wychodziło na jaw, że brat walczył przeciwko bratu lub ojcu, a także ojciec przeciwko synowi, pomijając fakt, kto był po przeciwnej i po jakiej stronie.

Gdybym wówczas był „mądrzejszy” zapytałbym tegoż młodego oficera w stopniu porucznika: „Gdzie się pan ukrywał w czasie wojny i dlaczego pan nie brał udziału w walkach przeciwko okupantowi?” – dziś to już przeszłość, ale przeze mnie niezapomniana. □

do własnej państwowości. Po II wojnie światowej rzeczywiście stanowili oparcie dla walczących w tych stronach partyzantów UPA (zakwaterowanie i wyżywienie), ale robili to pod przymusem i groźbą śmierci (podobnie jak zamieszkali w tych stronach Polacy). Mogło się zdarzyć, że porwani nacjonalistycznymi hasłami młodzi chłopcy zasilili szeregi walczących, ale nie było to zjawisko masowe.

„Akcja Wisła” nie miała być dla Ukraińców karą za zbrodnie dokonane na polskiej ludności, ale była typową czystką etniczną, konieczną dla skutecznego prowadzenia działań zbrojnych przeciwko partyzantom,

dla pozbawienia ich życiowego zaplecza. Można by się zastanawiać czy konieczny był aż tak szeroki zakres tej operacji i czy zawsze przebiegała ona w sposób humanitarny. Nie da się zaprzeczyć, że wysiedleni na Zachód poznawali tam nowoczesne, łatwiejsze sposoby gospodarowania i życia. Można nawet traktować tę akcję jako akt łaski ze strony polskiego rządu, bo przecież mógł ich wszystkich skierować do ZSRR. Ale dla Łemkowskich górali przesiedlenie było wielką krzywdą. Nagle zostali pozbawieni swego dorobku, swej ziemi, a nade wszystko swojej małej ojczyzny – gór. Nastąpiło rozerwanie więzi społecznych. Akcja „Wisła” była zagładą kultury łemkowskiej. Ślady tej kultury odnajdujemy tylko w skansenach i w występach zespołów folklorystycznych.

Po tylu latach wysiedlenia wielu Łemków znajduje jedyne oparcie dla swej odrębności kulturowej i językowej w narodzie ukraińskim, nic więc dziwnego, że rząd Ukrainy zajmuje się ich historią i ich losem. Ale faktem jest też, że wielu z nich wraca w dawne strony, nie wyobrażając sobie życia gdzie indziej.

Ocena akcji „Wisła” wiąże się ściśle z rolą, jaką w historii odgrywała Ukraińska Powstańcza Armia. My Polacy obarczamy całą tę organizację odpowiedzialnością za okrutne zbrodnie dokonane na ludności polskiej. W rzeczywistości były one dziełem tzw. banderowców – oddziałów stanowiących część partyzantki

UPA, działających głównie na Wołyniu w roku 1943. Pierwotnie założonym i jedynym celem UPA była walka o wolną Ukrainę. Częścią tego zadania w zamyśle Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów było wysiedlenie wszystkich Polaków z Wołynia. Dopiero później bezpośredni wykonawcy nadali temu tę zbrodniczą formę. Partyzantka ukraińska na ogół nie walczyła z Niemcami, bo byli oni jej naturalnym sprzymierzeńcem w walce z Polakami i z Armią Czerwoną. Po zakończeniu II wojny światowej partyzanci UPA prowadzili dalej beznadziejną walkę z Sowietami o wolność. Częścią tego były walki w Bieszczadach (dowództwo polskiego wojska i milicji było przecież pod rozkazami mocodawców z Kremla).

Temu trudnemu do oceny okresowi naszej wspólnej historii poświęcona jest książka Grzegorza Motyki pt. „Ukraińska partyzantka 1942–1960. Działalność OUN i UPA” (wyd. Rytm 2005), a recenzja pióra R. Wnuka ukazała się w dodatku „Historia” w Tyg. Powszechnym z dn. 14.10.07.

Ukraińcy nigdy nie wyrzekną się i nie potępia UPA, gdyż jest to jedyna organizacja, która walczyła o wolność ich narodu. Jeżeli my Polacy tego nie rozumiemy, to niemożliwe będzie jakiejkolwiek porozumienie i jakakolwiek współpraca obu narodów.

Antoni Osieński
Gdańsk

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Odszedł na wieczną wartę...

mgr inż. Stanisław Podusowski

PS „Wiktor”, kapitan rez. WP, żołnierz AK,
Harcistrz RP, Komendant Kręgu Kompanii
Harcerskiej II Obrony Lwowa



Urodzony 22 marca 1920 r. na Kresach w Lubczy (woj. stanisławowskie). W roku 1932 wstępuje do Związku Harcerstwa Polskiego. Najwyższy stopień Harcerza Rzeczypospolitej uzyskuje w 1939 r. W tym roku składa egzamin dojrzałości w VII Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki we Lwowie.

Udział w wojnie rozpoczyna we wrześniu 1939 r. w szeregach Ochotniczej Kompanii Harcerskiej w obronie Lwowa. W okresie okupacji pracuje jako kolejarz w Rawie Ruskiej,

pełniąc równocześnie w konspiracji funkcję dowódcy plutonu w grupie AK „Zbigniewa”. W roku 1943 po ukończeniu Szkoły Podchorążych awansowany do stopnia podporucznika. W roku 1944 po wkroczeniu Armii Czerwonej organizuje Krąg Starszoharcerski w Jarosławiu. W latach 1946–1950 studiuje na Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Rolniczo-Leśnym. Po uzyskaniu dyplomu podejmuje pracę na stanowisku

st. asystenta w Instytucie Hodowli Zwierząt UJ. Od 1955 r. pełni funkcję głównego specjalisty w Okręgowej Stacji Hodowli Zwierząt w Krakowie do przejścia na emeryturę w 1985 r.

Czynny w służbie harcerskiej w stopniu instruktorskim Harcmistrza pełni wiele odpowiedzialnych funkcji (m.in. lustratora hufców, instruktora Komendy Chorągwi, Członka Rady Harcerskiego Kręgu Seniorów Kombatantów, Chorągwie Komisji Dyscyplinarnej, Zarządu „Sokoła Macierzy”...).

Od 1993 r. pełnił funkcję Komendanta Kręgu Ochotniczej Kompanii Harcerskiej Obrony Lwowa do (samorozwiązania) 2006 r.

W wysokiej ocenie działalności: harcerskiej, kombatanckiej, w organizacjach społecznych odznaczany Krzyżami: Oficerskim i Kawalerskim Odrodzenia Polski, Partyzanckim, AK, Kampanii Wrześniowej, Obrońców Lwowa, „Niezlomnych”, Za Zasługi dla ZHP, Odznaką i Mieczami, Złotym za Zasługi dla ZHP, Odznaką „Weterana Walk o Niepodległość” i szeregiem innych.

„Sic transit gloria mundi...” 23 stycznia odszedł na „wieczną wartę”... Rodzina, Przyjaciele, Koledzy, liczne delegacje harcerskie, wojskowe, organizacji społecznych i zawodowych towarzyszyli w uroczystościach na nekropolii Rakowickiej w Krakowie w ostatniej drodze Zasłużonego Syna Ziemi Kresowej i Krakowskiej.

W głębokim smutku żegnamy Ciebie Drogi Druhu Stanisławie – harcerskim Czuwaj! Dziękujemy, że „Od lat najmłodszych do późnej siwizny” wierny byłeś najwspanialszej naszej idei skautowej – Baden Powell.

Dziękujemy, że wspólnie z Tobą mogliśmy wypełnić przyrzeczenie harcerskie wobec bliźnich i Ojczyzny w obronie kochanego miasta Lwowa.

Dziękujemy za trud organizowania przez lat czterdzieści pełnych uroku nostalgicznych (tak wiele znaczących dla naszego pokolenia seniorów) spotkań kombatanckich w bliskim nam „harcerskim duchu kresowym”.

Bożena Kończal

Ratujemy kościół w Powiewiörce

(Przedruk z: „Polska Gazeta Wrocławska” z 11 stycznia 2008 r.)

Dla ratowania kościoła w litewskiej Powiewiörce liczy się dosłownie każda złotówka – i z każdej się rozliczymy. Na specjalnie na ten cel uruchomione konto akcji wpłynęło już 20 tysięcy złotych.

Przypomnijmy: od kilku tygodni staramy się zainteresować naszych Czytelników potrzebą remontu kościoła w Powiewiörce. W tamtejszej świątyni 15 grudnia 1867 r. ochrzczony został przyszły marszałek Polski Józef Piłsudski.

Na sprawę niszczonego kościoła zwrócił uwagę mediów książę kardynał Henryk Gulbinowicz. Kardynał ostatni raz odwiedził tamtejszy kościół przed rokiem; wtedy okazało się, że drewniana, XVIII-wieczna świątynia wymaga natychmiastowego remontu.

Dzieje Powiewiörki przybliżyła Dolnoślązkom Grażyna Orłowska-Sondej z TVP Wrocław. Po jej reportażach losami świątyni zainteresowały się władze Świdnicy.

Wojciech Murdzek, prezydent miasta, mówi, że jest pod wrażeniem, jak bardzo rodacy żyjący na Wschodzie identyfikują się z macierzą. – Właśnie tak okre-

Niech Ziemia Krakowska godnie przyjmie zasłużonego dla niej i dla nas Syna Ziemi Kresowej.

Remigiusz Węgrzynowicz
i Harcerze (byłego) Kręgu Ochołniczej
Kompanii Harcerskiej Obrony Lwowa 1939

ślają tam Polskę. Wiem jak bardzo zależy im, aby wszelkie ślady wiary i polskości na ich terenie zostały ocalone, zachowane i przekazane następnym pokoleniom – mówi Wojciech Murdzek. – Największym problemem przy ratowaniu miejsc pamięci są finanse, a tymi nasi rodacy nie dysponują. Dlatego nie możemy zostawić ich samych i chcemy pomóc. Kościół w Powiewiörce jest w złym stanie, ale w nie lepszym są inne pamiątki po Józefie Piłsudskim, np. miejsce w Żuławie, w którym urodził się późniejszy marszałek Polski. Aż dziw, że kolejne polskie rządy nie doprowadziły do przywrócenia świetności tym miejscom – dodaje prezydent Świdnicy.

● Kto chciałby wspomóc naszą akcję, do której organizacji włączyła się Wrocławska Izba Gospodarcza, może wpłacić pieniądze na konto: Bank Millennium SA, ul. Piłsudskiego 49/57, 50-032 Wrocław, nr rachunku 56 1160 2202 0000 0001 0146 0923.

Na wpłacie prosimy o dopisek: „Ratujemy kościół w Powiewiörce”.

Kresoviana 2008 – w Gorzowie Wlkp.

Kresy...

To polska kultura te Kresy stworzyła –
Ziemie pojednania, narodów zbliżenia
Co kolebką swoistej tradycji była
Wielkiego patriotyzmu i zaprzyjaźnienia
(...)

Kresy – rycerska cześć i chwała narodu
Były serc pocieszeniem i dumą, i sławą
Umilowaniem ziemi od dziecka za młodo
Ukochaniem przodków i praojców wiarą

Irena Cisek-Piątkowska

Organizatorzy festiwalu „Kresoviana 2008” po raz szesnasty zapraszają dzieci, młodzież i dorosłych do udziału w Regionalnym Spotkaniu Wykonawców Piosenki Kresowej.

Celem imprezy jest prezentacja piosenek związanych z Kresami Wschodnimi Rzeczypospolitej. Mimo upływu wielu lat od utraty Kresów, popularność piosenek lwowskich czy wileńskich nie maleje.

Ekspatriowani z Kresów po II wojnie światowej Polacy przywieźli do nowych swoich siedzib piękną muzykę i piosenki, które dowodzą przywiązania do rodzinnych stron. Budzą nostalgię, sentyment, są częścią kultury narodowej, potwierdzają historyczny związek utraconych ziem z Macierzą. Twórcami wielu z tych piosenek byli znani w Polsce autorzy, m.in.: Emanuel Schlechter, Henryk Wars, Marian Hemar, Wiktor Budzyński, Zbigniew Lipczyński, Józef Bielawski, Juliusz Gabi, Józef Polit, Anna Fischerówna. Po II wojnie światowej piosenki o kolorystyce kresowym tworzyli na emigracji: Feliks Konarski, Marian Hemar, Wiktor Budzyński, Kazimierz Abratowski, Czesław Halski, Alfred Schütz, Tadeusz Seredyński i inni.

Do najbardziej lubianych wykonawców tamtych lat należy zaliczyć: Zofię Terne, Władę Majewską, Renatę Bogdańską, Mirę Grelichowską, Szczepka i Tońka (ze słynnych programów radiowych „Na Wesołej Lwowskiej Fali” i filmu), a także Stefanię Zielińską i Lubę Miszkiewiczównę.

W kraju, po wojnie, ze względów politycznych pieśni kresowe, lwowskie, nie były publicznie wykonywane. Jedynie w czasie imprez rodzinnych i koleżeńskich w środowiskach Kresowian śpiewano znane piosenki: *Tylko we Lwowie*, *Lwów jest jeden na świecie* czy *Marsz Lwowskich Dzieci* – pieśń, która opiewała bohaterską walkę Polaków w 1918 r. o zachowanie polskości Lwowa.

Od schyłku lat osiemdziesiątych poprzedniego wieku, w zmieniających się realiach politycznych nastąpił wzrost zainteresowania Polaków utraconymi Kresami Wschodnimi, w tym także muzyką i piosenką. Do grona pierwszych wykonawców piosenki kresowej w tym okresie zaliczyć należy: Zbigniewa Kurtyczę, Barbarę Dunin, Jerzego Michotkę, wrocławski „Kalambur”, piękny program Wojciecha hr. Dzieduszyckiego „Dymek z papierosa”, bytomską „Pacalychę” z Danutą Skalską oraz liczne kapele, chóry, zespoły wokalo-instrumentalne z Przemyśla, Wrocławia, Brzegu, Rzeszowa, Węglińca i inne.

W ostatnim szesnastolecu do grona wybitnych twórców piosenki kresowej zaliczyć należy m.in.: Jerzego Masiora, Jerzego Michotkę, Kazimierza Wesołowskiego, Aleksandra Porzuczkę i innych.

Gorzowskie Regionalne „Kresoviana” nawiązują do ogólnopolskich festiwali piosenki kresowej w Mrągowie, Lesznie, Nowym Sączu, Brzegu, Węglińcu, a także do innych, organizowanych przez oddziały TMLiKPW. Mamy nadzieję, że „Kresoviana” umożliwią muzykom i kierownikom zespołów wymianę doświadczeń i pomysłów w zakresie pracy artystycznej z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi.

I. Organizator: Gorzowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich przy finansowym i organizacyjnym wsparciu Wydziału Kultury Urzędu Miasta Gorzowa Wlkp., Miejskiego Centrum Kultury i Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” Oddział Lubuski w Gorzowie Wlkp. oraz Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Gorzowie Wlkp.

II. Fundatorzy nagród:

- Sejmik Województwa Lubuskiego
- Wojewoda Lubuski
- Marszałek Województwa Lubuskiego
- Prezydent Gorzowa Wielkopolskiego
- Rada Miasta Gorzowa Wielkopolskiego
- Regionalne Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze
- Wydział Kultury Urzędu Miasta Gorzowa Wielkopolskiego
- Kuratorium Oświaty w Gorzowie Wielkopolskim
- Wojewódzki Ośrodek Metodyczny w Gorzowie Wielkopolskim
- Gorzowski Oddział TMLiKPW
- Zielonogórski Oddział TMLiKPW
- Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej
- Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” – Oddział Lubuski w Gorzowie Wielkopolskim
- Towarzystwo Miłośników Polesia – Zarząd Główny w Gorzowie Wielkopolskim
- Związek Sybiraków – Oddział i Koło Miejskie w Gorzowie Wlkp.
- przedsiębiorstwa i osoby prywatne.

III. Uczestnicy: soliści oraz zespoły wokalo-instrumentalne i chóry w grupach wiekowych:

- uczniowie szkół podstawowych i gimnazjów
- uczniowie szkół ponadgimnazjalnych
- dorośli

IV. Planowany termin i miejsce imprezy:
10–11 maja 2008

Miejskie Centrum Kultury
Gorzów Wielkopolski, ul. Drzymały 26

V. Zasady regulaminowe

1. Wykonawca przedstawia dwa utwory o tematyce wyłącznie kresowej, o łącznym czasie trwania do 7 minut.

2. Kartę zgłoszenia udziału w festiwalu „Kresoviana 2008” wykonawcy przesyłają do 18 kwietnia 2008 r. na adres Biura Organizacyjnego.

Zgłoszenie winno zawierać: tytuły utworów, imię i nazwisko autora tekstu oraz kompozytora.

3. Piosenki winny być dostosowane do wieku i możliwości wykonawców oraz prezentowane w języku polskim.

4. Instruktorzy zespołów zobowiązani są do bezwzględного przestrzegania regulaminu i prezentowania w miarę wysokiego poziomu artystycznego.

5. Organizatorzy zapewniają aparaturę nagłaśniającą oraz fortepian.

VI. Zgłoszenia kierować na adres:

Miejskie Centrum Kultury
ul. Drzymały 26

66-400 Gorzów Wielkopolski

tel. (095) 720-29-11 (od poniedziałku do piątku w godz. 8.00–16.00) z dopiskiem: „Kresoviana 2008”.

VII. Ocena i nagrody

Jury powołane przez organizatora oceniać będzie:

- a) wykonanie piosenki (umiejętności wokalne)
- b) dobór repertuaru (walory muzyczne i stopień trudności)
- c) ogólny wyraz artystyczny

VIII. Przepisy ogólne

1. Sprawy nieuregulowane w regulaminie rozstrzyga Komitet Organizacyjny „Spotkań”.

2. Zainteresowanych repertuarem prosimy o kontakt z Biurem Organizacyjnym festiwalu „Kresoviana”.

Uwaga! Ciekawy repertuar piosenek kresowych zawierają zbiory:

– Jerzy Habela, Zofia Kurzowa, *Lwowskie piosenki uliczne, kabaretowe i okolicznościowe do 1939 roku*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1989.

– *Antologia Piosenki Lwowskiej ulicy*, ułożona przez Janusza Wasylkowskiego, 1987.

– *Nie ma jak Lwów. Śpiewnik lwowski do 1939 roku*, wybór i opracowanie Janusz Wasylkowski „Fuga”, Warszawa 1990.

– *Nowe piosenki lwowskie*, zebrał i wstępem zaopatrzył Jerzy Masior („Semper Fidelis”, numer specjalny 6a (65) 2001.

– *Piosenki lwowskie i kresowe*, zebrał Emil Hlib (rozprawca Vider, Radwanice, ul. Broniewskiego 4, 55-010 Święta Katarzyna). □

Regulamin Prezentacji Kultury Polaków z Kresów Wschodnich i Bukowiny

Honorowy Patronat:

Marszałek Senatu RP,
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego,
Minister Edukacji Narodowej,
Prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”,
Biskup Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej,
Marszałek Województwa Lubuskiego,
Prezydent Miasta Zielona Góra.

Postanowienia organizacyjne

Prezentacje muzyczne odbędą się w dniach od 16 do 19 października 2008 r. w Zielonej Górze.

Prezentacje organizuje powołany w tym celu Komitet Organizacyjny.

Kierownictwo prezentacji tworzą Dyrektor Festiwalu Gerard Nowak i zastępcy dyrektora Wilhelm Skibiński, Jan Tarnowski, Robert Rusiak, Przemysław Gapiński i powołane przez nie Biuro działające w siedzibie Regionalnego Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze – ul. H. Sienkiewicza 11. rcak@man.zgora.pl (www.zgora.pl/rcak).

I. Warunki zgłoszenia

Prezentacje Kultury Polaków z Kresów Wschodnich i Bukowiny mają formułę konkursu.

1. Impreza przeznaczona jest wyłącznie dla amatorów muzyków, plastyków i literatów (dopuszcza się udział dzieci szkół muzycznych stopnia podstawowego).

2. Dolna granica wieku uczestnika wynosi 8 lat.

3. W Prezentacjach sztuki muzycznej mogą wziąć udział:

- a. soliści, duety, instrumentalni, kompozytorzy,
- b. zespoły wokalne (do 8 osób) i wokalo-instrumentalne (do 16 osób),
- c. chóry (do 40 osób) działające w szkołach, domach kultury, parafiach, stowarzyszeniach, organizacjach polonijnych, a także osoby niezrzeszone.

4. W warsztatach sztuki plastycznej mogą wziąć udział:

- a. artyści zawodowi i amatorzy,
- b. pracownie plastyczne,
- c. plastycy działający w stowarzyszeniach, organizacjach polonijnych, a także osoby niezrzeszone.

5. W warsztatach literackich mogą wziąć udział:

- a. autorzy działający w stowarzyszeniach, organizacjach polonijnych, a także osoby niezrzeszone.

6. Zgłoszeniem do Prezentacji jest wypełniona karta uczestnictwa przesłana do dnia **30 maja 2008 r.** pocztą, faxem lub e-mailem na adres Regionalnego Centrum Animacji Kultury w Zielonej Górze, która powinna zawierać:

- a) w konkursie sztuki muzycznej
 - informacje o składzie zespołu: nazwa i rodzaj (np. chór, zespół wokalo-instrumentalny); solista podaje imię, nazwisko oraz wiek,
 - kategoria wiekowa (dzieci – 8–14 lat; młodzież – 15–18 lat; dorośli – od 18 lat) i ilość występujących osób,
 - repertuar (imię i nazwisko kompozytora (jeśli jest znany) i tytuł utworu)

- imię i nazwisko instruktora,
- do celów korespondencyjnych: dokładny adres zespołu, fax, telefony, poczta internetowa,
- precyzyjne określenie potrzeb natury technicznej.
- b) Prezentacji sztuki plastycznej
 - informacje o artyście: podaje imię, nazwisko oraz wiek i dorobek artystyczny
 - kategoria wiekowa (dzieci – 8–14 lat; młodzież – 15–18 lat; dorośli – od 18 lat) i ilość występujących osób,

- tytuły dwóch prac w dowolnej technice (rozmiar do 1m x 1m) imię i nazwisko instruktora – organizator nie odpowiada za uszkodzenia podczas transportu),
- do celów korespondencyjnych: dokładny adres, fax, telefony, poczta internetowa,

- precyzyjne określenie potrzeb natury technicznej.
- c) Prezentacji literatury polskiej
 - informacje o autorze: podaje imię, nazwisko oraz wiek i dorobek,

- kategoria wiekowa (młodzież – 15–18 lat; dorośli – od 18 lat),
- tytuły utworów w dowolnej formie i gatunku do 3 stron formatu A-4,
- do celów korespondencyjnych: dokładny adres, fax, telefony, poczta internetowa.

7. Stwierdzenie: „oświadczam, że treść regulaminu Pierwszej Edycji **Prezentacji Kultury Polaków z Kresów Wschodnich i Bukowiny** jest mi znana”.

8. Decyzja o dopuszczeniu do udziału w finale Prezentacji zostanie podjęta przez Komisję Weryfikacyjną do dnia 30 czerwca 2008 r., a następnie przekazana na piśmie Wykonawcy.

9. Organizatorzy zapewniają uczestnikom Prezentacji obsługę akustyczną oraz instrumenty klawiszowe (fortepian, pianino, keyboard).

10. Organizatorzy nie pokrywają kosztów podróży i pobytu uczestnikom Prezentacji.

11. Organizatorzy zapewniają noclegi w szkołach lub internatach (należy mieć własny śpiwór i karimatę) i posiłki dla Wykonawców z miejscowości oddalonych ponad 250 km od Zielonej Góry.

Warunki uczestnictwa

1. Uczestnicy Prezentacji zobowiązani są do zaprezentowania trzech dowolnie wybranych utworów muzycznych (soliści i duety dwóch) w tym obowiązkowo jednej tradycyjnej polskiej z Kresów Wschodnich, a ilość wykonywanych zwrotek należy ograniczyć do trzech.

2. Dopuszcza się możliwość użycia podkładu muzycznego.

3. Czas prezentacji nie może przekroczyć 10 minut w przypadku solistów i duetów oraz 15 minut w przypadku zespołów i chórów.

4. Utwory podane na karcie zgłoszenia są programem obowiązującym i nie podlegają zmianom.

5. Niezastosowanie się do któregoś z punktów regulaminu powoduje wykluczenie z konkursu.

III. Przebieg festiwalu

Kandydaci występują w porządku ustalonym przez Biuro Prezentacji.

IV. Regulamin jury

1. W skład jury nie wchodzi osoba związana w jakikolwiek sposób z uczestnikami prezentującymi się w Prezentacjach.

2. Jury ocenia prezentacje w skali od 1 do 10 punktów za każdy utwór.

3. Oceny członków jury są tajne.

4. Werdykty wydane na podstawie recenzji Rady Artystycznej są ostateczne.

5. Jury nie może dopuścić do Koncertu Laureatów Prezentacji więcej uczestników niż wynika to z ilości miejsc określonych przez Biuro Prezentacji.

6. Ilość miejsc w Koncercie Laureatów będzie ogłoszona przed rozpoczęciem przesłuchań konkursowych.

V. Nagrody i wyróżnienia

1. Powołane przez Organizatorów jury może przyznać:

- Grand Prix,
 - pięć nagród głównych (I, II, III, IV, V miejsce) w poszczególnych kategoriach,
 - nagrodę specjalną,
 - wyróżnienia w poszczególnych kategoriach.
2. Rada Artystyczna może w oparciu o ostateczną punktację zmienić układ nagród i wyróżnień.
3. Niezależnie od ww. nagród mogą być ufundowane dodatkowe nagrody specjalne.
4. Nagrody i wyróżnienia zostaną wręczone laureatom podczas uroczystego Koncertu Laureatów.
5. W razie nieobecności Laureata nagroda zostanie przesłana pocztą na koszt odbiorcy.
6. Wszyscy uczestnicy eliminacji i przsluchań finałowych otrzymują dyplomy.
7. Biuro Prezentacji zastrzega sobie prawo do dysponowania materiałem nagrany podczas Prezentacji. □

Jan Cichewicz

Apel

Troska o polskie zabytki

W czasie II wojny światowej naród polski doznał wielu cierpień i poniósł duże straty w ludziach. Podczas wojny i okupacji w znacznym stopniu ucierpiała także kultura polska. Zniszczono wiele obiektów sakralnych, pomników, muzeów, dzieł malarskich, bibliotek i innych dóbr kultury polskiej.

Na Kresach Wschodnich pozostawiliśmy także wielkie skarby kultury polskiej, które w znacznym stopniu również zostały zniszczone. Dzisiaj nie sposób już uzupełnić powstałych strat, ale można i trzeba wszelkimi siłami ratować to, co pozostało z kultury polskiej. W naszym kraju otacza się wielką troską pomniki kultury, ale czy zawsze była ona wystarczająca?

Jeżeli chodzi o zabytki kultury polskiej na Kresach Wschodnich, to troska o nie jest jeszcze niewystarczająca. Władze sowieckie nic nie zrobiły w zakresie ratowania polskich zabytków, a przyczyniły się jeszcze do ich niszczenia. Nawet już po zakończeniu II wojny światowej celowo zniszczono wiele zabytków kultury sakralnej i innych.

Obecni mieszkańcy Kresów Wschodnich nie są negatywnie nastawieni do pamiątek kultury polskiej, ale nie mają sił i środków na ich ratowanie. Dlatego my musimy wykazać większą troskę i opiekę nad nimi.

W naszym kraju powstało wiele stowarzyszeń, które zajmują się ratowaniem pamiątek kultury polskiej na Kresach Wschodnich. Dzięki nim i mieszkańcom przesiedlonym z tamtych terenów udało się uratować od całkowitego zniszczenia już wiele polskich zabytków. Troska o nie musi jednak trwać nadal i być nadal intensywna.

Istniejące od kilku lat Stowarzyszenie Odnowienia Kościoła w Łopatynie z siedzibą w Wójcicach 137b, 48–385 Otmuchów, zajmuje się odbudową zabytkowego kościoła w Łopatynie, woj. łwowskie, a także innymi zabytkami polskimi w tym miasteczku.

Obecnie od dwóch lat przeprowadzamy konserwację zabytkowych malowideł wewnątrz kościoła łopatynskiego. Z tym zadaniem są związane ogromne wydatki, którym samo Stowarzyszenie nie jest w stanie poddać.

Dlatego też z tego miejsca zwracamy się do wszystkich ludzi dobrej woli, którym nieobojętny jest los tych pomników naszej polskiej kultury, o pomoc finansową.

Obecnie nadarza się możliwość wsparcia finansowego naszego Stowarzyszenia poprzez przekazanie na nasze konto jednego procentu podatku dochodowego. Jesteśmy organizacją pożytku publicznego. 1% podatku na naszą rzecz mogą przekazać:

- płatnicy podatku dochodowego od osób fizycznych,
- płatnicy ryczałtu od przychodów ewidencjonowanych,
- podatnicy prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą korzystający z liniowej 19%-owej stawki podatku.

W tym celu należy wypełnić odpowiednią rubrykę w rocznym zeznaniu podatkowym (PIT-36, PIT-37, PIT-28), w której wpisujemy tylko nazwę „Stowarzyszenie Odnowienia Kościoła w Łopatynie” oraz numer wpisu naszej organizacji do Krajowego Rejestru Sądowego, czyli KRS 0000 25 56 18. Następnie to już Urząd Skarbowy sam prześle na nasze konto 1% należnego podatku.

Można również wpłacać dobrowolne datki na rzecz kościoła w Łopatynie na nasze konto w Banku Spółdzielczym w Otmuchowie:

B.S. Otmuchów

nr konta: 54 8872 1026 0031 5090 2000 0010

Wszystkim ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania, a pamięć o nich zawarta będzie w murach polskich pamiątek na Kresach Wschodnich. □

Wymarsz 19. Pułku Piechoty na wojnę we wrześniu 1939 roku

Pamiętam dzień ten, dzień słoneczny
Nie jak przed laty, dzień ponury
Znów z Cytadeli idą góry
Żołnierze idą... na sen wieczny

W słońcu się plawił tamten wrzesień
Szli z Cytadeli na bój krwawy
Ulicą marsza grzmot się niesie
Los każe bronić im Warszawy

Karnymi szranki bataliony
Ruszają w drogę bez powrotu
Każdy karabin okwiecony
A serca biją im z ochotą

Idzie na wojnę dziewiętnastka
Żegnana naszych serc modlitwą
Dudni ich krok ulicą miasta
A werbel walczy jak przed bitwą

Szły z góry, milknie wrzawa
Z oddali słychać marsz kapeli
Cichną okrzyki, milkną brawa
Do Lwowa wrócić już nie mieli...

Słowa: Zdzisław Kuhl, muzyka: Przemysław Ślusarczyk (<http://www.pz-slusarczyk.art.pl>)

Tempo di marcia, non funebre.

Apel

Poszukujemy dokumentów

Powołane do życia pod koniec lat 90. Archiwum Czynu Niepodległościowego powiększa w zasobie Archiwum Akt Nowych w Warszawie największy istniejący zbiór oryginalnych dokumentów Polskiego Państwa Podziemnego i wchodzącej w jego skład Armii Krajowej. Samych oryginalnych dokumentów z okresu II wojny światowej wytworzonych bezpośrednio w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego udało się zgromadzić w sumie ponad 220 000 stron.

Nadal jednak poszukujemy szeregu cennych zbiorów archiwalnych, w tym między innymi materiałów dotyczące Obszaru Lwowskiego oraz innych okęgów kresowych. Są to:

- zbiory Jerzego Dytkowskiego z Wrocławia (dokumentacja odcinka AK Rokito)
- zbiory Janusza Gan(o) z Wrocławia (dokumentacja komendanta Obwodu Kowel Jana Gano)
- zbiory Józefa Turowskiego z Warszawy (materiały dotyczące organizacji i działań Okręgu AK Wołyń oraz 27 DP AK)

- zbiory inż. Józefa Wójcika z Bydgoszczy (dokumentacja Obwodu AK Łuck)
- zbiory Michała Strusia z Gdańska (materiały dotyczące działań op. „Kord”)
- zbiory Weroniki Dymowicz z Ropczyc (dokumentacja dowódcy OP Równe)
- zbiory Zofii Sadowskiej z Warszawy (raporty i sprawozdania BiP Wołyń – VIII–XII 1943)
- zbiory Ryszarda Markiewicza z Koszalina (książka rozkazów oddziału partyzanckiego „Korda”).

Osoby, które mogą pomóc w odnalezieniu w/w zbiorów prosimy o kontakt:

Mariusz Olczak
mariusz.olczak@aan.gov.pl
022 822 90 53.

Więcej informacji na stronie internetowej
www.aan.gov.pl

Lista Ofiarodawców w styczniu i w lutym 2008 r.

- | | |
|--|---|
| 1. Józef Bieńko, Stalowa Wola 27.- | 9. Hanna Binasiewicz, Wrocław 20.- |
| 2. Elżbieta i Andrzej Poraj Malina, Warszawa ... 200.- | 10. Mariusz Grela, Oborniki Śl., pomoc świąt. 100.- |
| 3. TMLIKPW Kielce, cmentarz Łyczakowski 549.- | 11. Jadwiga Borkowska Dawidowicz, Bytom, pomoc świąteczna 100.- |
| 4. Janina Sikorowska, Wrocław 80.- | 12. Elbieta Świątkowska, Wrocław, pomoc świąteczna 100.- |
| 5. Józef Wojciechowski, Legnica 50.- | 13. Adam Barański, Gorzów Wlkp. cmentarz Łyczakowski 300.- |
| 6. Tadeusz Tomkiewicz, Poznań 50.- | |
| 7. Karol Kufłowski, Olsztyn 100.- | |
| 8. Anna Pawlak, Toruń, dla Dzieci Lwowskich 100.- | |

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Contents

Occasional editorial	1
Helena Wiewiórska – The Borderlanders abroad	2
Tadeusz Tomkiewicz – 65th anniversary of the mass extermination of Polish Borderland population by Ukrainians	6
Maciej Dęboróg-Bylczyński – Lwów booksellers and libraries in the period of autonomy	8
Janina Oparowska – <i>That my land</i> – a poem	9
Adam Wierciński – The place of action in <i>Mrs Dulski's Morality</i> Lwów or Kraków?	10
Aleksander Smoliński – Without <i>Fire and Sword</i> at Jazłowiec (I)	10
Iwo Werschler – Karol Szajnoch – historiographer, the pride of Lwów	14
Jarosław Tadeusz Leszczyński – Złoczów, the historical town on the Złoczówka river	16
Rev. Stanisław Turkowski – Recollection of rev. Stanisław Frankl, the Rector of Theological Seminary in Lwów	18
100th birthday of dr Krzysztof Danigiewicz	22
Radosław Nawrocki – <i>Walking around Lwów</i> – a poem	23
Karol Liwinski – The Christmas Wafer party of Świdnica	24
Jan Arski – Rich activities of the Lwów Lovers Society Section at Piła	24
Józef Zajac – Another years has elapsed	27
Stanisław Stawowy – The Reconciliation Wafer party held at Elbląg	28
Grzegorz Lipowski – The plate in commemoration of Siberian exiles	30
Ryszard Wojtowicz – A visit to the Borderland	31
Mieczysław Kowal – In tribute to the Lwów Defenders	33
Mieczysław Kowal – Polish priests from Ukraine entertained at Rzeszów	33
Aleksander Smoliński – Borderland Cavalry Regiments of Polish Army (I)	34
Remigiusz Węgrzynowicz – Tracing the past days and years	39
Edward Gil – Nearing the Czarnohora	42
Stanisław Obacz – My Borderland recollections (II)	46
Mieczysław Kowal – The artistic passion of Emilia Wołoszyn	49
Adam Rząsa – Some recollections of my Borderland village Łubno	50
Wincenty Zdzitowiecki – The child of war (III)	50
OBITUARY COLUMN	
Obituary notice of Stanisław Podusowski	55
Bożena Kończal – To rescue the church at Powiewiórka	56
Regulations for the Borderland Culture Contest at Zielona Góra	58
Jan Cichewicz – Care for Polish relics in the Borderland	59
Zdzisław Kuhl – <i>March-out of the 19th Infantry Regiment in 1939</i> – lyric and music	60
List of Donors	61



Szczawno Zdrój. Fot. Jarosław Michalak